

II/1797/3

© ARCHIWUM Wschodnie

SZKOŁA GŁÓWNA PLANOWANIA I STATYSTYKI

Instytut Gospodarstwa Społecznego

ZAPISKI REPATRIANTA

Stanisław Leszkowicz

00-821 Warszawa

ul. Złota 64/66 m 10

Warszawa 1990 r.

© ARCHIWUM Wschodnie

W s t ę p

Myśle, że "zapiski repatrianta" to nie tylko lektura, którą zainteresują się moje wnuki, albowiem wypadło mi żyć w czasach niezwykle ciekawych i wykroczyć poza granice własnej tożsamości. Urodziłem się w 1928 roku w Polsce, aby po 11 latach, nie oddalając się ani o krok od miejsca urodzenia, w rezultacie gwałtu militarnego, znaleźć się w Związku Radzieckim, a następnie po niespełna dwóch latach, w roku 1941 przymusowo podporządkować się administracji okupacyjnej Niemiec hitlerowskich. W roku 1944 Armia Czerwona, po wyparciu Niemców i brutalnym rozprawieniu się z Armią Krajową, wprowadziła tu ponownie swoje porządki, a ja, jak gdyby nie godząc się z wyrokiem historii, wyruszyłem w wieku 16 lat z rodzinnego domu w poszukiwaniu Polski, która wbrew zapewnieniom hymnu narodowego zginęła, przynajmniej z pola mojego widzenia.

Po kilku tygodniach podróży, odbytej w wagonie bydłowym w środku zimy 44/45, znalazłem Polskę, która, jak się okazało, nie zginęła, a tylko przesunęła się o kilkaset kilometrów na zachód. Część jej była jeszcze pod okupacją niemiecką, a część pozostawała pod administracją radziecko-polską. Trwała jeszcze wojna. Wszystko musiałem zaczynać od początku, stawiać pierwsze samodzielne kroki, szukać miejsca w nowych, niezwykle trudnych i skomplikowanych warunkach.

Od tej chwili życie moje bardzo się odmieniło. Bez większej przesady można powiedzieć, że urodziłem się po raz drugi, tym razem w Gdańsku. Praca, szkoła, działalność polityczna, składały się na każdy mój nowy dzień. Choć niewiele czasu pozostawało na życie prywatne, zdążyłem się ożenić, wychować syna i doczekać się parki uroczych wnucząt. Przemierzyłem w życiu wiele tysięcy kilometrów; odwiedziłem dziesiątki krajów na różnych kontynentach. Zawsze z przyjemnością wracałem do Polski, którą w początkach roku 1945 odnalazłem i w niej, mimo jej takiego a nie innego charakteru, na zawsze pozostałem. Dziś wracam do tego wszystkiego, co w ciągu życia wydarzyło się u mnie i wokół mnie, a wydarzyło się wcale nie mało; na pewno znacznie więcej niż byłem w stanie przedstawić w swoich zapiskach. Może kiedyś, po przejściu na emeryturę, uda mi się poddać szerszej interpretacji to wszystko czego byłem aktywnym uczestnikiem lub biernym, lecz naocznym świadkiem.

Warszawa, listopad 1990 r.

Stanisław Leszkowicz

I. NA KRESACH DRUGIEJ RZECZYPOSPOLITEJ

1. Dzieciństwo

Wieś, w której w dniu 29 maja 1928 r przyszedłem na świat, wydawała mi się być w dzieciństwie najpiękniejszym miejscem pod słońcem. A i dziś wspominam ją z największym sentymentem. Niewielka, licząca kilkadziesiąt zagród, otoczona z trzech stron lasami, tonęła przez całe lato w zieleni i kwiatach, a zimą zasypana była aż po dachy budynków śniegiem. Nazywała się Załozowie i była położona w powiecie wilejskim, województwa wileńskiego^{1/}. Ziemia tu była licha, a więc gospodarze byli na ogół biedni. Nawet ci, którzy dysponowali nieco większymi połaciami gruntów ornych nie należeli do ludzi zamożnych. Wszystkie chaty i budynki gospodarcze zbudowane z drewna, pokryte były słomą. Najczęściej spotykane uprawy to żyto, jęczmień, owies i ziemniaki. Pszenicę widziało się rzadko i w niewielkich ilościach. Plony były niskie. Używało się tylko obornika. Nawozy sztuczne znane były ze słyszenia. Każdy z gospodarzy pielęgnował pewną liczbę grządek warzyw oraz uprawiał trochę konopi i lnu, przeważnie na własne potrzeby, miał też kilkanaście drzew owocowych. Hodowla była mało rozwinięta. Obok obowiązkowego konia były przeważnie w każdej zagrodzie po jednej lub dwie krowy, tyleż świń oraz kilka owiec. Oczywiście na każdym podwórzu kręciło się kilkanaście kur i bardzo rzadko kilka kaczek, gęsi lub indyków.

Najbliższe miasteczko Dołhinów^{2/} odległe o 5 km. Tam był kościół, cerkiew, synagoga, siedmioklasowa szkoła powszechna, szkoła hebrajska, dom ludowy oraz mnóstwo sklepów i sklepików różnych branż. Był też urząd gminny, posterunek policji państwowej, a także koszary Korpusu Ochrony Pogranicza /KOP/. Mieszkańcy miasteczka to głównie Żydzi, Polacy i Białorusini. Wsie wchodzące w skład gminy Dołhinów zamieszkiwali niemal wyłącznie Polacy i Białorusini, przy czym niektóre wsie były całkowicie polskie, zaś niektóre białoruskie.

1/ z niezrozumiałych względów władze PRL wpisały mi do dowodu osobistego jako miejsce urodzenia ZSRR

2/ miasteczko Dołhinów straciło prawa miejskie po II wojnie światowej

Raz w tygodniu, w każdy czwartek miał miejsce w miasteczku jarmark, na który przyjeżdżali chłopci z okolicznych wsi, często odległych nawet o dziesięć i więcej kilometrów. Było to niezwykle barwne widowisko, jedyne w swoim rodzaju. Najwięcej było zawsze sprzedających, natomiast znacznie mniej kupujących. Wśród tych ostatnich profesjonalistami byli Żydzi, zaś amatorami miejscowi chłopci. Czego tam nie było? Począwszy od konia i krowy, świni i barana, można było wszystko kupić i sprzedać. Zboże sprzedawało się na pudy, to jest jednostki miary ważące po 16 kg. Każdy rolnik musiał w roku co najmniej tyle sprzedać swoich produktów, aby wystarczyło mu pieniędzy na podatki, składki ubezpieczeniowe oraz zapałki, sól i naftę.

Co pewien czas zbiorowisko targowe wykorzystywane było jako arena walki politycznej. W okresach poprzedzających wybory do Sejmu lub wybory samorządowe, przyjeżdżali tu kandydaci na posłów lub pretendenci do miejsc we władzach samorządowych, aby z wysokości furmanek chłopskich wygłaszać przemówienia skierowane do swoich potencjalnych wyborców. Obiecywali oni z reguły poprawę trudnej doli miejscowego chłopca oraz rozbudowę szkół i instytucji demokratycznych. Wśród walczących o głosy wyborców powtarzały się takie nazwiska, jak: Poklewski-Koziełł, Oskierko, Duchnowski, Niezabitoski i inni.

W każdym dniu targowym zaludniały się miejscowe herbaciarnie i inne lokaliki z wyszynkiem wódki. Jedni opijali sprzedaż, drudzy kupno. Właściciele tych lokalików, przede wszystkim Żydzi, tworzyli niepowtarzalną atmosferę, uczestnicząc czynnie w dysputach chłopskich. Był to rodzaj swoistego kabaretu z udziałem artystów amatorów. Obcowali i bawili się tu ze sobą zgodnie przedstawiciele różnych nacji. Dopiero wiele lat po wojnie, głównie z literatury społeczno-politycznej dowiedziałem się o konfliktach narodowościowych, jakie rzekomo wybuchały w regionie, w którym urodziłem się i wychowałem się.

Każdy szanujący się rolnik uważał za swój święty obowiązek uczestniczyć w jarmarku: była to sprawa chłopskiego prestiżu i honoru, niezależnie od tego czy był on Polakiem czy Białorusinem.

Rodzice moi, Adolf i Anna Leszkowiczowie, posiadali niewielkie gospodarstwo: 4 ha ziemi ornej, 4 ha łąki i 2 ha lasu. Łąka poło-

żona była w dwóch, dość odległych od siebie miejscowościach, w Brzozówce i Stachach. Łąka stachowska znajdowała się tuż nad brzegiem rzeki Wilja, akurat w tym miejscu, gdzie przebiegała granica polsko-radziecka.

Ziemia była zdecydowanie słabej jakości, która rodziła tylko najbardziej przystosowane do miejscowych warunków zboża oraz ziemniaki; była też źle uprawiana. Łąka niewiele dawała siana. Pierwszy pokos był jeszcze jako taki, drugi natomiast wręcz symboliczny. mimo to sianokosy zawsze należały do bardzo oczekiwanego okresu. Przebywanie z ojcem przez kilka dni nad rzeką, obserwowanie życia po drugiej stronie granicy^{1/}, kąpanie się i łowienie na wędkę ryb, spanie w stogu świeżo ususzonego siana, to przyjemność niepowtarzalna. Nie pomniejszała tych przyjemności ciężka praca.

Rodzina moja była bardzo liczna. Oprócz rodziców i 5-ciu synów /siostra umarła mając niecałe 3 lata/ pod wspólnym dachem i we wspólnym gospodarstwie zamieszkiwał brat ojca Józef i ich matka, a nasza babcia Rozalja z Krasowskich pochodząca ze wsi Borowe koło Budzławia, a więc razem dziewięć dusz. Nazwisko Leszkowicz należało we wsi do bardzo popularnych. Na pewno nosiło je trzy czwarte mieszkańców. Na tym tle dochodziło do wielu nieporozumień. Jedni za drugich odbierali listy, przeważnie z Ameryki, niektórzy musieli odbywać służbę wojskową nie za siebie, a nawet zdarzyło się raz za mojej pamięci, że jeden z Józefów Leszkowiczów syn Jana odsiedział za swojego imiennika krótki wyrok sądowy za pędzenie samogonu. Nawet nie usiłował reklamować, kiedy doręczono mu wezwanie do więzienia, do Wilejki, gdyż uprawiał ten proceder częściej niż ten skazany. Zasłużył więc w pełni na odsiadkę. Z mojej wsi rodem figuruje dziś dwóch Stanisławów Leszkowiczów w książce telefonicznej Warszawa i dość często przychodzi mi odbierać nie swoje telefony. Czasami muszę długo tłumaczyć przypadkowemu rozmówcy, że telefonuje on pod niewłaściwym numerem. Do stolicy trafił mój

1/ W tym samym czasie odbywały się również sianokosy po drugiej stronie rzeki - granicy. Jakiegokolwiek próby nawiązania kontaktu słownego z kołchoźnikami i kołchożnicami nie dawały żadnego rezultatu. Podejrzewam, iż obowiązywał z ich strony zakaz takich kontaktów. Nie sprzyjały też owym kontaktom wzmożone patrole graniczne żołnierzy radzieckich. Patrole polskiego KQP-u, przechodzące raz lub dwa razy dziennie nie ingerowały w próby rozmów obywateli R.P. z obywatelami ZSRR.

imiennik jako żołnierz I Armii Wojska Polskiego. Nazwisko to utrwalone zostało na pomniku Lotników polskich w Londynie, ofiar II wojny światowej; można je przeczytać na grobach cmentarza w Montrealu i na miejscu pochówku Polaków w dalekim Ałtaju.

Chata nasza była niewielka, składała się z jednej dużej izby z drewnianą podłogą oraz kuchni, gdzie zamiast podłogi było klepisko z gliny. W pokoju stał piec z cegły, pobielony na biało, służący do ogrzewania mieszkania w zimie, zaś w kuchni był ogromny piec, w którym codziennie gotowało się strawę i piekło się raz na dwa tygodnie chleb. Służył on jednocześnie do celów wypoczynkowych, albowiem kilka osób mogło na nim leżeć, a nawet spać.

Wyżywienie rodziny było bardziej niż skromne, a na pewno bardzo mało kaloryczne. Podstawowym daniem była zupa jarzynowa. Jadło się ją trzy razy dziennie. Mięso, w ograniczonych oczywiście ilościach, jedliśmy trzy razy w roku: na Boże Narodzenie, Wielkanoc i Zielone Świątki. Poza świętami radzi byliśmy od czasu do czasu znaleźć w zupie jakąś skwarę, którymi była ona okraszona. Tych skwarek było znacznie mniej niż rodzynek w kupionym dziś w państwowym sklepie cieście. W zimie dość często pojawiały się na stole kiszzone ogórki i surowa kapusta. Produktów tych w zasadzie nie brakowało, ponieważ zapas zimowy był na ogół duży.

Chleba nie było pod dostatkiem; znajdował się zawsze pod zamknięciem i był wydzielany. Na przednówku z reguły go brakowało i wtedy przeważnie jadło się placki ziemniaczane. Mleko było też ściśle reglamentowane przez matkę. Z każdego udoju część przeznaczano dla dzieci, a reszta była odstawiana na śmietaną i później robiło się z niej masło, którego część zjadało się z chlebem w domu, zaś reszta wędrowała na targ do miasteczka. Za uzyskane w ten sposób pieniądze kupowało się naftę, sól przeważnie kolorową, zapałki i inne niezbędne produkty, których samemu nie można było wytworzyć. Raz na jakiś czas dostawaliśmy do zjedzenia po jednym jajku.

Do zwyczaju należało, że dzieci otrzymywały co czwartek gościńiec, czyli prezent od rodziców powracających z miasteczka z jarmarku. Gościńcem tym był najczęściej kawałek białego chleba, przeznaczony dla każdego chłopaka. Czasami rodzice przywozili

trochę śledzi. Wtedy była prawdziwa uczta, gdyż smakowały one lepiej niż dzisiaj kawior i znikają ze stołu w mgnieniu oka. Może dlatego gdziekolwiek bym później nie był w świecie śledź był dla mnie najbardziej smaczną przystawką; jem go zawsze z prawdziwą przyjemnością.

Wychowywaniem dzieci zajmowała się niezapomniana i uwielbiana przeze mnie babcia /matka ojca/, gdyż matka pracowała w polu, oporządzała krowy i świnie, lub przędła len, konopie albo wełnę, bądź siedziała za krosnami i tknęła tkaninę, z której później szyła dla wszystkich odzież. Tak więc przez okrągły rok miała huk roboty.

Do szkoły poszedłem stosunkowo wcześnie, mając 6 lat, ze swoim starszym bratem. Przekraczając próg szkoły znałem już, dzięki babci, wszystkie litery alfabetu i umiałem trochę liczyć. Toteż nauczyciel nie miał ze mną żadnego kłopotu. Trochę się nudziłem jak inne dzieci musiały na tablicy lub w zeszytach pisać te same litery lub cyfry po kilkadziesiąt razy.

Czteroklasowa szkoła, oczywiście jednoizbowa, mieściła się u jednego z gospodarzy, początkowo u Leszkowiczów, bliskich kuzynów mojego ojca, deportowanych w czasie władzy radzieckiej za Ural, a później u Hryniewiczów. Lekcje odbywały się na dwie zmiany. Na pierwszą zmianę uczyła się klasa 3 i 4, a na drugą 1 i 2-ga. Porządek zajęć był tak ułożony, że jeżeli jedna klasa miała lekcję "głośną", to druga klasa w tym samym czasie miała lekcję "cichą". W ten sposób będąc w klasie 1-szej przerabiałem niejako automatycznie, program klasy 2-giej, a w klasie 3-ciej, ucząc się z klasą 4-tą, zapoznawałem się z materiałem tej ostatniej. Tak jakoś się układało, że zawsze należałem do dobrych uczniów. Mój wiejski nauczyciel Jan Rodkiewicz, uczący wszystkich przedmiotów, prowadząc na przykład zajęcia "głośne" z 4 klasą, sięgał po mnie, ucznia klasy 3-ciej, kiedy nikt z uczniów klasy wyższej nie mógł odpowiedzieć na jakieś pytanie. Na ogół bezbłędnie odpowiadałem na każde pytanie. Lekcje odrabiałem w domu przy lampie naftowej i nawet nigdy nie odczuwałem z tego tytułu jakiegokolwiek niewygodności. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że można uczyć się w domu w innych warunkach, na przykład przy świetle elektrycznym i we własnym pokoju, gdzie nikt nie przeszkadza.

W chwilach wolnych ciągnęło mnie zawsze do starszych. Młodzież wiejska chętnie wiodła w tym czasie życie kolektywne. Niemal co wieczór zbierała się, latem w ogrodzie, a w zimie w jednej z izb chłopskich, aby uczyć się wspólnie śpiewu, głównie popularnych szlagierów, uprawiać teatr amatorski lub ćwiczyć musztrę wojskową w ramach organizacji "Strzelca". Wszystko to bardzo mnie interesowało i praktycznie rzecz biorąc nie było we wsi żadnego spotkania młodzieży bez mojego udziału, chociaż ze względu na wiek należałem raczej do grupy dziecięcej.

Kiedy w roku 1938 ukończyłem klasę 4-tą powstał problem - co dalej? Nauczyciel był zdania, że powinienem bezwzględnie pójść do szkoły do miasteczka. Pogląd natomiast rodziców był nieco inny. Ojciec, który sam uczył się w swoim życiu zaledwie dwie zimy, uważał, że cztery klasy szkoły powszechnej mi wystarczy i że powinienem zająć się pracą w gospodarstwie. Matka natomiast nie miała własnego zdania, skłonna jednak była przychylić się do opinii nauczyciela. Dopiero babcia, ludowa nauczycielka języka polskiego, uznała, iż koniecznie trzeba mnie posłać do szkoły w miasteczku. Zdanie babci przeważyło i zapisany zostałem do 5 klasy Szkoły Powszechnej w Dołhinowie. Przez wakacje zatrudniłem się w sąsiedniej wsi Nowosiółki w charakterze pastucha krów, aby zarobić na książki i zeszyty i wystartowałem. Gorzej było z ubraniem i butami. Dopóki nie spadł śnieg chodziłem boso, tak zresztą jak wszyscy na wsi, a później w łapciach, zrobionych przez matkę ze sznurka lnianego, z podeszwą z gumy pochodzącej z rozbiórki starej, zużytej opony samochodowej.

Żadnego zegara w domu nie było, toteż pianie koguta wyznaczało czas wstawania. Czasami coś tam kogutowi się pokićkało, zapiał wcześniej niż zwykle, w rezultacie czego zjawiałem się w szkole grubo przed czasem, mając za sobą 6 km drogi; 5 km do miasteczka i 1 km jego ulicami, gdyż szkoła znajdowała się po przeciwległej stronie, tuż koło cerkwi. Najgorzej było w zimie, kiedy wskutek dużych opadów śniegu robiły się zasy i zawieje. Podróż w tych warunkach była bardzo uciążliwa. Co prawda od czasu do czasu można było po drodze spotkać chłopa jadącego do miasteczka lub z miasteczka saniami i można było być podwiezionym ale nierzadko też dostawało się batem, kiedy usiłowałem bez pytania przyczepić się z tyłu do sań. Niektórzy chłopi byli pozbawieni jakichkolwiek uczuć ludzkich.

Szkoła w Dołhinowie różniła się w sposób zasadniczy od szkoły w Załozowiu. Tam jeden, znakomity zresztą nauczyciel, uczył wszystkich przedmiotów, tu natomiast była daleko posunięta specjalizacja; nie było omnibusów. Wszyscy nauczyciele reprezentowali wysoki poziom zawodowy, a co najważniejsze byli bardzo lubiani przez uczniów. A kiedy lubi się nauczyciela, lubi się z reguły wykładany przez niego przedmiot. Tak więc lubiłem nie tylko język polski, historię czy geografę, ale również matematykę, śpiew i gimnastykę. Na lekcjach śpiewu uczyliśmy się pieśni ludowych, kościelnych i patriotycznych, poznawaliśmy nuty i historię polskiej opery narodowej, wyróżniając szczególnie bliskiego nam Stanisława Moniuszko. W czasie gimnastyki ćwiczyliśmy krok wojskowy, śpiewając pieśni marszowe, z których najbardziej lubiliśmy legionowe. Jak to w takich małych miejscowościach bywało, dwa razy w roku, 3 maja i 11 listopada, stanowiliśmy integralną część defilady, maszerując tuż za miejscową jednostką KOP-u, pod melodię marsza "Piechota ta szara, piechota"

W pierwszym roku nauki nie opuściłem ani jednego dnia i ukończyłem piątą klasę z bardzo dobrym świadectwem. Nawet ksiądz Jan Kazimierz Doreszkiewicz^{1/}, z którym miałem konflikt i od którego dostałem kilka razy linijką po łapach, wystawił mi najwyższą notę z religii. A ten konflikt wyglądał tak: pewnego razu, podczas spowiedzi zapytał mnie ksiądz, czy chodzę do cudzych ogrodów na jabłka. Kiedy na tak sformułowane pytanie odpowiedziałem twierdząco, zapytał dalej wprost czy odwiedzam też jego własny sad. Usłyszawszy ode mnie również potwierdzenie wykrzyknął na cały głos "ty bolszewiku" i przepędził od konfesjonału, nie dając rozgrzeszenia. Dopiero dłuższa rozmowa mojej babci z księdzem doprowadziła do mojego ułaskawienia i powrotu na łono kościoła.

W czasie wakacji w roku 1939 zatrudniłem się ponownie w tej samej wsi i w tym samym charakterze, aby znowu zarobić na książki i zeszyty. Utartym zwyczajem mieszkałem kolejno u różnych gospodarzy, gdzie też otrzymywałem dwa razy dziennie jedzenie: śniadanie i kolację. Spałem zawsze w stodołach na sianie lub na poddaszach wiejskich chałup. Syn jednego z miejscowych gospodarzy uczył się

^{1/}W latach sześćdziesiątych zamordowany został przez nieznaną sprawców na plebanii w Dołhinowie.

w gimnazjum w Wilejce i przyjeżdżał do domu na wakacje. Zdaje się, że w tym roku był już po maturze. Bardzo chciałem go zobaczyć bo byłem ciekaw jak taki uczony człowiek wygląda. Obrałem go sobie za wzór, choć zdawałem jednocześnie z tego sprawę, że mnie nie grozi nauka w gimnazjum. Byłem po prostu za biedny. Trzeba przy tym wiedzieć, że ten młodzieniec, wcale niezamożny, był jedynym absolwentem gimnazjum z całej okolicy. W czasie nauki utrzymywał się z korepetycji.

Jako że świat jest mały, spotkałem go zupełnie przypadkowo po wojnie w Warszawie, gdzie obaj zamieszkaliśmy na stałe. On, Wiktor Kamiński, powszechnie ceniony działacz państwowy i polityczny /ludowy/ trafił do stolicy Polski drogą okrężną, przez tajgę syberyjską, gdzie kilka lat spędził jako więzień łagrów radzieckich, ja zaś przyjechałem tu w roku 1952 z Gdańska, gdzie osiedliłem się po zakończeniu wojny. Dopiero w Warszawie zaprzyjaźniliśmy się obaj na dobre i na złe.

Pasienie krów, wbrew pozorom, nie należy wcale do zajęć przyjemnych i łatwych. Przede wszystkim trzeba było bardzo wcześnie wstawać, przed wschodem słońca, kiedy rosa jest jeszcze tak zimna, iż drętwieją boscie oczywiście nogi, a poza tym trzeba było przez cały czas bacznie obserwować całe stado, aby co cwańsze sztuki nie czyniły spustoszenia w przylegających do pastwisk uprawach. Jednym okiem obserwowałem krowy, drugie zaś zapuszczałem w pochodzącą ze szkolnej biblioteki kolejną książkę Stefana Żeromskiego.

A więc znowu zarobiłem na książki i zeszyty i przygotowałem się do nauki już w 6-tej, przedostatniej klasie Szkoły Powszechnej.

Nieraz rozmyślałem w tym czasie nad swoją przyszłością. Marzeniem moim była funkcja nauczyciela wiejskiego. Ale zdawałem sobie jednocześnie sprawę z tego, że jest to czysta utopia, gdyż rodziców moich nie stać było na to, aby posłać mnie do gimnazjum, mającego siedzibę w powiatowym miasteczku, Wilejce. Pomijając czesne, gdyż jako bardzo dobry uczeń może otrzymałbym jakieś ulgi, pozostawała sprawa ubrania i butów, a także kosztów stancji. Wilejka była odległa od mojej wsi aż o 50 km i nie było mowy o codziennych dojazdach, zwłaszcza, że do najbliższej stacji kolejowej miałem 18 km i nie było z nią żadnego połączenia komunikacyjnego. Była więc to mrzonka, która mogła tylko zrodzić się w naiwnym umyśle dziecka.

2. Wojna

1 września 1939 roku zjawiłem się w godzinach rannych na dziedzińcu szkolnym w Dołhinowie, skąd w zorganizowanym szyku mieliśmy wyruszyć do kościoła. Tak bowiem zaczynał się każdy nowy rok szkolny w II Rzeczypospolitej. Przed drewnianym budynkiem leciwej już szkoły oczekiwała niewielka jeszcze grupka uczniów, która powiększała się z minuty na minutę. Nikt jeszcze niczego nie wiedział, choć różne wieści na temat wojny krążyły już od tygodni. Spotkawszy kolegów, a wśród nich: Józka, Franka, Staszka i Janka Leszkowiczów, Zofię Żyźniewską, Lodę Protasewicz, Olka Pasieczyńskiego, Józka Kowala, Ankę Man-ulik, Janka Apanasewicza, Janka i Franka Dubaniewiczów, Staszka Stokłosę, Halinę Stapińską i Marysię Łubniewską, z którymi w poprzednim roku szkolnym ukończyłem 5-tą klasę, komentowaliśmy po swojemu najnowsze wiadomości, zasłyszane od starszych. Oto jedni mówili, że w ich wsi położonej nad samą granicą polsko-radziecką zaobserwowano po drugiej stronie ruchy wojsk przygotowujących się na Polskę. Inni, potwierdzając te same spostrzeżenia twierdzili, że KOP przygotowany jest do odparcia każdej napaści radzieckiej. Moja wieś leżąca w prostej linii około 3 km od granicy, nie dawała możliwości bezpośrednich obserwacji, co się dzieje za kordonem, za to mogłem podzielić się wiadomościami o lotach dużej liczby samolotów radzieckich, które były widoczne gołym okiem, jak co pewien czas, po kilka razy dziennie przelatywały nad samą granicą, naruszając /tak przynajmniej się wydawało/ terytorium Rzeczypospolitej.

Wreszcie krótko przed godz. 8.00 ukazał się na wysokim ganeczku głównego budynku szkolnego kierownik Szkoły, a ściślej mówiąc jego zastępca Dadej, gdyż kierownik Włodzimierz Alisiewicz, jako oficer rezerwy zmobilizowany został do wojska i gromkim głosem oświadczał, że odwieczny wróg narodu polskiego - Niemiec, napadł dziś o świcie na Polskę i że z tego powodu odwołuje się zbiorowe pójście do kościoła, aby nie sprowokować samolotów niemieckich, bombardujących od rana nasze miasta i wsie do zaatakowania grupy młodzieży szkolnej udającej się na nabożeństwo.

Po wysłuchaniu w skupieniu krótkiego przemówienia kierownika Szkoły i spontanicznym odśpiewaniu Hymnu Państwowego "Jeszcze Polska nie zginęła" rozlecieliśmy się każdy w swoją stronę. Pędziłem co sił do domu, aby jak najszybciej poinformować rodziców i sąsiadów o wybuchu wojny. Przechodząc koło kościoła zauważyłem sporo ludzi starszych i młodzieży udających się na nabożeństwo, pomimo normalnego roboczego dnia /był piątek/. Ja nie miałem na to czasu, bowiem uważałem, iż wiadomość o wojnie jest w tej chwili ważniejsza od modlitwy.

We wsi już wszyscy wiedzieli o napaści Hitlera na Polskę. Poinformował o tym miejscowy nauczyciel, który jedyny wśród mieszkańców wsi posiadał radio.

Zapanowało powszechne przygnębienie. Słyszało się dookoła szloch kobiet i wzdychanie mężczyzn. Co będzie dalej? Wszyscy zachowywali się jak po nagłej stracie kogoś najbliższego. Nawet dzieciom nie były w głowach żadne zabawy.

Nauczyciel postawił swoje radio na parapecie otwartego okna, aby umożliwić wszystkim zainteresowanym wysłuchiwanie dzienników i komunikatów wojennych. Co pewien czas rozlegał się głos speakera "uwaga, uwaga nadchodzi..." Wiejskie autorytety, znający świat, którzy mieli okazję w życiu przekroczyć granice powiatu, twierdzili, że są to ostrzeżenia przed nalotami lotniczymi. Inni, którzy mieli za sobą służbę wojskową mówili, że są to komunikaty dla poszczególnych jednostek wojskowych, biorących udział w walkach z wrogiem. Przysłuchiwałem się tej dyskusji z najwyższym zainteresowaniem i podziwiałem w duchu mądrość jej uczestników. Dyskusja ta szła dość daleko, aż do pełnego zwycięstwa nad Niemcami. Chłop, który podobnie jak mój ojciec walczył w roku 1920 pod rozkazami marszałka J. Piłsudskiego z bolszewikami nie dopuszczał innej możliwości, jak tylko totalną klęskę Niemiec. Na uzasadnienie swej tezy mówił, że agresor zostanie natychmiast zaatakowany przez naszych sojuszników, tj. Anglię i Francję i doszczętnie rozbity. I kiedy 3 września oba te mocarstwa wypowiedziały Hitlerowi wojnę, a przez nauczycielski odbiornik popłynęły donośne pokrzepiające słowa "Anglia, Francja" euforii nie było końca. Wszyscy byli pewni, że wojna się skończy za kilka dni i ci, których zmobilizowano do wojska wrócą szybko do domów i zaczną się normalne życie. Ja osobiście zacząłem porządko-

wać książki i zeszyty, aby przygotować się do szkoły i rozpocząć normalną naukę.

Tymczasem wojna się przedłużała. Szkoła była wciąż nieczynna, a komunikaty radiowe stawały się coraz mniej entuzjastyczne. Nadal jednak w różnych punktach kraju dzielnie walczyły jednostki Wojska Polskiego; skutecznie broniła się stolica państwa Warszawa. Front był daleko.

3. Nieoczekiwany dramat

Wczesnym rankiem dnia 17 września 1939 roku obudziły nas zmasowane strzały na granicy. Nikt nie wiedział o co chodzi, ale każdy się domyślał, że zaatakowane zostały polskie placówki graniczne. Nie było tylko pewności przez kogo. Czyżby Niemcy już dotarli aż do granicy?

Tymczasem, po niecałej godzinie od ustania strzałów zjawiło się we wsi kilku żołnierzy KOP-u znanych uprzednio z patroli w strefie przygranicznej, którzy pośpiesznie uciekali w głąb kraju. W kilku-minutowej rozmowie poinformowali, że strażnica KOP-u w Milczy została okrążona przez wojska bolszewickie i że po beznadziejnej próbie obrony, ich dowódca st. sierż. Boćmaga wydał rozkaz ucieczki. Sam wzięty został ponoć do niewoli. Na pożegnanie wypili po szklance mleka, rozdali mieszkańcom kilka paczek papierosów "czołem", po czym załadowani zostali na przygotowaną na poczekaniu furmankę i przewiezieni do Dołhinowa, skąd z całą tamtejszą jednostką KOP-u udali się w dalszą drogę.

We wsi zapanowała grobowa cisza. Wszyscy porozchodzili się do swoich domostw, aby w najgłębszej ciszy i spokoju, każdy na swój sposób, przeżyć moment pożegnania z Ojczyzną. Wstrząs był przeogromny. Jeszcze nigdy dotąd nie widziałem na raz tyle zbiorowego płaczu. Płakali wszyscy, dzieci i dorośli, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, bez wyjątku. Nikt się tego nie wstydził. Wszystkich ogarnął przeraźliwy strach.

Matka moja przygotowała skromny, jak zwykle posiłek dla całej rodziny i podając do stołu rzekła: "jedzcie, bo jutro już może nie być". Nie wiem dlaczego, ale słowa te utkwiły mi w pamięci na całe

życie. Wśród ludności wiejskiej rozpowszechniony był bowiem pogląd, iż władza radziecka to głód, męka i śmierć, a więc wszystko to co najgorsze.

Dopiero po kilku dniach zobaczyłem z bliska żołnierzy radzieckich. Przyjechała do wsi kolumna zmotoryzowana. Wygląd zewnętrzny żołnierzy budził litość, szczególnie jeśli się miało świeżo w pamięci polskich wojaków. Jakiś starszy rangą oficer zarządził, aby dotychczasowy sołtys zwołał zebranie mieszkańców wsi, na którym wygłosił długie przemówienie.

Wlazłszy wysoko na samochód powitał serdecznie wszystkich zebranych, wśród których nie zabrakło i mnie, a następnie poinformował, iż Armia Czerwona wkroczyła do Polski, aby wyzwolić nasze tereny spod panowania polskich panów, a jednocześnie uwolnić ludność spod jarzma kapitalizmu i wykorzeni wszystko co polskie i burżuazyjne. Dalej długo mówił o życiu i pracy obywateli radzieckich, roztaczając przed nami perspektywy materialnego i duchowego dobrobytu. Skonstatowawszy, iż prawie wszyscy zebrani byli boso, zapewnił, że każdy obywatel będzie mógł sobie w niedalekiej przyszłości sprawić buty. Każdy oczywiście pracujący, bo ci którzy nie będą pracować nie otrzymają niczego. "Kto nie rabotajet, to nie kuszajet" - powiedział na zakończenie swego płomienego przemówienia przedstawiciel władzy radzieckiej.

Do późna w nocy chłopci w większych i mniejszych grupkach komentowali to o czym mówił czerwonoarmista. Zaniepokoił wszystkich fakt niezwykłego wprost zacierzewienia z jakim mówił o Polsce i Polakach. Zoologiczna nienawiść z jaką się wyrażał w stosunku do naszego państwa i narodu zapowiadała wszystko co najgorsze. Każdy z miejscowych chłopów identyfikował się przecie z Polską, choć obcy mu był burżuj; zresztą on go prawie nigdy nie widział z bliska.

Nie wiem jak były przyjęte te przemówienia we wsiach białoruskich. Sądzę, że identycznie jak u nas, ponieważ w tych rejonach Polski, w których mieszkałem nie odczuwało się absolutnie żadnych antypolskich nastrojów wśród ludności białoruskiej.

Nasza wieś, jak i wiele innych w tych okolicach, była na wskroś

polska: po pierwsze, była w 100% wyznania rzymsko-katolickiego^{1/}; po drugie, pielęgnowała powszechnie wszystkie polskie tradycje i obyczaje; po trzecie, używała, szczególnie młodzież, języka polskiego; po czwarte, wszyscy czuli się prawdziwymi patriotami polskimi.

Po kilku tygodniach przerwy w uczęszczaniu do szkoły, nadeszła wiadomość o uruchomieniu zajęć. W zasadzie było to zorganizowanie i otwarcie nowej szkoły o nazwie "Niepełna Szkoła Średnia w Dołhinowie". Pierwszy dzień miał charakter organizacyjno-porządkowy, poświęcony głównie nauce śpiewu międzynarodówki, oczywiście po rosyjsku. Do dnia dzisiejszego pamiętam lepiej rosyjskie słowa tej pieśni niż polski tekst. Wstawaj proklatien zaklemionnyj, wieś mir gołodnych i rabow. Kipit nasz rozum wozmuszczonnyj i w smiertnyj boj wiesti gatow - śpiewaliśmy głośno, nie rozumiejąc znaczenia tych słów. Warto przypomnieć, że międzynarodówka była jednocześnie hymnem Związku Radzieckiego. Poinformowano nas o tym, iż jest to szkoła radziecka i że językiem wykładowym będzie język białoruski. Wszystkich uczniów uczęszczających uprzednio do szkoły polskiej cofnięto o jedną klasę, rzekomo dla wyrównania poziomu nauczania. Ponownie więc znalazłem się w 5-tej klasie. Razem ze mną było kilkunastu uczniów ze szkoły polskiej. Niektórzy z nich szybko opuścili Dołhinów lub pobliskie wsie. Dotyczyło to przede wszystkim dzieci wojskowych, urzędników państwowych oraz osadników pochodzących z głębi kraju. Duża ich część wyjechała przymusowo za Ural, niektórym udało się zbiec. W zamian za to do klasy przybyło sporo Żydów, uczęszczających przed wojną do szkoły hebrajskiej i kilkoro uczniów będących dziećmi nauczycieli i urzędników przybyłych ze Związku Radzieckiego. Wielka różnorodność i to pod każdym względem. Trzeba było sporo czasu, aby choć trochę się poznać, nie mówiąc o prawdziwej integracji. Skład nauczycieli był też nowy. Ani jeden nauczyciel ze szkoły polskiej nie pozostał. Nowi nauczyciele nie znali języka polskiego, mówili wyłącznie po białorusku i rosyjsku. Język polski przestał w szkole istnieć. Używaliśmy go rozmawiając między sobą i to tylko wtedy, kiedy w pobliżu nie było

^{1/} Wedle powszechnie panujących w tych rejonach przekonań niemal każdy wyznawca religii rzymsko-katolickiej poczuwał się do narodowości polskiej, podczas gdy wyznawca prawosławia uważał się z reguły za Białorusina; były oczywiście wyjątki.

nikogo obcego. Najwięcej gorliwości w zwalczaniu języka polskiego wykazywali ci, którzy pochodzili ze Wschodu.

Co zaś dotyczy nauki, to przede wszystkim trzeba było nauczyć się alfabetu rosyjskiego, używanego również w języku białoruskim. Mimo, iż nie znałem ani jednej litery poszło mi to stosunkowo łatwo. Już po kilku tygodniach mogłem czytać i pisać po białorusku i rosyjsku. Alfabet łaciński używany był jedynie w języku niemieckim, którego zaczęliśmy się uczyć. Oświadczone nam na początku, iż jest to "język wielkiego narodu niemieckiego, z którego wywodzą się znakomici, światowej sławy pisarze, poeci i kompozytorzy". Tu następowała wyliczanka całego szeregu nazwisk, od Goethego poczynając, a na zwykłym Schmidt'ie kończąc. Nie powiem, aby język ten nam wkrótce się nie przydał.

W pierwszym roku uczęszczania do szkoły radzieckiej zdarzył się straszny wypadek. Otóż pewnego dnia uczniowie wywodzący się spoza polskiej grupy dokonali szokującego odkrycia, a mianowicie stwierdzili, że w portrecie Stalina wiszącym na frontowej ścianie sali wykładowej ktoś wykłuł oczy. Cała klasa licząca ponad 20 uczniów zgarnięta została przez NKWD /Narodnyj Komisarjat Wnutriennych Dieł/ i przez dwa dni przesłuchiwana. Nikt się nie przyznał do tej makabrycznej "zbrodni". Niemniej wszyscy byliśmy na cenzurowanym, podejrzani o popełnienie najcięższego chyba przestępstwa wobec wielkiego wodza i socjalistycznego państwa.

Dość szybko minęły dwa lata nauki w szkole radzieckiej. Były one bardzo różne, czasami wesołe, czasami zaś bardzo smutne. Przez ten okres wielu uczniów ubyło. Działo się to najczęściej w nocy, ale było i tak, że w czasie lekcji przychodziło do klasy dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy NKWD, w mundurach oczywiście i pytali czy jest na przykład obecna Janina Kowalska, po czym mówili: "proszę z nami". Wszyscy wiedzieliśmy, że pod jej domem stoi samochód ciężarowy, a jej rodzice wraz z pozostałym rodzeństwem otrzymali 2 godziny czasu na spakowanie swego dobytku i załadowanie go na przygotowaną ciężarówkę. Kiedyś pobiegłem do domu wywożonej w ten sposób koleżanki, aby zanieść jej bochenek chleba od moich rodziców i zobaczyłem jak kilku enkawudystów popijało w tym czasie w podwórzu wódkę i śpiewali pieśń: "Naczynajutsia dni zołotyje,

worowskiej nie prokliatoj lubwi, kriknuł koni moji woronyje, czornyworony koni moji". Oni zaś biedacy płacząc rzewnymi łzami pakowali swoje skromne rzeczy do worków.

W ten sposób najczęściej przebiegała wywózka Polaków "na białe niedźwiedzie"; tak bowiem powszechnie nazywano wśród mieszkańców akcje deportacji Polaków. Akcją objęto niezwykle szerokie kręgi ludności polskiej, przede wszystkim zaś rodziny byłych urzędników, wojskowych, policjantów, właściciele majątków ziemskich, zamożniejszych gospodarzy, a nawet zwykłych biednych chłopów, którzy czuli się patriotami polskimi. Całą ludność polską władze radzieckie uważały za wrogów socjalizmu. Najczęściej, ale nie wyłącznie, wywożono do Kazachstanu, skąd coraz więcej nadchodziło wiadomości o tragicznych losach deportowanych tam Polaków. W jednym z listów syberyjskich, jaki otrzymali moi rodzice od swoich krewnych, Leszkowiczów - wcale niezamożnych chłopów z tej samej wsi - informowali oni w sposób /prymitywnie/ zaszyfrowany, że cierpią tam chłód, głód i ubóstwo, że zaledwie po kilku miesiącach pobytu zmarł ich najmłodszy syn Wojciech, który był moim kuzynem i o dwa lata starszym kolegą. Przed wyjazdem był zdrowym i krzepkim chłopcem. Do listu włożyli dość długi wiersz napisany przez jednego z młodych towarzyszy niedoli Wojciecha, którego pierwsza zwrotka brzmiała:

Zmarłeś Wojciechu w dalekim Ałtaju,
wśród biedy i nędzy tej.
Już nie zobaczysz ukochanego kraju,
i chaty rodzinnej swej.

Wizyty NKWD w szkole wywoływały paniczny strach. Nikt przecież nie był pewny ani dnia, ani godziny. Nie wiem dlaczego, ale od tamtej pory do dzień dzisiejszy odczuwam przed każdym radzieckim mundurem specyficzny lęk.

Brak języka polskiego w szkole nie oznaczał wcale, iż tego języka nie uczyłem się w ogóle. Babcia moja, o której już wspominałem wcześniej, miała w tym kierunku bogatą praktykę. Za cara uczyła swoje i obce dzieci języka polskiego, wówczas wyłącznie z książeczek kościelnych, a teraz odświeżyła trochę swoje wiadomości i rozpoczęła, po 20-letniej przerwie, znowu działalność

pedagogiczną. Dzięki takim ludziom przetrwał na Wileńszczyźnie, zupełnie w niezłej kondycji, język ojczysty. Obok mnie przychodziło do nas jeszcze kilkoro innych uczniów, którzy razem ze mną z różnych podręczników i książek chłonęli, pod kierunkiem ludowej nauczycielki wiedzę, najbardziej potwierdzającą tożsamość narodową każdej społeczności. Był to język czysto polski, o bardzo charakterystycznym brzmieniu. Coniedzielne uczęszczanie do kościoła i wysłuchiwanie kazań, wygłaszanych przez ks. Doreszkiewicza w przepięknej polszczyźnie, wzbogacało naszą praktyczną wiedzę językową.

Nie tylko zresztą znajomość języka polskiego zawdzięczam babci. To ona nauczyła mnie dziesiątków pieśni patriotycznych i kościelnych; wpoiliła we mnie zasadę szacunku dla bliźnich; ona pierwsza uczyła mnie tolerancji dla ludzkich ułomności.

Zapisałem się również do miejscowego chóru kościelnego, gdzie była okazja prowadzenia rozmów wyłącznie po polsku. Przy tej okazji uczyliśmy się też trochę łaciny, wykuwając na pamięć teksty kościelnych pieśni, nie znając ich znaczenia. Tymczasem w pobliskiej wsi białoruskiej, Milczy, w której znalazły siedzibę nowe władze gminne, zorganizowano chór białorusko-rosyjski. Z naszej wsi nikt do tego chóru nie zapisał się. Jednak od czasu do czasu trzeba było obowiązkowo chodzić na jego występy. Popisowym numerem chóru była pieśń zachęcająca do zaproszenia Stalina do odwiedzin. I tak śpiewano między innymi:

"Cztoby k nam siejczas rebiata,
w gosti Stalina pozwat',
cztoby Stalinu radnomu,
wsio bogactwo pokazat'.
Pokazat' by pochwalitsia,
swojej chwatkoj bojewoj,
prijeżżaj towariszcz Stalin,
prijeżżaj otiec radnoj, i.td.

Jak gdyby na przekór wszystkiemu w niedziele i święta kościół był przepełniony. Wierni, z reguły Polacy, przychodzili z najodleglejszych zakątków parafii dołhinowskiej, noszącej imię św. Stanisława, aby uczestniczyć w nabożeństwach, które miały niezwykle wzniosły i uroczysty charakter. Chóru, w którym śpiewałem, nie

powstydziała by się katedra Wileńska. Ale najbardziej utkwiły mi w pamięci patriotyczne pieśni: "Boże coś Polskę", i "Nie rzucim ziemi skąd nasz ród", śpiewane na przemian na zakończenie coniedzielnej mszy świętej, przez wszystkich uczestników. Trzeba przy tym powiedzieć, że w naszym kościele ludzie nie żalowali głosów. Mury kościoła drżały kiedy rozlegały się słowa: "Ojczyznę wolną racz nam zwrócić Panie".

A więc kto chciał, ten miał pełne możliwości uchronić siebie od zapomnienia języka polskiego. Takich było bardzo dużo, ale też sporo było leniuchów, którzy bardzo szybko przeszli na język miejscowy, będący sprymityzowaną mieszanką rosyjskiego, białoruskiego i polskiego.

We wsi działały się tymczasem rzeczy niecodzienne. Pomimo ogromnego nacisku władz chłopci nadal nie godzili się wstąpić do kołchozu. Nawet coraz wyższe podatki nie zmusiły ich do tego kroku. Opodatkowany został inwentarz żywy i martwy, budynki i ziemia; opodatkowano nawet płoty, a w nich bramy i furtki. Na gwałt pozbywano się wszystkiego co było przedmiotem opodatkowania, zostawiając sobie tylko tyle, aby przeżyć. Gospodarzy o nieco większym areale ziemi uprawnej "rozkułaczono", a więc zabrano tę część gruntów, która przekraczała wyznaczoną granicę /18 ha/.

Jako jeden z nielicznych we wsi znający, po pewnym okresie nauki, w mowie i piśmie język rosyjski, brałem udział w nieformalnych spotkaniach chłopów, gdzie niemal co wieczór czytałem im na głos dostępne gazety. Po takiej prasówce zawsze rozgorzała długa i namiętna dyskusja, w której udział mój sprowadzał się do słuchania, chociaż od czasu do czasu byłem zapytany o zdanie w takiej czy innej sprawie. Wypowiedzi moje były na pewno dziecinne, niemniej po raz pierwszy nazwany zostałem wówczas "starym". Przydomek ten, bądź jak kto woli przezwisko, przylgnęło do mnie i towarzyszyło mi, aż do wyjazdu ze wsi, co nastąpiło na pięć miesięcy przed zakończeniem wojny.

Podczas jednego z takich seansów przeczytałem w miejscowej gazecie, iż w toku rewizji przeprowadzonej w mieszkaniu byłego wójta gminy Dołhinów Duchnowskiego stwierdzono, że "ten przedstawiciel polskiego aparatu ucisku" posiadał w domu 4 garnitury, 12 koszul i 4 pary butów. Był to wystarczający dowód na to aby zaliczyć go

do krwiopijców, pasożytów i eksploatatorów cudzej pracy. Mimo, że te ilości garderoby przekraczały daleko wyobrażenia każdego uczestnika prasówki, nikt nie skomentował tej informacji na niekorzyść wójta. Tylko ja pomyślałem wtedy - "po co mu tyle tego wszystkiego". Dziś, kiedy w moich szafach mógłbym prawdopodobnie doliczyć się trzy lub czterokrotnie więcej ubrań, butów i koszul niż posiadał "przedstawiciel polskiej burżuazji" przedwojennej, utwierdzam siebie w przekonaniu, iż miał rację stary Marks dowodząc, że "byt określa świadomość".

Niemal za każdym razem, na zakończenie takiego spotkania, chłopci przyrzekali, że dopóki żyć będą do kołchozu nie pójdą.

W domu prowadziłem "sprawy kancelaryjne", bowiem matka moja w wyborach samorządowych wybrana została niby dobrowolnie do Sielskiego Sowietu /Rada Gminna/ i w związku z tym przychodziło do nas sporo interesantów po różnego rodzaju zaświadczenia. Pisałem te dokumenty odręcznie i najczęściej sam je podpisywałem imieniem i nazwiskiem matki. Robiłem to z dwóch względów: po pierwsze, matka nie bardzo się wyznawała na wystawianiu takich dokumentów i po drugie, nie miała na ogół czasu; była zajęta jakąś robotą, od której nie mogła się oderwać. Kilka razy w roku musiałem też przeprowadzić nieco większą operację biurokratyczną, a mianowicie dokonać we wsi spisu rolnego. Trzeba więc było oblecieć wszystkie chałupy i nanieść na ogromne arkusze spisowe dane o poszczególnych gospodarstwach. Arkusze spisowe były tak wielkie, że nie mieściły się często na chłopskich stołach, które przecież wcale do małych nie należały. Coraz bardziej nieufni chłopci z reguły nie podawali prawdziwych danych. Nie wiem jaką wartość przedstawiały te spisy i jakie decyzje na ich podstawie były podejmowane. Sądzę, że był to nic nie znaczący produkt szalejącej wówczas biurokracji skierowanej przeciwko indywidualnemu rolnictwu.

Podatki oraz inne opłaty ustalane były na podstawie znamion zewnętrznych każdego gospodarstwa rolnego i to przeważnie na wyższym poziomie niż by wynikało z kryteriów obiektywnych. Prawdziwą zgorą były też obowiązkowe dostawy mięsa, zboża i mleka oraz przymusowe roboty. Każdy chłop musiał sprzedać państwu określoną ilość produktów rolnych oraz wyrąbać i wywieźć z lasu własnym koniem

ustaloną ilość drewna. Za niewykonanie czegokolwiek groziły wysokie kary więzienia. Nie była to jedynie groźba; była to bardzo smutna rzeczywistość. Wielu chłopów powędrowało na długie lata do obozów pracy, tylko za to, że nie wyrabali na czas przypisanych im ilości drzewa lub nie dostarczyli wyznaczonych kontyngentów płodów rolnych. Niektórzy z nich nigdy nie wrócili do swoich domów.

Gospodarstwa takie, mimo pomocy sąsiedzkiej, szybko chyliły się ku upadkowi, nie przynosząc nikomu żadnego pożytku. Nie rozumiałem wówczas, że była to celowa polityka w stosunku do indywidualnych rolników, aby zmusić ich do wstępowania do kołchozów. Oni jednak nadal twardo się trzymali swoich własnych gospodarstw. W całej okolicy powstał tylko jeden kołchoz i to we wsi białoruskiej Reczki. Wsie polskie postanowiły trwać na swoim do ostatka. Owe trwanie nazwałem wtedy "wartą Drzymały". Określenie to stało się powszechnym hasłem chłopów. Negatywny stosunek do kołchozów wcale nie został osłabiony coraz częstszą próbą dopisywania Polakom białoruskiego rodowodu.

Mniej więcej raz w miesiącu przyjeżdżał na wieś tak zwany agitator. Był to przeważnie jakiś funkcjonariusz rejonowy /powiatowy/, który przekazywał przymusowo zebranim chłopom informacje na temat bieżących problemów Związku Radzieckiego. Zebrania takie zawsze odbywały się u nas w domu, a to z uwagi na funkcję matki. Siłą rzeczy brałem więc w nich udział.

Agitator przedstawiał stanowisko Związku Radzieckiego w sprawach polityki światowej, a następnie przechodził do problemów wewnętrznych. Do najważniejszych z nich zaliczał kolektywizację rolnictwa, obowiązkowe dostawy, podatki, wyrąb lasu i inne przymusowe roboty na rzecz państwa. Mówiąc o kolektywizacji przekonywał chłopów o wyższości kołchozów nad gospodarką indywidualną, co sprowadzało się do stwierdzenia, iż po prostu ludzie będą mniej i lżej pracować, za to będą czerpać większe korzyści. Wśród potencjalnych kołchozowników rozpowszechniono wierszyk w języku białoruskim, którego początek brzmiał:

U kołchozia dobra żyć,
Adzin robić, dziewiać spić,
a jak solance prypiacze,
i dziesiąty uciacze.

Co do przymusowych świadczeń na rzecz państwa za każdym razem powtarzał, iż niewywiązywanie się przez chłopów z nałożonych obowiązków jest sabotażem i jako przestępstwo tej kategorii będzie odpowiednio traktowane przez sądy. "Sudit budiem" - wykrzykiwał zwykle referent w czasie każdego spotkania. Nie było to tylko straszenie.

Żelaznym tematem z zakresu spraw międzynarodowych były stosunki Związku Radzieckiego z Niemcami hitlerowskimi. Na ogół wszyscy agitatorzy powtarzali tę samą formułkę, iż zawarty układ o współpracy i przyjaźni z Niemcami leży w interesie Związku Radzieckiego, że współpraca ta prowadzona jest w wielu dziedzinach, szczególnie na odcinku gospodarczym, niemniej rząd radziecki pilnie obserwuje swego partnera niemieckiego "trzymając kamień w prawej kieszeni, aby móc go szybko wydostać i użyć w razie potrzeby".

"Ciężko" na ogół przestraszeni chłopci, niemal jak bohaterowie Gogola, po każdym takim zebraniu znosili po butelce wódki i wspólnie z prelegentem pili do późna w nocy, prosząc go, aby okazał trochę łaski i nie kierował ich do sądu. Agitator im więcej wypijał tym stawał się na przemian łaskawszy i agresywniejszy. Przy okazji mówiło się o kołchozach i o jedynolicznikach /indywidualnych/, o losach jednych i drugich oraz o wszystkich innych sprawach związanych z niezwykle trudnym życiem wsi. Chłopci wyrażali przy tym swój protest przeciwko praktykom władz przymusowego wpiśnięcia im w różnych, czasami niewiele znaczących dokumentach, narodowości białoruskiej zamiast polskiej. Kwestia obywatelstwa nie podlegała żadnym sporom i dyskusjom. Każdy mieszkaniec tamtych terenów został automatycznie uznany za obywatela Związku Radzieckiego.

Na takich zebraniach ujawniała się w całej okazałości dyplomacja chłopska. To co na swoich zebraniach nieformalnych ustalali, przekazywali prelegentowi w formie grzecznej lecz stanowczej. Każde takie spotkanie kończyło się na ogół chóralnym zawołaniem - "do kołchozu, nie pójdziemy".

Uczęszczając do szkoły do miasteczka sprawowałem jednocześnie funkcję zaopatrzeniowca. Najtrudniej było zdobyć naftę i sól, produkty najbardziej niezbędne do życia codziennego, których przed

wojną było aż za dużo. Już od świtu ustawiały się przed sklepami długie kolejki, w których idąc do szkoły rezerwowałem sobie miejsce, aby wracając po 5-ciu lub nawet 6-ciu lekcjach, kupić /jeżeli dopisało szczęście/ 1 kg soli lub 1 litr nafty. Zamiast nafty można było znacznie łatwiej kupić od szoferów ciężarówek /przeważnie żołnierzy/, benzynę, lecz ta często wybuchała w lampach i była tym samym bardzo niebezpieczna. Dodanie soli do benzyny osłabiało jej właściwości wybuchowe, lecz nadal niebezpieczeństwo istniało.

Innych produktów nie kupowało się. Wieś musiała być samowystarczalna. Nie było też ani za co, ani co kupować. Chleb był własnego wypieku, materiały lniane i wełniane tkąta na własnych krosnach matka i tak się żyło. Była to oczywiście wegetacja, a nie życie. Wegetacja podszyta strachem, gdyż w każdej chwili groziła przymusowa deportacja tam, gdzie kończy się przeklęty świat a zaczyna się piekło na ziemi.

4. Okupacja niemiecka

Napaść Niemiec hitlerowskich w dniu 22 czerwca 1941 roku na Związek Radziecki spotkała się w mojej wsi z mieszanymi uczuciami, z przewagą jednak wyraźnej ulgi z powodu odejścia władzy, która tę wieś tak mocno gnębiła. I jeżeli słyszy się, że frontowe jednostki niemieckie były w wielu wsiach położonych na kresach Rzeczypospolitej witane kwiatami, to potwierdzając ten fakt trzeba jednocześnie wiedzieć, że miejscowi chłopci witali spontanicznie tych, za sprawą których odeszli poprzedni gnębiciele, nie zastanawiając się nad tym, że fetują swoich nowych prześladowców.

Osobiście nie mam żadnych powodów do zniekształcenia prawdy. Fakt, iż matka moja, aż do wybuchu wojny hitlerowsko-radzieckiej pełniła, jak wspomniałem, nic nie znaczącą funkcję radnego gminy, niektórzy chłopci zaczęli ją identyfikować z władzą radziecką i grozić zemstą. Nie obyło się też bez pogróżek pod moim adresem, a to z powodu, iż uczestniczyłem kilka razy w spisach rolnych, do których stosunek chłopów był zdecydowanie negatywny.

Trzeba pamiętać, że w pierwszym okresie okupacji niemieckiej nie było ani jednego dnia, aby Niemcy nie rozstrzelali kogoś ze

znanych osób pochodzących z najbliższych okolic, tylko dlatego, że byli za czasów władzy radzieckiej jakimiś drobnymi urzędnikami gminnymi lub powiatowymi, nie mówiąc o członkach partii bolszewickiej. Wszyscy oni byli automatycznie skazani na śmierć. Osobiście jednak nie słyszałem, aby ktoś z miejscowych chłopów należał do WKP/b/. Wśród zamordowanych ludzi, których znałem wcześniej, znalazł się listonosz, młody chłopak z sąsiedniej wsi, przewodniczący i sekretarz naszej gminy, a także kierownik najbliższego sklepu. Są to fakty powszechnie znane. Każda, chociażby najmniej prawdopodobna denuncjacja, a było takich niestety sporo, wystarczyła aby niewinną zupełnie osobę zmuszono do wykopania sobie grobu i następnie rozstrzelano.

W naszej wsi takim denuncjatorem był Wincenty Dubaniewicz, reemigrant z USA, pijak i złodziej, który wielokrotnie szantażował naszą rodzinę, wymuszając za każdym razem butelkę wódki. Zmarł nie doczekawszy zasłużonej kary.

Nic więc dziwnego, że w tym najbardziej niebezpiecznym okresie wszyscy żyliśmy pod znakiem ogromnego strachu. Do szczególnej czujności zostaliśmy zmuszeni kiedy tenże Dubaniewicz po pijanemu, w mojej obecności, próbował przekazać SS-manowi informację o tym, że moja rodzina współpracowała z władzami radzieckimi. Tylko nietrzeźwy stan denuncjatora i bariera językowa uchroniły nas przed tragedią. Uczciwi mieszkańcy wsi byli oburzeni na postępowanie tego pijaka.

Tymczasem przychodziło do nas do domu coraz więcej młodych ludzi, aby od mojej babci pobierać naukę języka polskiego. Program nauczania został z biegiem czasu rozszerzony o lekcje historii Polski. Naukę tego przedmiotu powierzono mnie, ponieważ okazało się, iż posiadam największe wiadomości z tego zakresu. Pod koniec wojny uczyło się u nas dwanaścioro dzieci w różnym wieku /od 8 do 15 lat/. Spełniło się więc moje marzenie; przestałem być uczniem i stałem się nieoczekiwanie konspiracyjnym nauczycielem.

Życie na wsi, po przejściowym uwolnieniu od strachu przed wywózką na "białe niedźwiedzie" zaczęło się znowu komplikować. Niemcy wprowadzili obowiązkowy skup płodów rolnych, a także egzekwowali podatki. Niemal na samym początku zarządzili powszechny przegląd koni i co lepsze sztuki zarekwirowali dla celów wojskowych.

Musieliśmy się pożegnać z naszym gniadym, do którego wszyscy byliśmy bardzo przywiązani. Po tym fakcie zapanowała u nas w rodzinie atmosfera, jak po stracie członka rodziny. Koń w gospodarstwie chłopskim oznacza bardzo wiele. Zaczęli też brać ludzi na przymusowe roboty. Wracało w zasadzie to, co jeszcze niedawno było największą zgorą. Oto pewnej niedzieli Niemcy wraz z miejscową policją urządzili łapankę w kościele, w czasie nabożeństwa. Wszystkich młodych, dobrze wyglądających ludzi, załadowali na samochody ciężarowe i przetransportowali do najbliższej stacji kolejowej, skąd następnie wywieźli na roboty do Niemiec. Mnie puścili do domu, ponieważ byłem bardzo młody i mało wyrosnięty. Przyznam się szczerze, że poczułem się trochę nieswojo, gdyż uważałem się już za dorosłego człowieka, a tu na raz taka dyskwalifikacja.

Wkroczenie Niemców spowodowało ożywienie ruchu osobowego między terenami należącymi do niedawna do Polski i Związku Radzieckiego. W latach 1939-1941 nie można było zwykłym zjadaczom chleba tej granicy przekraczać. Spowodowało to od samego początku okupacji hitlerowskiej ogromny napływ jednodniowych turystów z dawnych terenów radzieckich. Jedni przybywali, aby kupić coś do jedzenia, inni aby móc pomodlić się w kościele lub cerkwi, a jeszcze inni, aby się ochrzcić lub ochrzcić swoje dzieci. Ludzie ci opowiadali o swoich ciężkich przeżyciach i cierpieniach, jakich doznali od władzy bolszewickiej. Trudno było w to wszystko uwierzyć. Były to dramaty i tragedie zwykłych ludzi, którzy przeszli przez więzienia i obozy NKWD; ludzi, którym głód i śmierć zaglądały codziennie do oczu.

Przez naszą wieś, leżącą nieco na uboczu, zaczęły przewijać się grupki żołnierzy radzieckich, którzy albo uciekli z niewoli niemieckiej, albo po rozbiciu ich jednostek zmierzali w kierunku granicy, do domu. Grupek takich było coraz więcej. Wszyscy oni byli wynędzniali i obdarci. Mimo powszechnego niedostatku wieśniaczki częstowały ich czymś chata bogata.

Rozeszła się wiadomość o pędzeniu na Zachód, na trasie Budślów - Wilejka wielkich kolumn jeńców radzieckich. Mimo sporej odległości pobiegłem tam, aby to zobaczyć na własne oczy. Wróciłem do domu przygnębiony. Widok jaki tam zaobserwowałem był przerażający. Niekończąca się kolumna ledwie żywych ludzi, na wpół gołych i bosych,

podtrzymująca się wzajemnie pod ramiona, nie przypominająca w niczym byłych żołnierzy, sunęła jak wolna rzeka do przodu, otoczona, ze wszystkich stron żołnierzami niemieckimi, gotowymi w każdej chwili do strzału. Co kilka minut rozlegał się pojedynczy lub seryjny strzał, skierowany do tych, którzy już dalej o własnych siłach iść nie mogli, lub odważyli się zerwać obok traktu strąk grochu, niedojrzały kłos żyta lub inną roślinę. Po przejściu kolumny, co kilkadziesiąt metrów leżał zabity żołnierz trzymając często w zaciśniętej pięści kilka kłosek zboża lub coś innego, co miał zamiar jeszcze przed chwilą zjeść.

Przez wiele nocy sny z tymi widokami nie dawały mi spokoju. Przeżyłem to strasznie. Jeżeli jeszcze dzisiaj przypomnę ten widok, ogarnia mnie strach i przerażenie. Widoki te, jak i wiele innych przeżyć wojennych z dużą regularnością śnią mi się po nocach do dnia dzisiejszego. Budzę się wtedy spocony i zmęczony.

5. Podwójne cierpienia

Już kilka tygodni po wkroczeniu Niemców pojawiły się pierwsze grupki partyzantów radzieckich. Początkowo zaczęli bardzo nieśmiało, pod osłoną nocy, chodzić po wsiach i prosić o chleb. Następnie, w miarę upływu czasu, grupki te zaczęły urastać do coraz liczniejszych i bardziej śmiało poczynać sobie w organizowaniu żywności i odzieży. Zawsze jednak aż do końca wojny, nie stacjonowali w naszych okolicach, przebywali po wschodniej stronie przedwojennej granicy polsko-radzieckiej, a do nas przychodzili wyłącznie w celach zaopatrzeniowych. Wsie nasze traktowali jako polskie i uważali je za niezbyt sobie życzliwe.

W czasie takich wizyt dochodziło często do mniejszych i większych dramatów. Miejscowi chłopcy, biedni jak przysłowiowe myszy kościelne, zmuszeni byli do oddania partyzantom wszystkiego, co posiadali. Toteż chowali oni cały swój dobytek: inwentarz martwy i żywy, odzież oraz żywność. Ci z kolei byli wyspecjalizowani w szukaniu i zawsze znaleźli to, co chcieli. Nawet najbardziej pomysłowe kryjówki chłopskie nie stanowiły żadnych przeszkód.

Po każdej takiej wizycie partyzantów radzieckich chłop stawał się biedniejszy. Rodzicom moim zabrali konia /wraz z uprzężą i wozem/, którego sprawili sobie po zarekwirowaniu poprzedniego przez Niemców, obie krowy, kilka owiec, dwie świnie oraz wszystkie kury. Zabrali też instrumenty muzyczne, do których należały m.in.: akordeon, skrzypce i cymbały. Trzeba tu powiedzieć, że rodzina moja, z wyjątkiem piszącego te słowa, uprawiała od wielu lat muzykowanie i to nie bez powodzenia. Pozbawienie jej tej przyjemności było bardzo bolesne i przykre. Zabrali też nam całą chłopską odzież i wiejską pościel, tak że zostaliśmy literalnie bez niczego. Nic innego nie pozostało jak tylko położyć się i czekać zbiorowo na głodową śmierć. Po kilku miesiącach od tego incydentu, jakimś nieznanym mi wysiłkiem, kupili rodzice cielaka, aby dochować się w przyszłości krowy, schowali go w dobrze zamaskowanej kryjówce leśnej, lecz dzielni partyzanci odkryli to stworzenie i na naszych oczach uprowadzili. Nie można nawet było do tej kryjówki przyznać się, gdyż mogło to grozić niezwykle przykrymi konsekwencjami, bowiem uniemożliwianie bądź utrudnianie partyzantom w organizowaniu żywności traktowane było jako działanie antyradzieckie. Co to oznaczało, nie ma potrzeby mówić.

Matka moja, której w życiu nigdy nie brakowało tupetu, postanowiła udać się za granicę do wsi Sakowicze, gdzie dotarła do sztabu oddziału Suworowa lub Kutuzowa /dobrze nie pamiętam/ i zwróciła się o oddanie chociażby jednej krowiny. Tam usłyszała stanowcze "nie". Powiedziano jej przy tym, że wojna ma swoje prawa. Kiedy giną ludzie, nie powinno się przywiązywać żadnej wagi do dóbr materialnych. Argumentacja, że jej 5-cioro dzieci głoduje i świeci gołymi tyłkami zupełnie nie docierała do rozmówców. Spowodowała jedynie dodatkową reakcję przedstawiciela sztabu, a mianowicie wypowiedzenie uwagi, że "polaczki" żałują partyzantom radzieckim żywności i odzieży.

Niemal wszyscy zostali totalnie ogołoceni. Kolejne wizyty partyzanckie, mimo stawiania czasami chłopów pod ścianę i straszenia ich rozstrzelaniem, nie dawały już żadnych rezultatów. Dlatego też owe wojenne wyprawy partyzanckie odbywały się coraz dalej i dalej, w głąb terenów polskich, przyłączonych w 1939 roku do ZSRR. Tam jeszcze można było coś niecoś zdobyć. Widziało się dość często jak

wracali z takich wypraw saniami bądź furmankami, w zależności od pory roku, z załadowanymi łupami. Widziało się nierzadko jak wieźli trupy, gdyż natknęli się na opór niemieckiej żandarmerii i policji. Ryzyko było więc bardzo duże.

Spotykaliśmy też, lecz znacznie rzadziej, partyzantów polskich, należących do Armii Krajowej. Ci, nie postępowali tak jak partyzanci radzieccy. Nie odbierali ludziom siłą ani odzieży ani żywności. Nie musieli zresztą tego robić, ponieważ chłopcy byli gotowi dobrowolnie oddać im wszystko, co sami tylko mieli; nawet ostatni kawałek chleba odjęliby sobie od ust i oddali. Myślę, że to bardzo różne podejście do jednych i drugich nie wymaga głębszych analiz i komentarzy.

Kiedy z zaopatrzeniem stawało się coraz bardziej krucho, partyzanci radzieccy w sile kilku tysięcy żołnierzy okrążyli Dołhinów, gdzie stacjonowało kilkunastu niemieckich żandarmów i kilkuset policjantów i postanowili zdobyć ich zapasy broni, amunicji oraz żywności^{1/}. Mimo ogromnej przewagi liczebnej oraz użycia dział artyleryjskich a także broni maszynowej, niestety nie udało się złamać oporu broniących się i sforsować ich umocnienia. Było to w zimie 1943/1944, a więc niewiele więcej jak pół roku przed nadejściem Armii Czerwonej. Nasza wieś znalazła się wówczas pod ogniem artylerii. Po drodze do strategicznego celu splondrowano doszczętnie wszystkie wsie, w tym już kolejny raz i naszą, i zabrano wszystko, co jeszcze pozostało. Po tej akcji zapanował we wszystkich wsiach położonych wokół miasteczka totalny głód.

Przez cały czas wojny, ani tym bardziej przed, mimo permanentnych niedostatków, nie wycierpieliśmy tyle głodu co w ostatnim okresie okupacji hitlerowskiej. I to wcale nie z powodu Niemców, lecz z powodu partyzantów radzieckich. Stąd ludność miejscowa szczerze i z ogromnym zniecierpliwieniem oczekiwała wyparcia Niemców i nadejścia Armii Czerwonej, gdyż wiązała z tym zwrotem unormowanie się sytuacji i koniec niekończących się grabieży.

^{1/} W dniu tym zamordowany został przez Niemców w Dołhinowie mieszkaniec mojej wsi Adolf Leszkowicz, który w ucieczce przed partyzantami radzieckimi skrył się ze swym koniem w miasteczku, a tam potraktowany został jako zwiadowca partyzancki i natychmiast rozstrzelany.

Mniej więcej w połowie trwania okupacji hitlerowskiej rodzice moi posłali mnie na naukę do krawca, którym był brat mojej matki Włodzimierz Kurjanowicz, mieszkający we wsi Słone, oddalonej od nas o 7 km. Co poniedziałek rano wyruszałem z płaczem i wracałem z uśmiechem do domu w sobotę. Ponad rok uczyłem się krawiectwa wiejskiego i jeżeli bym powiedział, że coś potrafię z tego zakresu zrobić to bym skłamał. Nic, ale to kompletnie nic. Może dlatego, że zawodu tego nienawidziłem i to od początku pobierania nauki. Mój wuj, który przecież też miał oczy i widział jak ja do tej profesji podchodzę, powiedział od razu, że ze mnie krawca nie będzie. I zgadł. Matka z takiego obrotu sprawy była bardzo niezadowolona, bo myślała, że jej syn obszyje całą rodzinę, a tu masz - kompletny niewypał.

Po rozstaniu się z krawiectwem przez pewien czas przebywałem w Dołhinowie. Jacyś dalecy krewni nasi, z sąsiedniej wsi, zwrócili się do moich rodziców z propozycją abym się zaopiekował w miasteczku ich dwiema krowami, które były tam przechowywane przed partyzantami radzieckimi. Zadania moje miały polegać na karmieniu i pojeniu tych zwierząt, oporządzeniu łącznie z czyszczeniem, dojeniu i robieniu masła. Za te wszystkie czynności miałem prawo otrzymać cały udój mleka od jednej krowy /udój z drugiej przeznaczony był dla właścicieli obory/ i z mlekiem tym mogłem zrobić, co zechcę. Najczęściej robiłem masło i oddawałem matce, która już nie miała własnych krów lub sprzedawałem /ewentualnie w kompensacie za sól, której powszechnie brakowało/ jeżeli tylko nadarzyła się taka okazja.

Miasteczko na dzień się wyludniało, natomiast w nocy było przepełnione i gwarne. Przyjeżdżali tu okoliczni chłopcy ze swymi końmi, aby znaleźć schronienie przed partyzantami radzieckimi. Spali różnie, najczęściej w stodołach, stajniach i oborach. Niektórzy chłopcy należeli do głęboko zakonspirowanej Armii Krajowej, która pod bokiem Niemców była zawsze w najwyższym niebezpieczeństwie.

Partyzanci radzieccy, którzy mieli pełne rozeznanie co się dzieje w miasteczku, wiele razy ostrzyli zęby na przechowywany tam chłopski inwentarz żywy, ale jakoś nie mieli większej odwagi. Raz spróbowali i jak już wspomniałem, odnieśli tylko połowiczny sukces, opłaciwszy go zresztą sporymi ofiarami i wysokimi kosztami

materialnymi. Nie dostali się do rzeczy najważniejszych, będących strategicznym celem wyprawy, to jest broni i amunicji^{1/}. Sporo jednak zagarnęli koni i innych zwierząt domowych, ale było to niewspółmiernie mało w stosunku do planów i apetytów. Natomiast mój podopieczny inwentarz zabrany został nieco wcześniej przez Niemców, którzy przy aktywnej pomocy miejscowych policjantów zarekwirowali te wszystkie krowy, opiekunowie których nie mogli udokumentować faktu wywiązania się z przymusowej dostawy mleka do miejscowej mleczarni, pracującej na rzecz okupanta. O dziwo, właściciele zabranych przez Niemców krów nie mieli do mnie żadnych pretensji. No cóż, wojna ma swoje prawa.

Wszystko to działo się już po likwidacji getta żydowskiego. W czasie kiedy getto pulsowało życiem, wielokrotnie przyglądałem się z bliska niedoli jego mieszkańców. Widziałem, jak czwórkami i ze śpiewem, z łopatami na ramionach, wychodzili na zewnątrz, do kopania rowów. Rozpoznawałem wielu kolegów, z którymi razem chodziłem kiedyś do szkoły. Nie mogłem im pomóc. Byli gęsto obstawieni wartownikami.

Byłem też naocznym świadkiem likwidacji getta. Wszystkich jego mieszkańców zagoniono pewnego dnia do wielkiej stodoły dworskiej, położonej nie opodal miasteczka, oblano jakimś łatwopalnym płynem i żywcem spalono. Ci, którzy próbowali się wydostać znajdowali śmierć od kul karabinów i pistoletów.

Jeden z moich kolegów, który z takiej samej jak ja odległości oglądał tę straszną tragedię, trafiony został kulą w brzuch i zmarł tego samego dnia. Po tym wypadku uciekłem szybko do domu, gdzie ze wszystkimi szczegółami opowiedziałem o tych wydarzeniach rodzicom i sąsiadom, a nieco później przy odpowiednich okazjach polskim i radzieckim partyzantom. Niektórzy nie mogli w to uwierzyć. Istotnie, normalnemu człowiekowi nie mogło pomieścić się w głowie, że jedni ludzie mogą tak postępować z innymi ludźmi. Wśród morderców obok języka niemieckiego słyszało się wyraźnie język ukraiński oraz litewski.

^{1/} Zarówno cel akcji jak i jej wyniki podaję na podstawie własnych obserwacji oraz relacji bezpośrednich uczestników.

Tymczasem nie bardzo wiedzieliśmy co się dzieje na froncie wschodnim, a szczególnie gdzie on aktualnie przebiega. Nikt przecież na wsi nie miał radia. Nauczyciel dawno wyjechał, a ci którzy mieli takowe aparaty w miasteczku musieli je oddać Niemcom, gdyż za posiadanie odbiornika radiowego groziła kara śmierci.

Partyzanci radzieccy, którzy coraz liczniej odwiedzali wieś twierdzili niezmiennie od wielu tygodni, że front się zbliża i że za kilka miesięcy nadejdzie wyzwolenie. Nie bardzo im dowierzaliśmy. Przybyła do wsi liczna grupa tak zwanych bieżęćców, przeważnie kobiet i dzieci, wysiedlonych z rejonów przyfrontowych, istotnie wskazywała, że Rosjanie są już w odległości niewiele większej niż 300 km. O zbliżaniu się frontu świadczyły dwa dodatkowe symptomy. Po pierwsze, odnotowaliśmy wzmożony ruch lotniczy samolotów radzieckich, które nocą bombardowały cele niemieckie i po drugie, zwiększone transporty wojsk niemieckich. Po pewnym czasie przy sprzyjających warunkach atmosferycznych można było usłyszeć huk armat, który z tygodnia na tydzień stawał się wyraźniejszy. Najwyraźniej słyszało się eksplozję pocisków armatnich, przykładając ucho do ziemi i to najlepiej w nocy.

We wsi wybuchła w tym czasie epidemia tyfusu plamistego. Przywlekli tę straszną chorobę wysiedleńcy. Oni pierwsi też padli jej ofiarami. Następnie zaczęli chorować inni. O lekarzach i lekach nie mogło być mowy. Po prostu nie było. Ludzie padali jak przysłowiowe muchy.

Jako młody chłopak, wraz z bratem Janem i kolegami urzędowaliśmy niemal codziennie na pobliskim cmentarzu i kopaliśmy groby. Ziemia tej zimy była bardzo głęboko zamrznięta. Wykopanie jednego grobu wymagało nadludzkiego wysiłku, zwłaszcza, że oprócz łopat i łomów nie mieliśmy żadnych innych narzędzi. A grobów tych trzeba było wykopać nawet kilka na raz. Jedynym skutecznym sposobem ułatwiającym przebicie się przez zamrzniętą warstwę ziemi, dochodzącą czasem do jednego metra, było rozpalanie ogniska i podgrzewanie zmarzliny. Nie wiele było we wsi rodzin, które w czasie tej epidemii nie straciły chociażby jednej osoby. Było natomiast sporo takich, które pogrzebały po kilku najbliższych.

Wreszcie przyszła "Kryśka na Matyska". Pierwszy z mojej rodziny zachorował starszy brat, Jan. Niemal przez dwa tygodnie miał tak

wysoką temperaturę, że często tracił przytomność i gadał od rzeczy. Jednak wyżył. Następnie zaraza rozłożyła młodszych braci: Wacława, Wiktora i Tadeusza. Ten ostatni, najmłodszy miał najłagodniejszy przebieg choroby. Całą chorobę praktycznie przespał.

Przyszła też kolej na mnie. Pamiętam tylko tyle, że jak zachowałem był ledwie początek wiosny, a jak odzyskałem przytomność kwitły sady i było wokół bardzo pięknie. Podobno przebieg choroby był bardzo ciężki i dlatego sprowadzono do mnie księdza, aby wyspowiadał i udzielił mi ostatniego namaszczenia. Wszyscy, którzy dotknięci zostali tą straszną chorobą tracili na pewien czas włosy. Przejściowo łysych było więc bardzo dużo. Do nich też należałem. Pamiętam również jak trudna była po chorobie nauka chodzenia. Początkowo, trzymając się ściany przemierzałem po kilka kroków dziennie, a następnie zacząłem spacerować po chałupie bardziej swobodnie. Po pewnym czasie wyszedłem nawet na podwórze, aby przemierzyć kilkumetrową drogę tam i z powrotem. Na pewno i sama choroba i rekonwalescencja miałyby inny przebieg, gdyby rodzice mogli nas lepiej odżywiać. Tymczasem w rezultacie partyzanckiego działania podstawowym pokarmem pozostały ziemniaki, najczęściej bez soli oraz wojenna zupa, a więc woda z żytnią mąką, rzadko kiedy okraszona odrobiną tłuszczu. Nie zapomnijmy przy tym, że i te produkty narażone były na partyzanckie potrzeby. Trzeba więc było dalej przechowywać je, jak najdroższe klejnoty.

6. Koniec okupacji niemieckiej

Na drogach łączących małe osiedla z większymi ośrodkami zaczęły się wiosną 1944 roku coraz częściej pojawiać długie kolumny wojsk niemieckich, zmierzających ku zachodowi. Ciasno się zrobiło na trasie prowadzącej w kierunku Wilejki i Mołodeczna. Wygląd żołnierzy był zupełnie inny od tego, który w czerwcu 1941 roku charakteryzował wojsko biorące udział w "Blitzkriegu". Wtedy, dobrze odżywieni, ogoleni, wystójeni, wypoczęci i butni pędzili z dużą szybkością na wschód, do Moskwy. Teraz zarośnięci, w zniszczonych mundurach, niedożywieni i sfrustrowani zmierzali na zachód. Widomy znak zbliżania się wojny ku końcowi, choć, jak wiadomo przez cały długi rok trwały jeszcze krwawe walki.

ORZECZENIE: Powiatowej, Miejskiej lub Dzielnicowej Komisji Weryfikacyjnej

1. Zamienić legitymację stałą na legitymację kandydata,
2. Zamienić legitymację kandydata na legitymację nową,
3. Skreślić kandydata z rejestru kandydatów P. P. S.

WNIOSEK: Powiatowej, Miejskiej lub Dzielnicowej Komisji Weryfikacyjnej:

1. Wystawić legitymację stałą członkowi stałemu,
2. Zamienić legitymację kandydata na legitymację stałą,
3. Skreślić członka stałego z rejestru członków Partii.

UWAGA: Właściwe orzeczenie lub wniosek zostawić – niepotrzebne skreślić.

**Pełnomocnik
Wojewódzkiej Komisji Weryfikacyjnej**

**Przewodniczący
Komisji Weryfikacyjnej**

(pieczęć Komitetu)

Sekretarz

17. 1. 48

Wojewódzka Komisja Weryfikacyjna rozpatrzyła wniosek:

Powiatowej, Miejskiej lub Dzielnicowej Komisji Weryfikacyjnej i wydała orzeczenie:

1. Wydać legitymację stałą
2. Wydać legitymację kandydata
3. Skreślić z rejestru członków P. P. S.

**Pełnomocnik
Centralnej Komisji Weryfikacyjnej**

**Przewodniczący
Komisji Weryfikacyjnej**

..... dnia 194..... r.

Centralna Komisja Weryfikacyjna po rozpatrzeniu odwołania postanowiła:

1. Zatwierdzić orzeczenie Wojewódzkiej Komisji Weryfikacyjnej,
2. Uchylić orzeczenie Wojewódzkiej Komisji Weryfikacyjnej i wydać:
 - a) legitymację stałą,
 - b) legitymację kandydata.

Warszawa, dnia 194..... r.

**Przewodniczący
Centralnej Komisji Weryfikacyjnej**

WOJEWÓDZKI KOMITET P P S

WYDZIAŁ KADR

w

Wydano legitymację stałą Nr

157,332 rej. 4532

Wydano legitymację kandydata Nr

Skreślono z rejestru kandydatów PPS

Skreślono z rejestru członków PPS

KIEROWNIK WYDZIAŁU KADR

..... dnia 8. 4. 1948 r.

POLSKA PARTIA SOCJALISTYCZNA

OPINIA:

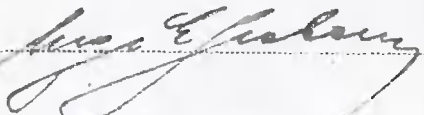
- Leszno wiec Stanisław
(nazwisko i imię)
1. Stopień uświadomienia socjalistycznego: *dobry*
 2. Działalność partyjna: *dobra*
 3. Działalność zawodowa: *B - -*
 4. Dyscyplina: *B - -*
 5. Tryb życia i sylwetka moralna: *dobra*
 6. Przejawiane nazewnątrz nałogi: *nieprzejawia*
 7. Stosunek do politycznej linii partii: *pozytywny*

UWAGA: Ewentualne zarzuty należy poprzeć dowodami i podaniem konkretnych faktów.

W związku z tym stawia się wniosek:

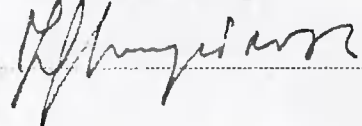
- a) wydania legitymacji stałej,
- b) wydania legitymacji kandydata,
- c) skreślenie z rejestru członków Partii
- d) skreślenie z rejestru kandydatów P. P. S.

Pełnomocnik
Powiatowej-Miejscowej-Dzielnicowej
Komisji Weryfikacyjnej



Miejsce podpisu członka:

Zarządu Koła,
Komitetu Miejscowego,
Komitetu Gminnego



Opinia wzgl. uwagi lub zastrzeżenia Sekretarza Powiatowego, Miejscowego lub Dzielnicowego Komitetu:

Miejscowość:

Data: dnia 194... r.

My natomiast niedługo musieliśmy już wyglądać na nadejście Armii Czerwonej. Trwała tak zwana Białoruska Operacja Zaczepna. Czekaliśmy na moment wyzwolenia z nadzieją i ufnością, choć nie bez uzasadnionych obaw.

Przed samym wycofaniem się Niemcy wysadzili w powietrze magazyny z bronią i amunicją oraz inne urządzenia wojskowe, znajdujące się w Dołhinowie. Obserwowałem to widowisko z niewielkiej odległości; było piękne i pokrzepiające. Byłem też naocznym świadkiem jak kilkunastu żandarmów niemieckich opuszczało Dołhinów. Na każdej furmance udającej się w kierunku najbliższej stacji kolejowej - Budsławia załadowanej po brzegi trofeami wojennymi, w towarzystwie znanych mi skądinąd panienek, siedzieli ci, którzy przez trzy lata byli panami życia i śmierci miejscowej ludności. Nie rozumiałem wtedy roli tych panienek, ale słyszałem od ludzi bardziej doświadczonych, że były to po prostu kochanki. Jedną z nich spotkałem po wojnie w Gdańsku, ale udałem, że jej nie znam.

Po tych wydarzeniach zapanowała kompletna cisza. Przez kilka dni nie było nikogo, ani Niemców, ani Rosjan, słowem bezkrólewie. Mijały równe 3 lata okupacji niemieckiej. Nie doszły nas wszak żadne wieści, aby oprócz rozebrania magazynu, w którym były zapasy żywności, stało się coś, co można by było uznać za przestępstwo. Społeczeństwo, mimo wojennej demoralizacji, wykazało dużo zbiorowego rozsądku i dyscypliny.

Ludzie oczekiwali nadejścia pierwszych oddziałów Armii Czerwonej z olbrzymią niecierpliwością, ale i godnym spokojem. Wszyscy wiązali ten moment z upragnionym pokojem i unormowaniem życia. Nareszcie skończy się barbarzyństwo okupantów niemieckich i samowola partyzantów radzieckich; skończy się podwójne cierpienie wszystkich mieszkańców. Coraz mniej zaczęło się mówić o masakrze oficerów polskich w Katyniu. Był to widomy znak, iż kończy się zasięg oddziaływania propagandy niemieckiej i zaczyna się, choć na razie jeszcze na odległość, przymusowe uznawanie rozpowszechnionej przez partyzantów radzieckich wersji moskiewskiej. Chłopi polscy nie mieli wątpliwości, kto był mordercą Polaków, na długo jednak musieli nabrać wody w usta.

Rozeszła się lotem błyskawicy wiadomość o ponownym powstaniu państwa polskiego. Był to najbardziej radosny, choć mocno kontrowersyjny temat. Jedni twierdzili, że kraj nasz odzyska swoje dawne granice na wschodzie i stanie się samodzielnym i suwerennym państwem, drudzy mówili, że Polska w okrojonych granicach włączona zostanie do Związku Radzieckiego, jako jedna z Republik Związkowych.

Opinie te zmieniały się w zależności od źródeł ich pochodzenia. Co innego mówili partyzanci polscy, a co innego partyzanci radzieccy. Dużo było chciejstwa nie uwzględniającego realizmu politycznego; nie brakowało też celowej dezinformacji.

7. Droga do Polski

Pierwsze frontowe oddziały Armii Czerwonej przybyły w końcu czerwca 1944 r. Było to inne wojsko niż w latach 1939-1941. Znacznie lepiej umundurowane i nowocześniej wyposażone. Wydawało się, iż mimo warunków frontowych było też lepiej odżywione. Przeważnie każdy żołnierz miał w swoim worku jakąś konserwę, najczęściej tak zwaną tuszonkę wieprzową^{1/} i kawałek podsuszzonego chleba. Raz udało mi się zdobyć taką puszkę konserwy. Jej smaku i zapachu nie zapomnę do końca życia. Żołnierz, z którym dokonałem wymiany towarowej, butelkę wódki /samogonu/ za konserwę, dodał mi jeszcze z własnej woli wojskowe prześcieradło, z którego matka uszyła mi zaraz wyjściową bluzę.

Niemal na drugi dzień po wkroczeniu czerwonarmistów zaczęła funkcjonować administracja. Podjął pracę urząd powiatowy, urzędy gminne oraz milicja. Wszystkie ważniejsze funkcje objęli byli partyzanci radzieccy.

Komunikaty wojenne, nadawane przez zainstalowane tu i ówdzie na prędcie głośniki, zwane powszechnie kołchoźnikami, informowały społeczeństwo o dalszych sukcesach Armii Czerwonej. Nie było dnia, aby nie odnotowano nowych nazw miast i miasteczek, z których wyparto Niemców. Na wszystkich pojazdach wojskowych napisy głosiły: za rodinu, za Stalina, wpieriod na Berlin, Dobit' wroga w jego sobstwiejnoj borłogiej, Nasze dieło prawoje my pobiedim, Smiert' niemieckim zachwaczikom i inne.

^{1/} Dopiero po wojnie dowiedziałem się, że były to konserwy dostarczane do ZSRR przez Stany Zjednoczone A.P. w ramach współpracy wojennej.

Kiedy na jednej z amfibii zauważyłem napis "Made in USA", zapytałem młodego oficera, co oznaczają te litery. Ten, bez najmniejszego zastanowienia się odparł "Ubit' Sobaku Adolka". Odpowiedź mi się podobała; była szybka i dowcipna.

Tymczasem komunikaty wojenne, czytane przez speakera Borysa Lewitona, najbardziej doniosłym głosem, jaki tylko można było kiedykolwiek przez radio usłyszeć, głosiły, że Armia Czerwona posuwa się nadal na zachód. Po raz pierwszy też usłyszałem na własne uszy, że u jej boku walczą jednostki Wojska Polskiego. Był to dzień 22 lipca 1944 roku, dzień Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego /PKWN/. Wspomniano przy tym o powstaniu państwa polskiego w piastowskich granicach i powiedziano coś niecoś o jego założeniach ustrojowych. Miało to być państwo robotników i chłopów. Już wtedy podjąłem mocne postanowienie, że moje miejsce będzie w Polsce, niezależnie od tego, gdzie by ona nie była.

Wkrótce po tym komunikacie ogłoszono mobilizację mężczyzn do wojska, ma się rozumieć polskiego. Wieś naszą na raz opuścili wszyscy mężczyźni w sile wieku. Mój rocznik, niestety jeszcze nie podlegał mobilizacji. Szczecze tego wówczas żałowałem. Zaczęły też nadchodzić wieści o wybuchu w dniu 1 sierpnia 1944 r Powstania Warszawskiego. Oficjalne środki masowego przekazu traktowały jednak ten temat bardzo powściągliwie. Ow powściągliwy, a raczej wrogi stosunek do Powstania Warszawskiego wpływał z polityki Związku Radzieckiego do Armii Krajowej, identyfikowanej z "bękartem wersalskim". Dlatego NKWD tak brutalnie rozprawiło się z licznym oddziałem podziemnego Wojska Polskiego na Wileńszczyźnie, które jeszcze przed kilkoma dniami wspomagały jednostki Armii Czerwonej w wypieraniu hord hitlerowskich. Gros oddziałów AK deportowano w głąb Rosji, zaś nieliczni żołnierze, którym udało się zbiec, przedostali się różnymi sposobami do Polski, gdzie albo zasilili szeregi armii gen. Berlinga albo pozostali wierni przysiędze AK.

Kiedy wieś opustoszała i zostały niemal same baby, starcy i dzieci, trzeba było wziąć się do roboty i nie tylko swoje obrobić, ale również pomóc sąsiadom. Sianokosy, żniwa i orka, a także siew zbóż stały się moim codziennym zajęciem. Pracowało się świątki i piątki od rana do nocy, bez jakiegokolwiek wypoczynku. Wszystkie gospodynie, którym pomagałem prowadzić gospodarkę, starały się,

aby ciężko pracujący chłopcy byli dobrze nakarmieni. Wiedziały, że jest to warunek dobrej roboty. Wynagrodzenie za pracę otrzymywaliśmy w naturze, najczęściej w zbożu.

Wieczorami byłem tak samo jak dawniej wiejskim "czytaczem". Inna była tylko lektura. Tym razem czytałem listy przychodzące od żołnierzy, pisane wyłącznie w języku polskim. Najczęściej matki bądź żony, nie zawsze umiejące same czytać, przychodziły wieczorami do nas do domu z listami od swych synów i mężów, aby im je przeczytać. Czyniłem to chętnie i z dużym zainteresowaniem, gdyż sam się dowiadywałem trochę nowin z dalekiego świata. Listy te były bardzo szablonowe. Najczęściej ograniczały się do wiadomości, że piszący żyje i jest zdrowy. Były to oczywiście wiadomości nader istotne, bo cóż może być w czasie wojny ważniejsze od życia i zdrowia. Były one pisane na różnych kartkach papieru, składane w trójkąty i bez jakichkolwiek kopert wysyłane do adresatów. Na zewnętrznej stronie figurowały dwa stemple: "sprawdzono przez cenzurę wojskową" i "prosmotreno wojennoj cenzuroj". Adresów nadawców nie było; figurowało jedynie imię i nazwisko oraz numer poczty polowej. Niemniej można było się dowiedzieć, że nasi chłopcy są w II Armii Wojska Polskiego, w okolicy Rzeszowa i przygotowują się na front.

Listów tych było bardzo dużo. Takie zbiorowe czytanie odbywało się dwa razy w tygodniu i trwało po kilka godzin, bowiem niektóre z nich, na życzenie matek lub żon, trzeba było czytać po kilka razy. Dość często też niektóre fragmenty listów należało skomentować, ponieważ ich autorzy dużo "pisali" między wierszami, szczególnie jeśli chodzi o problemy dotyczące niepodległości Polski. Znana to chłopska metoda przekazywania prostych i oczywistych wiadomości w skomplikowany sposób.

Czytanie listów weszło do stałego programu życia wsi. Przychodzili wszyscy, i ci, którzy listy otrzymywali, i ci, którzy w ogóle nikogo w wojsku nie mieli. Trzeba było jednak widzieć twarze matek i żon, które przez kilka tygodni nie miały znaku życia od swoich. Wyglądały one tragicznie. Pewnego dnia musiałem też, w obecności matki, przeczytać pierwszą wiadomość o śmierci jej syna,

o śmierci Adolfa Leszkowicza, lat 22^{1/}. Moment ten przeżywam jeszcze dziś, mimo dużego dystansu czasowego.

Jesienią 1944 roku, kiedy front oparł się o Wisłę, władze radzieckie ogłosiły, iż każdy Polak może wyjechać do Polski. Wiadomość zainteresowała mnie bardzo. Niezwłocznie udałem się do Dołhinowa, będącego ponownie siedzibą władz gminnych, aby zasięgnąć języka w tej sprawie.

Istotnie, okazało się, że chętni mogą się zgłaszać i "zapisywać" się na wyjazd. Warunki, jakie musiały być spełnione, wcale nie były uciążliwe.

Przed stołem, przy którym siedział urzędnik załatwiający formalności, ustawiła się spora kolejka. Po kilku godzinach oczekiwania stanąłem twarzą w twarz z przedstawicielem władzy, mówiącym tylko po rosyjsku. Widocznie pochodził ze Wschodu. Byłem zdenerwowany, wszak pierwsza to w życiu poważna rozmowa. Zrobiło mi się wyraźnie gorąco, że aż się spociłem. Objaw ten pozostał mi na dłużej.

Uprzejmy urzędnik poinformował mnie, że muszę przede wszystkim udowodnić, że jestem Polakiem /miałem polskie dokumenty rodziców/, uzyskać zgodę rodziców i bez przeszkód otrzymam kartę repatriacyjną, upoważniającą do wyjazdu do Polski.

Po powrocie do wsi rozpocząłem agitację wśród swoich rówieśników, aby jechali wraz ze mną. Nikt nie chciał. Trwała jeszcze wojna i wszyscy się bali. Wreszcie, po dłuższych przekonywaniach, udało mi się namówić dwie osoby. Smiałkowie ci to mój rówieśnik Mieczysław Manulik, późniejszy pułkownik dypl. W.P. i o kilka lat starsza od nas Anna Leszkowicz, mieszkająca po dzień dzisiejszy na Dolnym Śląsku. Ta ostatnia, mimo zbieżności nazwisk nie była ze mną spokrewniona.

Rodzice, których poinformowałem o swoich daleko idących zamiarach, nie wykazali żadnego entuzjazmu dla mojego pomysłu, ale też i nie zaprotestowali. Powiedzieli - jedź sobie. Mieli pięciu synów, dla których nie było w domu żadnych perspektyw. Wiedzieli, że moim

^{1/} Zbiegiem okoliczności to samo imię i nazwisko nosił mój ojciec, a także mieszkaniec mojej wsi zamordowany przez Niemców w Dołhinowie oraz wymieniony tu żołnierz W.P.

jedynym marzeniem jest jak najszybsze wyrwanie się do Polski i oderwanie się od wsi, która miała być wkrótce przekształcona w kołchoz.

W ciągu dwóch dni skompletowałem wszystkie niezbędne dokumenty, i to nie tylko dla siebie, ale również i dla pozostałej dwójki i udaliśmy się wszyscy przed oblicze poznanego już wcześniej urzędnika. Ten obejrzał dokładnie nasze dokumenty, w moim osobistym wykonaniu, i oświadczył, że są one poprawnie sporządzone oraz wiarygodne i natychmiast wystawił nam karty repatriacyjne.

Wróciliśmy do domu dumni ze swych osiągnięć. Nikt nie chciał wierzyć, że mamy już przy sobie niezbędne papiery wyjazdowe, a jak się o tym przekonali naocznie, nie traktowali poważnie naszych zamiarów. Działo się to przed Bożym Narodzeniem roku 1944, a wyjazd był wyznaczony na pierwszą dekadę stycznia 1945 roku.

Towarzyszka i towarzysz mojej przyszłej niedoli kilka razy zmieniali swoje zamiary. Przychodzili do mnie od czasu do czasu do domu, aby zakomunikować, że nie jadą, pozostają na wsi. Za każdym razem, po dłuższej perswazji, wychodzili z mocnym postanowieniem wyjazdu.

Boże Narodzenie świętowaliśmy w wysokiej temperaturze. Ja w dalszym ciągu czytałem listy matkom i żonom żołnierzy, roztaczając przy tej okazji wizję swoich podróży. Zmyślałem co tylko mogłem, aby poprawić nieco nienajlepsze humory słuchaczy. Zapowiadałem im wyjazd do Warszawy, która była jeszcze pod okupacją niemiecką, a następnie wykorzystując swoje wiadomości z geografii, przedstawiałem plan swoich podróży po świecie. Wymieniałem przy tym niemal wszystkie większe stolice państw rozrzuconych po różnych kontynentach, z wyjątkiem Moskwy. Nie przyszło mi nawet do głowy, że będę miał okazję być w tym ciekawym mieście wiele razy po wojnie. Tak się jakoś w życiu ułożyło, że wszystkie inne "plany" podróży z upływem czasu urzeczywistniły się. Z wyjątkiem Afryki poznałem nieźle Europę, Azję, obie Ameryki, a nawet Australię. Nie miejsce jednak i nie czas, aby o tym pisać tu i teraz.

Ze skromnych sprawunków na podróż najważniejszy^{m)} były buty. Pojechałem z rodzicami na targ i za zarobione uprzednio pudry żyta kupiliśmy nowe, czarne buty z cholewami. Pierwszy raz w życiu prawdziwe buty na moich nogach; poprzednio chodziłem w lecie boso, a w zimie w łapciach.

Kochana moja babcia podarowała mi drewniany, na niebiesko pomalowany, kuferek, z którym jeden z jej synów, a mój ojciec odbył służbę w polskich formacjach wojskowych w latach 1919-1920; innych dwóch jej synów zginęło na frontach I wojny światowej, jako żołnierze Rosji carskiej. W kufierku tym znalazł się bochenek chleba, kawałek słoniny, mydło, szczotka i proszek do zębów oraz dwie chusteczki do nosa. Nie miałem problemu z pakowaniem ubrania i bielizny, ponieważ te wszystkie rzeczy miałem na sobie. Była to moja pierwsza, prawdziwa podróż w życiu. Dotychczas jeszcze nigdy nie oglądałem z bliska pociągu i nigdzie nie byłem poza szkolną wycieczką nad jezioro Narocz, dokąd odbyliśmy podróż pieszo i furmankami.

W dniu 17 stycznia 1945 roku - jak się okazało w dniu wyzwolenia Warszawy - matka zaprzęgała pożyczonego konia w sanie i powiozła mnie do Krzywicz, do najbliższej stacji kolejowej /Kniahinin/, odległej o 18 km od rodzinnej wsi.

Przed tygodniem ruszyła ofensywa, która przeszła do historii II wojny światowej jako Ofensywa Styczniowa. Na stacji nie było jeszcze nikogo, ale wagony, oczywiście bydłace były już podstawione i oczekiwały na bocznicę na swych pasażerów. Było ich kilkanaście. Wreszcie w południe zaczęli zjeżdżać się pierwsi, nie licząc mnie, pasażerowie. Niektórzy pozabierali ze sobą cały swój dobytek życiowy. Ulokowałem się w jednym z wagonów, w samym kącie, w którym znaleźli sobie również miejsce moi współtowarzysze. Myślałem, że w ostatniej chwili zrezygnowali oni z podróży, ale okazało się, iż nie pozwolili im na to honor. Zorganizowaliśmy trochę słomy, aby było miękko. Do wagonu tego załadowało się jeszcze kilka znajomych rodzin z Dołhinowa i innych miejscowości. Między innymi zajął miejsce wraz ze swoją siostrą mój szkolny kolega Jan Dubaniewicz z Żar, który później, po ukończeniu studiów medycznych w Gdańsku, przez wiele lat pracował w Łomży jako lekarz w miejscowym szpitalu. Pożegnanie z matką było smutne. I matka i ja rozpłakaliśmy się do łez.

Pociąg tego dnia nie odszedł. Czekał na sygnał odjazdu jeszcze kilka ładnych dni. Nikt nie wiedział dlaczego. Prawdopodobnie wskutek ogromnego ruchu wojska. Wszak trwała ofensywa, która przyniosła wyzwolenie wielu polskim miastom, położonym po lewej stronie Wisły.

Wreszcie odjechaliśmy. Był 21 dzień stycznia 1945 roku. Jeszcze nigdy tak luksusowo nie podróżowałem. Okazuje się, że wszystko na świecie jest względne. Pociąg toczył się gładko po szynach, wydając równomierny, charakterystyczny stukot.

Miałem wrażenie, że tej pierwszej nocy przejechaliśmy setki kilometrów. Tymczasem oddaliliśmy się zaledwie o 50 km od stacji, z której wyruszyliśmy.

Jechaliśmy w stronę granicy polskiej. Czasami pociąg zatrzymywał się w szczerym polu, bo zabrakło opału albo maszynista miał pragnienie, o czym uprzejmie informował pasażerów jego pomocnik. Wtedy pasażerowie składali się na pół litra wódki dla szefa parowozu i pociąg ruszał dalej. Na wszystkich większych stacjach staliśmy dość długo, nierzadko nawet całą dobę i więcej. W ten sposób mogliśmy zwiedzić Lidę, Wołkowysk i Grodno. Aż w końcu dotarliśmy do granicy. Myśleliśmy, że wkrótce nastąpi kres naszej podróży. Tymczasem jeździliśmy jeszcze w tych samych wagonach, od stacji do stacji, przez dwa tygodnie, bowiem nikt nie chciał przyjąć takiego ładunku. Nie chciały nas przyjąć władze takich miast jak Białystok, Ostrołęka, Łomża i Siedlce. Tłumaczyły się brakiem możliwości. Dziś wcale się nie dziwię. Nie mogły przecież one przygarnąć własnych mieszkańców, coraz liczniej powracających z wojennej tułaczki. Wtedy byłem oburzony na ich bezduszność i znieczulicę. Najbardziej dokuczały nam trzy zmary: chłód, głód i brud, a konkretnie mówiąc, wszy. Mróz na zewnątrz przekraczał często -20° celsjusza. Małeńki piecyk nie był w stanie ogrzać całego wagonu; brakowało też opału.

Dopiero Zarząd Miasta Łukowa zgodził się na rozładowanie tych nieszczęśników. Była połowa lutego 1945 roku. Zakończył się stary i rozpoczął się nowy, jakże trudny, a zarazem ciekawy rozdział w moim życiu.

II. W NOWYCH WARUNKACH

1. Trudne początki

Pociąg nasz odstawiono na bocznice przy rampie towarowej. Po kilku godzinach oczekiwania zjawiła się delegacja zarządu miasta Łukowa, która symbolicznie przejęła transport. Na stacji ruch ogromny; co najmniej tuzin eszelonów wojskowych stało pod parą; tysiące żołnierzy i oficerów radzieckich czekało na sygnał odjazdu. Jedni kierowali się na zachód, drudzy na wschód. Wojsko jadące na zachód ma przeważnie świeży wygląd, podczas gdy wracające z frontu jest zmęczone i ma na sobie zniszczone szynele. Pociągi osobowe ze znakami Czerwonego Krzyża, wiozące ciężko rannych, mają pierwszeństwo w ruchu. Zatrzymują się na stacji zaledwie na kilkanaście minut i po nabraniu wody do parowozów, ruszają dalej. Tuż obok nas wyrosła jak spod ziemi grupa żołnierzy polskich, udająca się na południe, w kierunku Krakowa. Wyglądali na niedożywionych i zmęczonych. Prawie wszyscy pochodzili z kresów wschodnich, a więc ziomkowie /krajanie/. Wspólnych tematów mnóstwo. Naszych rozmówców interesowała głównie sytuacja ich rodzin, zamieszkałych na dawnych terenach polskich, przyłączonych do ZSRR, zaś nas perspektywy zakończenia wojny i możliwości osiedlenia się i pracy w Polsce centralnej.

Wyglądaliśmy i czuliśmy się wszyscy tak jak byśmy wracali z frontu. Byliśmy głodni i brudni, a nade wszystko zawszeni. Nareszcie koniec tego wojażowania. Wszyscy cieszą się i jednocześnie martwią, gdyż nie rozstają się z myślą - co dalej.

Ze stacji skierowano nas do pomieszczeń szkolnych nieopodal dworca kolejowego. Tam rozlokowano w kilku klasach, dając możliwość obmycia narosłej w czasie podróży warstwy brudu i ugotowania garnka wody. Nareszcie można było swobodnie rozprężyć ręce i nogi oraz pospacerować wokół budynków szkolnych, bądź pójść na nabożeństwo do kościoła, bez obawy ucieczki pociągu.

W ciągu pierwszych kilku dni całe to powiatowe miasto, a właściwie miasteczko, przemierzyliśmy po kilka razy wzdłuż i wszerz. Choć było ono bardzo zniszczone, przedstawiało dla nas inny, nowy

świat. W śródmieściu pozostały praktycznie sterty gruzów. Życie jednak kwitło. Na każdym kroku widziało się sklepy i zakłady rzemieślnicze. Przemysłu nie było. O jakiegokolwiek pracy nie było też prawie mowy. Kolej, stanowiąca podstawowe źródło utrzymania większości mieszkańców miasta nie potrzebowała więcej ludzi do pracy. Kilku naszych kolegów zdołało zatrudnić się w "Społem", w charakterze robotników niewykwalifikowanych, ale limit skromnych możliwości tej, zasłużonej skądinąd spółdzielni, został szybko wyczerpany. Towarzyszka naszej podróży Anna znalazła zajęcie przy jakiejś rodzinie nauczycielskiej, jako pomoc domowa. Miała kąpielnicę oraz przysłowiowy wikt. My natomiast, to jest Mietek i ja, wynajęliśmy się po kilka razy do rozładunku wagonów z węglem w miejscowej parowozowni, ale było to zajęcie doraźne, a poza tym bardzo ciężkie i marnie płatne. Najmocniej nam jednak dokuczał brak kąpielnic do zamieszkania. Ze szkoły musieliśmy się wyprowadzić, przy czym rodziny z dziećmi ulokowane zostały w przysposobionych do tych celów na prędko prowizorycznych mieszkaniach, natomiast o nas, samotnych chłopaków, nikt się nie troszczył. Można było wynająć pokój za pieniądze, ale my ich nie mieliśmy. Po kilku tygodniach szwendania się i głodowania, za pośrednictwem i przy pomocy dobrych ludzi wyjechaliśmy obaj do wsi Swidry, koło Łukowa i tam rozpoczęliśmy pracę u miejscowych chłopów, Świderskich w charakterze parobczaków. Nie było innego wyjścia. Znowu wieś i charakterystyczny dla niej żywot. Wstawanie prawie jeszcze w nocy, przygotowywanie karmy dla trzody i bydła, podawanie jej zwierzętom, rąbanie i noszenie drewna opałowego, to podstawowe czynności, do jakich znowu powróciłem. Są to oczywiście prace typowe dla zimowej pory roku; miały one ulec odpowiednim zmianom w miarę przybliżania się wiosny. To jest los. Wyjechałem z jednej wsi i trafiłem do drugiej, wcale nie lepszej. Gospodarze moi, stosunkowo młodzi, byli sami bardzo pracowici i wymagali tego samego ode mnie. Roboty wiejskiej nie bałem się, byłem do niej dobrze zaprawiony od dziecka. Jedzenie dobre, praktycznie w nieograniczonych ilościach. Po wieloletnim głodzie i półgłodzie mogłem wreszcie najeść się do syta i podreperować swoją nadszarpniętą nieco kondycję fizyczną. Snu też wystarczyło, choć wolałbym tak wcześnie nie wstawać. Pracowałem w zasadzie za jedzenie i mieszkanie, bez dodatkowego wynagrodzenia.

Od czasu do czasu spotykałem się ze swym kolegą, który pracował u starszego brata mojego gospodarza. Rozważaliśmy co mamy robić dalej. Snuliśmy różne plany, aż do wstąpienia na ochotnika do wojska. Wojna jeszcze trwała, choć jej koniec wydawał się być bliski. W żadnym razie nie mieliśmy zamiaru pozostawać na wsi. Wraz z decyzją wyjazdu do Polski założyłem przeciw zamianę wsi na miasto.

Pewnego kwietniowego dnia, 1945 roku, postanowiliśmy nieodwołalnie opuścić naszych pracodawców i udać się ponownie do Łukowa. Pożegnanie z gospodarzami było krótkie, pozbawione jakichkolwiek sentymentów i wzajemnych pretensji. Kolega natychmiast zgłosił się na ochotnika do wojska i rozwiązał sobie wszystkie problemy życiowe. Mnie mundur nie pociągał. Zatrudniłem się więc w niewielkiej cegielni, położonej tuż pod miastem, w charakterze robotnika niewykwalifikowanego. Robota była bardzo ciężka /mieszanie gliny/ ale dobrze płatna. Dostałem też zezwolenie znanego łukowskiego dorożkarza, Piotra Rychty na "zamieszkanie" w budynku gospodarczym, w którym mieściła się stajnia wraz ze stodołą. Moim najbliższym współlokatorem był mocno wychudzony, dorożkarski koń. Nigdy w swoim dotychczasowym życiu nie uchylałem się od ciężkiej roboty, ale ta którą rozpocząłem teraz przekraczała moje możliwości fizyczne. Codziennie wracałem "do domu" wykończony. Młody, niedożywiony latami organizm nie wytrzymywał takiego tempa i wysiłku. Przekraczało to granice moich możliwości. Każdy dzień pracy w cegielni pogarszał moją kondycję.

Dobroczyńca mój, który rzadko kiedy bywał trzeźwy, ale zawsze uczynny, zaproponował mi abym rzucił tę cholerną robotę i zaczął, podobnie jak inne chłopaki w moim wieku, sprzedawać chleb na stacji kolejowej. Posłuchałem się dobrych rad p. Piotra i wystartowałem. Codziennie rano, możliwie najwcześniej biegłem do jednego z piekarzy, najczęściej Banacha /było ich w mieście około pół tuzina/, kupowałem za cały swój kapitał obrotowy worek chleba i co sił pędziłem na stację, aby sprzedać towar z odpowiednim oczywiście zarobkiem. Odbiorcami towaru byli głównie żołnierze radzieccy. W tym moim handlu obowiązywały te same reguły gry co w każdym innym biznesie. Kto pierwszy ten lepszy. Dopiero po wielu latach, podróżując służbowym mercedesem po Europie Zachodniej

usłyszałem w radio wywiad z A. Onasisem, znanym greckim armatorem, który odpowiadając na pytanie dziennikarza, co on robił, że dorobił się tak wielkiej fortuny, oświadczył, że zawsze co najmniej o pół godziny wstawał wcześniej niż jego konkurenci. Moje bardzo wczesne wstawanie do żadnego majątku mnie nie doprowadziło, ale mogłem dzięki temu przeżyć. A to się też liczy. Rzadko, ale się zdarzało, jak w każdym innym handlu, że miałem do odnotowania straty nadzwyczajne. Oto jakiś klient brał bochenek chleba i nie płacąc uciekał do swojego wagonu. Jeżeli mi się udało zidentyfikować takiego delikwenta i znaleźć jego przełożonego mogłem czasami wyegzekwować swoją należność. Częściej trzeba było jednak pogodzić się ze stratą. Ryzyko wszędzie może dopaść człowieka. Jako ekwiwalent za "mieszkanie" i otrzymywany na prawach członka rodziny wikt, zobowiązałem się wobec p. Piotra i jego dobrotliwej małżonki, że będę zaopatrywał cały dom w chleb. Innymi słowy ja pracowałem na chleb, zaś p. Piotr Rychta na resztę. Była to prawdziwa kooperacja, która mi rozwiązywała podstawowe problemy życiowe. Państwo Rychtowie nie traktowali mnie pod względem wyżywienia gorzej niż swoją piątkę drobnych, nad podziw udanych dzieci. Tymczasem zaczął mi się powoli dawać we znaki inny problem. Otóż buty moje, z których byłem swego czasu tak dumny, okazały się niezbyt trwałe i zaczęły mi z nich wyłazić nogi. W tej sytuacji musiałem sobie sprawić jakieś inne obuwie. Nie było to takie łatwe. Na targu w Łukowie można było co prawda kupić jakieś buciory, ale ja po prostu nie miałem za co. Sprzedając chleb na stacji zacząłem więc "na chybił trafił" pytać swoich kontrahentów, czy nie mieliby do sprzedania butów. Po kilku dniach autentycznego sondażu rynku jeden z żołnierzy radzieckich powiedział mi, że może swoje buty, będące na nogach, zamienić na moje, ale muszę mu dopłacić w naturze, a mianowicie dodać pół litra wódki /samogonu/ i bochenek chleba. Warunki transakcji uznałem za korzystne i zaakceptowałem. Pobiegnę do znanej mi meliny, tuż przy stacji kolejowej, kupiłem półlitrowkę "bimbru" i po kilku minutach miałem na nogach ciężkie i jak się później okazało niezwykle trwałe buty. Potwierdzona została stara prawda o wartości czynnika czasu w handlu. Time is money. Poczułem się jak prawdziwy burżuj. Nareszcie sucha noga. Buty te służyły mi blisko dwa lata. Chodziłem w nich zarówno w zimie, jak i w lecie, chociaż w okresie upa-

łów miałem często odparzone nogi, a to z powodu gumowych spodów. Nadwrażliwość moich nóg pozostawała w niewątpliwym związku z faktem ich odmrożenia w dzieciństwie.

Wraz z upływem czasu nieco rozbudowałem swój interes handlowy i oprócz chleba sprzedawałem również papierosy, ma się rozumieć na sztuki. Po towar jeździłem do Radomia; tam można było kupić trochę taniej niż w Łukowie. Wiadomo, centrum przemysłu tytoniowego. Koszty przejazdu nie obciążały mojej kalkulacji kupieckiej, gdyż jeździło się "na gapę", oczywiście pociągami towarowymi.

Na stacji nadal panował ogromny ruch i to przez całe 24 godziny na dobę. Oprócz żołnierzy radzieckich i polskich coraz więcej jechało jeńców niemieckich; podążali na wschód, w kierunku Moskwy; jechali tam w zasadniczo różnym charakterze niż przed laty. Wszyscy oni byli dobrymi nabywcami chleba i papierosów, gdyż nie mając polskich pieniędzy płacili w naturze, oferując różne części garderoby lub przedmioty należące do wyposażenia wojskowego. Można więc było w ten sposób nabyć jakąś bluzę lub koszulę, a nawet menażkę czy manierkę. Najtrudniej jednak było dostać się do takiego pociągu, gdyż był on zwykle gęsto i pilnie strzeżony przez żołnierzy radzieckich. Znając dobrze język rosyjski oraz dając wartownikowi bochenek pysznego, jeszcze ciepłego chleba, można było się dostać do jego "podopiecznych" i z nimi zahandlować. Tu przydawała mi się bardzo znajomość podstaw języka niemieckiego, wyniesiona ze szkoły radzieckiej.

Od czasu do czasu chłopaków handlujących chlebem i papierosami goniła ze stacji milicja - czyli straż ochrony kolei /SOK/; nie byli oni też ulubieńcami patroli NKWD, które interesowały się wszystkim, co się dzieje w zasięgu ich rozległych zainteresowań. Znaliśmy się wzajemnie wszyscy jak starzy przyjaciele. Niektórzy "enkawudyści" bardzo interesowali się moją znajomością języka rosyjskiego, skąd taki młody człowiek zna tak dobrze ich język - zapytywali. Odpowiedź moja niezmiennie brzmiała - nauczyłem się na dworze cara Mikołaja II-go.

Nie była to bezpieczna zabawa, gdyż oni na żartach się nie znali i mogli wsadzić człowieka do pierwszego lepszego pociągu i zanim by się obejrzał, mógłby się znaleźć z powrotem za Bugiem,

a może nawet i za Uralem. Tak zrobili z młodym człowiekiem, Polakiem, pochodzącym z Wołynia, który wracając z przymusowych robót w Niemczech, zatrzymał się na kilka dni w Łukowie i miał zamiar osiedlić się na stałe w Polsce. Żadne tłumaczenie nie pomogło. Grażdanie Sowietckiego Sojuza dołżny wozwrotitsia na rodinu. Od tego incydentu, którego byłem naocznym świadkiem, unikałem spotkań z patrolami noszącymi na ramionach czerwone opaski z napisem NKWD, a ich stały posterunek mieszczący się w budynku przydworcowym omijałem z daleka.

Pewnego dnia, na początku maja, tuż przed końcem wojny, spotkałem przypadkowo żołnierza polskiego, pochodzącego z mojej wsi, który wracał do swojej jednostki z krótkiego urlopu. Przekazał mi smutną wiadomość, a mianowicie, że zmarł mój ojciec, przeżywszy zaledwie 47 lat. Stało się to w pierwszym dniu Świąt Wielkanocnych 1945 roku. Wiadomość tę bardzo silnie przeżyłem, jak uderzenie obuchem w głowę. Opuściwszy stację kolejową udałem się na miejscowy cmentarz, aby symbolicznie wziąć udział w pogrzebie. Znowu stanął mi przed oczyma cały dom rodzinny, ze swymi blaskami i cieniami. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić jak przeżyła tę śmierć matka, babcia i rodzeństwo. Dopiero za kilka tygodni otrzymałem list od matki potwierdzający tę smutną wiadomość. Matka napisała jednocześnie, iż zamiar ewentualnego przesiedlenia się do Polski całej rodziny nie wchodzi obecnie w rachubę. Niedługo po tym wojna dobiegła końca. Dnia 8 maja 1945 r akurat w dniu moich imienin, dowództwo niemieckie zmuszone zostało do ogłoszenia bezwarunkowej kapitulacji. Był to pierwszy, zarazem najpiękniejszy prezent imieninowy, jaki otrzymałem w życiu. W krajach wyzwolonych przez Armię Czerwoną za dzień zakończenia wojny przyjęto 9 maja, gdyż datę tę nosi powtórzony akt kapitulacji hitlerowskiej podpisany przez najwyższych dowódców Wehrmachtu w Berlinie Wschodnim, w obecności przedstawicieli Armii Radzieckiej oraz jej aliantów. Toteż 9 maja 1945 roku o godz. 12.00 czasu moskiewskiego, zawyły na stacji kolejowej w Łukowie syreny i rozległy się strzały na wiwat. Podróżnych ogarnęła istny szal radości. Wszyscy ze wszystkimi się całowali i wznosili okrzyki: pokój, pokój, mir, mir. Moment ten przeżywałem w niezwykłym nastroju. Kilka razy zostałem obcałowany przez przygodnych żołnierzy i cywilów. Odwdzięczyłem się tym samym.

Na twarzach uczestników tego historycznego wydarzenia widziało się na przemian uśmiech i płacz. Wśród żołnierzy i oficerów radzieckich było sporo podchmielonych. Okazja po temu była rzeczywiście wyjątkowa.

Tak się zdarzyło, że równe 12 lat później brałem udział w kilkudniowej konferencji w Berlinie Wschodnim, która obradowała w tej samej sali, w której z 8 na 9 maja 1945 roku nad ranem podpisany został akt kapitulacji Rzeszy Niemieckiej. Delegacji polskiej, w skład której wchodziłem, przewodniczył ówczesny minister przemysłu chemicznego, Bolesław Rumiński.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę na stację kolejową w Łukowie. Spośród wielu wiwatujących żołnierzy radzieckich jeden wlaźł wysoko na sam wierzchołek wagonu cysterny i stamtąd zaczął strzelać z pepeszy. Był chyba niewystarczająco ostrożny, a może nieco podпиты, gdyż w pewnym momencie runął na ziemię jak worek piachu, przy czym spadając, oddał jeszcze kilka niekontrolowanych strzałów. Sam nie mógł o własnych siłach podnieść się z ziemi, gdyż pogruchotał sobie kości, ale co gorsza, ranił kilku przypadkowych podróżnych, którzy musieli być odwiezieni do miejscowego szpitala. To się nazywa mieć pecha, w dniu zakończenia wojny.

Jeszcze przez kilka tygodni sprzedawałem chleb i papierosy na stacji. W tym czasie zaprzyjaźniłem się z Kazikiem Rychtą, o rok młodszym ode mnie, bratankiem mojego dobrodzieja - dorożkarza. Był on sierotą, a więc znajdował się w podobnej sytuacji jak ja, choć moja matka żyła. Kazik urodził się i wychował w Warszawie, na Czerniakowie, gdzie jego ojciec był naczelnikiem poczty. Był więc chłopakiem wielkomięskim. Różnica między nami polegała na tym, że on, w razie wojny wolałby pozostawać w dużym mieście, ja zaś w takiej sytuacji zmierzałbym prosto do najbliższego lasu. Takie podejście do miasta i lasu wzięło się stąd, że on w czasie okupacji współpracował z oddziałami Armii Krajowej działającymi w Warszawie, ja zaś spotkałem w tym samym czasie kilka razy partyzantów polskich, stacjonujących w lesie i widziałem jak pewnie i swobodnie oni tam się czuli.

Po różnych dyskusjach, co teraz i co dalej, doszliśmy zgodnie do wniosku, że musimy wyjechać na Ziemię Odzyskane. Tam łatwiej

o pracę i mieszkanie. Plany nasze postanowiliśmy utrzymać w tajemnicy, z uwagi na możliwość negatywnej reakcji na nie jego rodziny. Przystąpiliśmy do konkretnych przygotowań. Zgromadziliśmy niezbędne zapasy żywności, odłożyliśmy trochę pieniędzy z handlu chlebem i papierosami i wyruszyliśmy w daleką podróż. Obraliśmy sobie kierunek Gdańsk, gdyż jedynie o tym mieście coś niecoś wiedzieliśmy, a ponadto przyciągało nas morze i jego romantyka. Aby nie być przyłapanym na gorącym uczynku /ucieczce/ przez jego opiekunów rodzinnych, w szczególności przez jego starszego brata Zdzicha, który wrócił z przymusowych robót w Niemczech, uznaliśmy za stosowne nie wsiadać do pociągu w Łukowie, lecz przejść piechotą do następnej stacji, leżącej na trasie Łuków - Siedlce i tam się załadować. Był początek lipca, a więc upały dokuczały nam niemiłosiernie. Niemniej niewielką odległość z Łukowa do następnego przystanku kolejowego pokonaliśmy szybko i bez większego wysiłku. Tam nie musieliśmy też długo czekać, gdyż pociągów było w tamtych czasach bardzo dużo, zwłaszcza, że pasował nam każdy, który szedł w kierunku Siedlec. W Siedlcach musieliśmy się przesiąść na następny udający się do Warszawy. Tu już było trochę gorzej, gdyż pociągi towarowe mają to do siebie, a tylko takimi podróżowaliśmy, że nie mają tabliczek na wagonach, w jakich relacjach jadą. Maszyniści, których pytaliśmy się niechętnie odpowiadali, gdyż wiedzieli, że są to ich potencjalni pasażerowie. Ale są przecież różni ludzie, uczynni i nieuczyni, dobrzy i źli. Tak więc po kilku krótkich rozmowach z maszynistami i upewnieniu się, że pociąg jedzie we właściwym kierunku, to jest do Warszawy, siedzieliśmy na dachu jednego z wagonów i oczekiwaliśmy na sygnał odjazdu. Kto tego nie przeżywał ten nie wie, że podróż na dachu wagonu ma swoje uroki, ale i swoje cienie. Dach wagonu, w czasie postoju, tak strasznie się nagrzewa, jeżeli świeci oczywiście słońce, że czasami jest trudno wytrzymać. Nieprzyjemnie też jest w czasie deszczu. Ale co to wszystko znaczyło dla chłopców, z których jeden dopiero kilka tygodni temu skończył lat 17, a drugi 16.

Po kilku godzinach jazdy dotarliśmy do Warszawy - Pragi. Duma rozpierała mi pierś, że oto jestem w stolicy Polski, o której tylko trochę wiedziałem ze szkoły i nigdy nie śmiałem marzyć o jej odwiedzeniu. Połaziliśmy po mieście kilka godzin, przedostaliśmy się nawet na drugą stronę Wisły. Tam spoza ogromnych zwalisk

gruzu niczego nie można było zobaczyć. Kazik opowiadał mi o tym mieście różne rzeczy, ale trzeba było mieć dużo wyobraźni, aby coś z tego sobie móc odtworzyć. Zapamiętałam jedynie wypalony drapacz chmur przy pl. Napoleona, dziś Powstańców Warszawy. Wróciliśmy znowu na Pragę. Późno w nocy udało nam się znaleźć pociąg idący w kierunku Gdańska. Szybko, tym razem nawet bardziej sprawnie załadowaliśmy się na dach, dzięki Bogu nie tak gorący i pociąg ruszył. Mnie się wydawało, że jechał szybko, ale mój towarzysz podróży, bardziej oblatany dowodził, że jedzie powoli. Najgorzej było ze spaniem. Próbowaliśmy początkowo spać na zmianę, ale nic z tego nie wyszło i w środku nocy spaliliśmy obaj jak susły.

Jeżeli tory kolejowe biegły prosto nie było problemu, jeżeli jednak był gdzieś ostrzejszy zakręt, narażeni byliśmy na wyładowanie na ziemi, bowiem dachy wagonów w takich sytuacjach stawały się bardzo strome.

Do Gdańska jechaliśmy w sumie dwa dni i dwie noce, z przesiadką oczywiście w okolicach Torunia, gdzie musieliśmy przejść uszkodzony most na Wiśle. Pomimo to do celu dotarliśmy bez większego zmęczenia. Tu wysiedliśmy, a raczej zeszedliśmy z pociągu i udaliśmy się w stronę Wrzeszcza /dzielnica Gdańska/, gdzie jak nas poinformowano miały się znajdować baraki Państwowego Urzędu Repatriacyjnego /PUR/. Tam przyjęto nas jak każdego repatrianta. Po krótkiej rozmowie informacyjnej umożliwiono nam zjedzenie po misce zupy, której wspaniały smak pamiętam po dzień dzisiejszy i wskazano prycze, na których będziemy mogli odpocząć. Następnie udaliśmy się do miasta. Największe wrażenie zrobiły na mnie gruzy rozwalonych kościołów i różnych innych gmachów. Sporo jednak budynków ocalało. Były całe ulice, przy których budynki się ostały, choć nosiły wyraźne ślady wojny. Przejechałem się pierwszy raz w życiu tramwajem.

Jeszcze w tym samym dniu poszliśmy nad morze, do Brzeźna. Był to kawał drogi, ale wysiłek wart był widoku morza.

2. Im dalej w las ...

W drugim dniu pobytu w Gdańsku, po wstępnym oswojeniu się z nowym środowiskiem, udaliśmy się do dzielnicy Nowy Port, gdzie

według uzyskanych, wiarygodnych jak się okazało informacji, mogliśmy liczyć na stałą robotę, związaną z gospodarką morską. Był to przecież główny cel naszej wyprawy. Kilkukilometrową odległość z Wrzeszcza do Nowego Portu pokonaliśmy oczywiście pieszo, bowiem nie było jeszcze między tymi dzielnicami żadnych połączeń komunikacyjnych.

Nie pomyliliśmy się. Spotkani na ulicach Nowego Portu "tubylcy" skierowali nas do jednej z agend Głównego Urzędu Morskiego /GUM/, mieszczącej się przy ulicy Na Zaspy, gdzie ustawiliśmy się w niedługiej kolejce i mniej więcej po godzinie oczekiwania stanęliśmy przed obliczem nobliwie wyglądającego urzędnika, którym jak się później okazało był sam kierownik kancelarii Bronisław Jurczyk. Po wypełnieniu każdego z nas kartoteki personalnej oświadczył, że od jutra będziemy mogli przystąpić do pracy w charakterze robotników niewykwalifikowanych. Nie musieliśmy pisać przy tym podań, ani wypełniać żadnych ankiet, ot po prostu zaangażowani zostaliśmy do roboty na podstawie ustnego oświadczenia woli. Nie przeszkodził nam nawet w dopełnieniu tych formalności brak adresu zamieszkania, gdyż takowego jeszcze nie mieliśmy. W tej sytuacji trzeba było pilnie znaleźć jakieś mieszkanie i to niezbyt odległe od miejsca pracy, najlepiej w Nowym Porcie.

Chodząc ulicami dzielnicy portowej i zaglądając do wielu budynków mieszkalnych stwierdziliśmy, iż gros opuszczonych przez Niemców mieszkań była już zajęta przez nowoprzybyłych lokatorów, na niektórych zaś, jeszcze wolnych lokalach, wisiały na drzwiach kartki, z urzędowymi pieczęciami i napisem "zajęte". Były jednak i takie mieszkania, którymi mało kto się interesował. Mieściły się one na poddaszach, w mało atrakcyjnych, podniszczonych z reguły domach, pozbawione przeważnie urządzeń sanitarnych. Wszystkie mieszkania, wolne oczywiście, nosiły wyraźne ślady gruntownego, wielokrotnego z pewnością splądrowania. Mimo to, tu i ówdzie, można było znaleźć nadające się do użytku łóżko, stół lub inne potrzebne do codziennego życia meble. Niemal w każdym jeszcze wolnym mieszkaniu można było też znaleźć wiele porzucanych książek oraz innych mniej wartościowych przedmiotów, które nam się znakomicie przydały.

Trzeba pamiętać, że nie wszyscy ludzie przyjeżdżający wówczas do Gdańska mieli takie zamiary jak ja i mój kolega, to jest podjąć pracę i zamieszkać na stałe. Wielu było zwykłych złodziei, zwanych wówczas szabrownikami. Ci weszli po różnych obiektach i kradli wszystko, co było pod ręką. Nie omijali oni mieszkań prywatnych, szczególnie słabo zabezpieczonych lub w ogóle nie strzeżonych. Na własne oczy widziałem jak szabrownicy wyjmowali ocalałe szkło z okien magazynów portowych. Skradzione przedmioty zbywane były na miejscu, głównie jednak wędrowały różnymi drogami do Polski centralnej, gdzie były sprzedawane, nierzadko za duże pieniądze. Niektórzy złodzieje wielokrotnie obracali na trasie centrum kraju - Gdańsk, czyniąc z tego procederu wysoce opłatzny "zawód". Serce człowiekowi bolało oglądając z bliska ludzi, którzy jak hieny na padlinę, rzucali się na wszystko, co stało się przejściowo "niczym", w wyniku katastrofy wojennej.

Po kilku godzinach poszukiwań znaleźliśmy pasujące nam mieszkanie, niewielkie, ale wystarczające, jeden pokój z kuchnią, niestety bez łazienki. Zabraliśmy się za gruntowne sprząatanie, a następnie ustawiliśmy dwa zdobyczne łóżka, stół, szafę, uporządkowaliśmy kuchnię. Udało się też bez większego trudu znaleźć kilka garnków, niezbędną liczbę talerzy oraz parę sztuk noży i widelców. Doprowadziliśmy wszystko do stanu używalności i rozpoczęliśmy prowadzenie własnego, podobnego trochę do normalnego, domu. Było miło i sympatycznie. Dbaliśmy o czystość i porządek, bo wiedzieliśmy, że nikt za nas tego nie zrobi. Była połowa lipca 1945 roku, pół roku od mojego wyjazdu z domu, z Wileńszczyzny. Pół roku nigdzie nie mieszkałem; prowadziłem żywot człowieka bezdomnego, podobny nieco do życia clocharda. Była to więc duża sprawa, mieć własny kąt. Nie napotkaliśmy na większe kłopoty przy organizowaniu pościeli. Nasze wymagania w tym względzie były tak samo skromne, jak przy rozwiązywaniu innych problemów życiowych. Wystarczyły nam pozostałości po szabrownikach w postaci kilku podniszczonych koców i szmat, które kiedyś służyły za prześcieradła. Udało się nawet znaleźć dwie poduszki i kilka do nich poszewek. Wszystko to poddaliśmy procesowi, który nazwaliśmy praniem.

Na drugi dzień rano wyruszyliśmy po raz pierwszy do pracy. Zameldowaliśmy się punktualnie o godz. 6.30 w umówionym miejscu,

to jest przed siedzibą Działu Budowlanego Głównego Urzędu Morskiego, tuż nad kanałem portowym, przed zakrętem Pięciu Gwizdków. Stamtąd zostaliśmy przewiezieni łodzią na Westerplatte i włączeni do ekipy porządkującej i naprawiającej nabrzeże.

Na Westerplatte stały dziesiątki, a może nawet setki wraków różnych pojazdów wojskowych. Gdzieś niedługo leżały jeszcze rozłożone już trupy żołnierzy niemieckich. Cały półwysep robił wrażenie straszego pobojuwiska, tak jakby wczoraj przeszedł tu huragan.

Pierwsze refleksje, jakie przyszyły mi do głowy sięgały dnia 1 września 1939 roku. Przecież to tu rozpoczęła się Druga Wojna Światowa; tu spadły pierwsze pociski artyleryjskie wystrzelone z zacumowanego po drugiej stronie kanału portowego pancernika "Schleswig Holstein", któremu przypadła haniebna rola podpalacza świata; to tu mjr Henryk Sucharski wraz ze swoją niewielką ponad 180 żołnierzy liczącą załogą, przez 7 długich dni i nocy odpierał zaciekle ataki wojsk hitlerowskich. Przypomniały mi się komunikaty wojenne z pierwszych dni Września, których wysłuchiwałem z nauczycielskiego odbiornika radiowego, w jakże odległej wiosce kresowej, a które brzmiały "Westerplatte broni się". A teraz chodzę po Westerplatte, oglądam to pobojuwisko i porządkuję teren. Słyszę dookoła język polski i sam mówię po polsku. Nie do wiary! Mój pierwszy szef Franciszek Jagła, stary gdańszczanin, mówiący charakterystycznym akcentem po polsku, pokazuje mi co mam robić. Wyznacza mi rolę szofera od taczki. Wie, że nigdy w życiu takim pojazdem nie jeździłem i dlatego pokazał mi jak to się robi. Szybko opanowałem niezbyt skomplikowaną sztukę prowadzenia taczki po wąskiej desce i wkrótce zacząłem chwalić ten "zawód"; był łatwy i nie wymagał zbyt dużego wysiłku. Grupa robotników, z którymi przyszło mi razem pracować liczyła w sumie około 50 osób; składała się w poważnym stopniu z byłych żołnierzy, zdemobilizowanych z wojska, wśród których najwięcej pochodziło z moich stron. Było też trochę autentycznych gdańszczan. Ci zdecydowanie wyróżniali się umiejętnościami, pilnością, językiem i wyglądem zewnętrznym. Wszyscy robotnicy pracowali bardzo chętnie, nie pytając nikogo za ile, ale gdańszczanie mieli w sobie coś, czego nie można było zauważyć u innych. Jeżeli robili przerwy na papierosa, to starali się zaraz nadrobić to czego pałac nie zrobili. Ubierali

się do pracy czysto i schludnie. W pracy przebierali się w robocze kombinezony. Mówili lepiej lub gorzej po polsku, z dziwnie brzmiącym akcentem, jakże ciekawym dla uszu ludzi pochodzących ze Wschodu. Wszyscy nosili w klapach marynarek biało-czerwone kokardki, jako znak polskości. Śniadania do pracy, choć tak samo skromne jak nasze, były zawsze estetycznie opakowane i spożywali je na rozkładanych, czystych serwetkach. Przypatrywałem się temu wszystkiemu z podziwem i należnym szacunkiem.

W miesiącach późniejszych zaczęło przybywać coraz więcej nowych robotników, głównie z terenów wschodnich /repatriacja/, ale także z Polski centralnej. Rosła nasza grupa liczebnie i zwiększała się jej różnorodność regionalna.

Ogromne, jeżeli nie decydujące znaczenie miała dla mnie stołówka firmowa. Rano, jeszcze przed pracą można było wypić kubek ciepłej kawy, oczywiście zbożowej z mlekiem i zjeść kawałek chleba z margaryną lub marmoladą. Można też było wziąć kawałek chleba do pracy i spożyć go jako drugie śniadanie. Obiady stołówkowe, choć skromne pod względem ilościowym i jakościowym, stanowiły dla takich robotników jak ja podstawowy posiłek; były więc tym co niezwykle silnie wiązało każdego zatrudnionego z zakładem pracy.

Otrzymałem też kartkę żywnościową z symbolem "C", dla ciężko pracujących. Nie kupowałem na kartkę wszystkiego, co na nią przysługiwało, albowiem, po pierwsze, moje ówczesne pobory kształtujące się na poziomie 300 zł miesięcznie nie wystarczały mi na inne skromne potrzeby i zmuszały do daleko idącego reżimu oszczędnościowego i po drugie, jedzenie stołówkowe stanowiło podstawę mojego wyżywienia.

Tryb życia tymczasem powoli stabilizował się: dom, stołówka, praca i znowu dom. Czasami pojechało się do centrum Gdańska lub do Gdyni do kina; grano z reguły filmy radzieckie, jak "Sekretarz rejkomu", "O szóstej wieczorem po wojnie" i im podobne. Eskapady do kina nie były zbyt częste, głównie z powodu kosztów. Moje ówczesne wydatki były nader skromne. Nie wydawałem pieniędzy na żyłетки, gdyż jeszcze nie goliłem się; nie paliłem też papierosów i nie piłem żadnego alkoholu, nawet piwa. Kupowałem natomiast codziennie gazetę, początkowo "Dziennik Bałtycki", a później "Robotnik" i pożyczałem raz na jakiś czas w bibliotece książkę.

Na Westerplatte tymczasem, z upływem czasu ubywało pojazdów wojskowych. Nie widać było więcej trupów żołnierzy niemieckich; zostali pochowani przez specjalną ekipę, w skład której wchodziłi głównie jeńcy. Jeszcze tylko w niektórych zakamarkach kanałów portowych można było od czasu do czasu zobaczyć pływające, napęczniałe ciała Niemców, ale i te były szybko wyławiane. Port zmieniał tymczasem swój wygląd. Zwiększył się znacznie ruch statków polskich i obcych. Chyba mniej pokazywało się jednostek marynarki radzieckiej, które stacjonowały ciągle w różnych punktach Wybrzeża. W dzielnicy portowej przybyło wiele nowych spelun, w których zagnieździły się na dobre prostytutki. Pojawiły się wymyślne szyldy knajp, jak "Mexic", "Piekiełko", "Wesoła Wdówka", i "Bałtyk". Życie typowo portowe kwitło.

Tymczasem do naszej grupy, pracującej już nie tylko na Westerplatte, lecz i w innych punktach portu, przybył nowy robotnik, młody chłopak z rzeszowskiego. Żalił się, że nie ma gdzie mieszkać. Postanowiliśmy, wspólnie z kolegą, przyjąć przybysza jako trzeciego lokatora do mieszkania, przynajmniej przejściowo, dopóki nie znajdzie sobie jakiegoś lokum. Pomieszkał u nas dwa dni, a raczej dwie noce i trzeciego dnia zwolnił się z pracy, rzekomo w celu załatwienia sobie mieszkania, poszedł do domu, okradł nas doszczętnie i ulotnił się. Do dnia dzisiejszego nigdy go więcej nie spotkałem. Taką to cenę płaci się za łatwowierność i chęć pomocy innym.

Wobec nadarzającej się okazji zajęcia innego, znacznie większego, bo dwupokojowego mieszkania, choć nadal bez łazienki, postanowiliśmy nie przywracać dotychczasowemu mieszkaniu zdolności zamieszkania i przeprowadzić się do Letniewa, położonego tuż koło Nowego Portu. Tu musieliśmy od początku powtarzać operację, którą przeprowadziliśmy w odniesieniu do poprzedniego mieszkania: szklenie okien, malowanie ścian, sprząatanie, meblowanie, itd. Poprawiając sobie zdecydowanie warunki mieszkaniowe, wydłużyliśmy jednocześnie odległość z domu do pracy. Uruchomienie jednak w drugim półroczu 1945 roku linii tramwajowej łączącej Gdańsk z Nowym Portem, z przystankiem w Letniewie, zredukowało tę niedogodność do minimum.

Osobiście, coraz częściej zmieniałem miejsce pracy w porcie. Początkowo dłużej przebywałem w basenie Westerplatte oraz w Basenie Wolnocłowym, później jednak przerzucano moją grupę z miejsca na miejsce jak straż pożarną, gdyż w gruncie rzeczy taką funkcję pełniliśmy. Gdzie tylko powstała jakaś dziura w falochronie lub nabrzeżu zaraz tam nas kierowano. Było więc tak, że dwa tygodnie pracowaliśmy w okolicach basenu Węglowego, a następne dwa tygodnie musieliśmy działać w okolicy Stoczni Gdańskiej, nazwanej później "Lenina". Port Gdański, w przeciwieństwie do Gdyńskiego, był mniej zniszczony jeśli chodzi o nabrzeża i falochrony. Toteż mieliśmy więcej do czynienia z naprawami szkód bieżących, niż szkodami wojennymi, choć tych też wcale nie brakowało. Inne zmartwienie stanowiły natomiast wraki, zalegające kanały i baseny portowe. Wśród nich były: dźwigi, jednostki taboru pływającego, łodzie podwodne, barki z różnymi ładunkami, a nawet samoloty. Ale tym zajmowały się inne ekipy. Do nas należała jedynie lokalizacja wraków, gdyż dostaliśmy dodatkowe zlecenie dokonania sondowania całego portu i sporządzenia w wyniku tej operacji dokładnej fotografii dna wszystkich kanałów i basenów.

Cała nasza działalność podporządkowana była tak zwanemu "Małemu Planowi" odbudowy portów, opracowanemu przez rząd. To co robiliśmy było ponoć wszystko w tym planie przewidziane. Osobiście tego planu nigdy nie widziałem, choć było o nim bardzo głośno, i to zarówno wśród robotników, do których należałem, jak i wśród urzędników, których rozmowom nieraz się przysłuchiwałem. Dzięki temu planowi odbudowano w pierwszej kolejności latarnie morskie, znaki nawigacyjne i światła, doprowadzono do jako takiego porządku nabrzeża i urządzenia przeładunkowe, a następnie zabrano się do naprawy wodociągów, połączeń telefonicznych, urządzeń elektrycznych, magazynów oraz dróg i wiaduktów. Nie zapomniano o sieci dojazdów kolejowych.

W rezultacie tych zabiegów port gdański mógł już w dniu 1 sierpnia 1945 roku przeładować 15000 ton towarów, z czego 11500 ton w eksporcie i 3500 ton w imporcie, przy czym zaczęły do niego zawijać coraz to większe jednostki różnych bander.

Trudno by było ukryć zadowolenie z tych pierwszych osiągnięć, do których w jakimś tam stopniu każdy z nas się przyczynił.

Toteż przyjmowaliśmy również i do siebie słowa inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego, przedwojennego wicepremiera, Delegata Rządu do Spraw Wybrzeża, który, charakteryzując w roku 1945 pierwsze rezultaty powojennej odbudowy portów powiedział m.in.:

"Te pierwsze gromady ludzi przybyłych na Wybrzeże tylko z "gołymi rękami" do pracy, przepojone poczuciem obowiązku narodowego, poczuciem inicjatywy, dobrej woli i hartu, bez narzędzi pracy, bez środków transportowych, najczęściej bez pożywienia, by rekonstruować życie ..."^{1/}

Cóż można dodać do tych słów ze swojej strony. Chyba tylko tyle, że pracując ciężko, nierzadko o chłódzie i głodzie, nikt nie zastanawiał się wtedy nad tym, że tworzy coś nowego, że przyczynia się do powstawania rzeczy trwałych i pożytecznych, że będą o tym mówić wielcy ludzie, że kiedyś będą o tym pisać historycy. Przychodził do pracy by wykonywać to do czego został stworzony /laborem exercens/, by zapewnić sobie podstawowy byt, by wreszcie wnieść swój skromny wkład do wspólnego dzieła narodu, jakim jest państwo, którego brak oficjalnego istnienia przez ostatnie kilka lat tak mocno wszyscy odczuwaliśmy.

3. Matura i chęć szczerą

Praca zawodowa, będąca głównym punktem codziennego programu stawała się zwykłym chlebem codziennym. Wczesnym rankiem wychodziłem do portu, aby po ośmiu godzinach wrócić do zadań domowych. Nikt za mnie tego nie mógł zrobić. Sam musiałem posprzątać mieszkanie, uprać bieliznę i ugotować jakąś strawę. W budynku, w którym zamieszkałem, przy ul. Uczniowskiej 8 w Letniewie, kwaterowało sporo młodych ludzi. Nie był to zwykły przypadek, bowiem budynek znajdował się w rękach młodzieżowej administracji /OM TUR/. Prawie wszyscy mieszkańcy pracowali w porcie i sami prowadzili gospodarstwa domowe. Ani jednego nie było żonatego. Chyba dlatego nie brakowało czasu do wielogodzinnych dyskusji na różne tematy. Szczególnie chętnie opowiadał każdy o swoich, świeżych jeszcze przeżyciach wojennych. Byli wśród nas tacy, którzy spędzili wojnę

^{1/} J.K. Sawicki, *Odrodzenie Żeglugi Morskiej 1945-1947*, Gdańsk 1988, s. 92.

w Polsce, ale byli i tacy, którzy przeżyli ją za granicą. Niektórzy przebywali na Wschodzie, niektórych zaś losy rzuciły na Zachód. Byli wśród nas zdemobilizowani żołnierze armii regularnych Andersa i Berlinga, byli też partyzanci z Jugosławii, no i oczywiście członkowie krajowego ruchu oporu różnych orientacji. Słowem mieszanka wybuchowa. Nieraz kłóciliśmy się długo i namiętnie. Różniły nas nie tylko oceny przeszłości, ale również, a może przede wszystkim, sprawy przyszłości. Łączyła nas jednak wszystkich przynależność do narodu polskiego. Trochę to brzmi patetycznie, ale tak istotnie było.

Port, w którym pracowaliśmy pozostawał w tym czasie pod prężnym wpływem Polskiej Partii Socjalistycznej /PPS/. W dziale Budowlanym GUM ogromną aktywność wykazywali członkowie PPS. Należeli do niej nasi przełożeni, kierownik działu budowlanego Gorzelańczyk, mistrz Franciszek Jagła oraz kierownik grupy pomiarowej i inwentaryzacyjnej portu Jan Jaśkiewicz, który niebawem został I sekretarzem Komitetu Dzielnicowego w Nowym Porcie. Wszyscy członkowie PPS prowadzili szeroką i aktywną działalność popularyzującą ruch socjalistyczny. Trwało współzawodnictwo z Polską Partią Robotniczą /PPR/ w werbowaniu nowych członków. Tej ostatniej nie było wprawdzie na terenie mojej pracy widać, niemniej mówiło się, że jest u nas dwóch peperowców, Antczak i Kulonek, u których można było zapisać się do PPR. PPS tymczasem liczyła już kilkudziesięciu członków. Osobiście nie byłem zainteresowany wstąpieniem ani do PPS, ani tym bardziej do PPR. Sama myśl o przynależności do partii była mi obca, nie mówiąc już zupełnie o PPR, powszechnie utożsamianą ze Związkiem Radzieckim, do którego mój stosunek w tym czasie nie był wcale ambiwalentny. Ow stosunek głęboko tkwił w mojej podświadomości. Władze radzieckie uważałem za antypolskie, mając świeżo w pamięci prześladowania Polaków na Kresach Wschodnich, po 17 września 1939 roku. Dałem się jednak namówić do wstąpienia do Organizacji Młodzieży TUR /OM TUR/. Upewniwszy się, że jest to organizacja polska, pozostająca pod wpływem PPS, wstąpiłem do niej na terenie dzielnicy portowej, gdzie wykazywała szczególną aktywność. Trochę mnie odstraszał przed OM TUR-em czerwony kolor noszonych przez jej członków krawatów, ale starzy działacze PPS uświadomili, że jest to międzynarodowy symbol ruchu socjalistycznego i nie ma nic wspól-

nego z państwowymi barwami ZSRR. Niemniej bardzo długo nie mogłem włożyć na siebie czerwonego krawatu; przed tym kolorem miałem po prostu alergiczny odruch sprzeciwu. Najczęściej nosiłem niebieską bluzę /mundurek organizacyjny/ bez krawatu, tłumacząc się przed starszymi kolegami uczuciem duszenia się; było to częściowo zgodne z prawdą, gdyż dotąd nigdy w życiu nie zakładałem krawatu, chodząc zawsze w rozpiętej bluzie pod szyją. To samo dotyczyło zwrotu per towarzyszu. Słowo towarzysz nie mogło mi przejść przez gardło. I znowu wyjaśniono mi, że forma ta nie pochodzi ze Związku Radzieckiego, lecz datuje się z okresu rodzenia się ruchu robotniczego w Europie Zachodniej i jest powszechnie stosowana w ruchu międzynarodowym socjalistycznym.

OM TUR okazała się być organizacją atrakcyjną. Systematycznie organizowała bardzo ciekawe zebrania, na których omawiano tematy ideologiczne, polityczne i kulturalne; prowadziła dla swoich członków różnego rodzaju kursy i szkolenia. Kto chciał, ten mógł się wyżyć w sporcie, uczestnicząc w pracach klubu "Ogniwo"; odbywały się też regularnie potańcówki.

Ponieważ na terenie Letniewa mieszkała grupka OM TUR-owców pracujących w porcie, przeto postanowiliśmy powołać własną, odrębną komórkę tej organizacji. Po kilku miesiącach aktywnej pracy rozrosła się nasza komórka OM TUR do kilkudziesięciu członków i na początku roku 1946 otrzymała prawa organizacji dzielnicowej, podporządkowanej bezpośrednio Komitetowi Miejskiemu w Gdańsku, z siedzibą we Wrzeszczu, przy Jaśkowej Dolinie 6. Liczba zainteresowanych wstąpieniem do naszej organizacji szybko rosła. Nie mieliśmy na terenie naszej dzielnicy żadnej konkurencji; nie było Związku Walki Młodych /ZWM/, organizacji działającej pod skrzydłami PPR. Stosunek nasz do PPR-u wyrażaliśmy w jednej ze zwrotek powszechnie śpiewanej piosenki, w której mówiąc o "czterech murzynkach", stwierdzaliśmy, że "jeden z nich upadł na głowę i wstąpił do PPR-u".

Na pierwszym zebraniu organizacyjnym wybrany zostałem przewodniczącym Komitetu Dzielnicowego OM TUR w Gdańsku-Letniewie. Byłem trochę zaskoczony i speszony. Poza dobrymi chęciami, którymi jak wiadomo wybrukowano piekło, nie miałem żadnego doświadczenia w kierowaniu taką pracą. Na odprawach i naradach w Komite-

cie Miejskim, którego pracą kierował Waldemar Wolny /Kazimierz Kokoszewski^{1/}, można było się czegoś dowiedzieć, ale wszystko to było za mało. Nie pozostało więc nic innego jak tylko pobudzić własną inicjatywę członków i okazało się, że jest to niezwykle skuteczna metoda aktywizacji jakiegokolwiek środowiska w ogóle, a tego rodzaju organizacji w szczególności. Pomysłem nie było końca. Chodziliśmy i jeździliśmy na wycieczki, zwiedzaliśmy muzea i inne obiekty zabytkowe, organizowaliśmy zbiorowe pójścia do kin i teatrów, urządzaliśmy zabawy taneczne, nie zapominając o zebraniach i dyskusjach ideologicznych i politycznych. Poznałem piękne sylwetki takich działaczy socjalistycznych jak: S. Okrzeja, I. Daszyński, St. Dubois i inni.

To małe osiedle pobiło szybko wszelkie rekordy w działalności OM TUR na terenie Gdańska. Niektórzy młodzi ludzie z innych dzielnic wstępowali do naszej organizacji i aktywnie uczestniczyli w jej pracach. Był to prawdziwy sukces omturowski w skali całego województwa gdańskiego.

Toteż nic dziwnego, że na początku roku 1947, w czasie konferencji miejskiej padła moja kandydatura do władz miejskich i zostałem wybrany pierwszym sekretarzem /urzędującym/ Gdańskiego Komitetu Miejskiego. Doświadczenia i metody pracy przeniósłem teraz na teren całego Gdańska. Nawiązałem ścisłą współpracę z Komitetem Miejskim Polskiej Partii Socjalistycznej, która pomagała nam organizacyjnie i finansowo. Współpracując z PPS, z jej konkretnymi działaczami gdańskimi, którzy później usunięci zostali z partii, pozbyłem się jakichkolwiek wątpliwości co do charakteru ideologicznego i politycznego tej partii. Jeszcze w roku 1946 zgłosiłem akces przystąpienia do PPS i w wieku 18 lat stałem się jej członkiem; zostałem nawet wybrany drugim sekretarzem komórki tej partii w Letniewie.

Gdańska organizacja OM TUR szybko się rozwijała ku zadowoleniu jednych i niezadowoleniu drugich. Obok pochwał zacząłem coraz częściej nadziewać się na kontry, szczególnie ze strony ZWM i ludzi z nieznanymi instytucji przedstawiających się obrońcami socja-

^{1/} Waldemar Wolny, nazwisko okupacyjne.

lizmu. Na konferencji wojewódzkiej na wniosek ówczesnego szefa organizacji wojewódzkiej Jarosława Kalamana, wybrany zostałem członkiem Komitetu Wojewódzkiego OM TUR i delegatem na Zjazd Krajowy. Działalność ta zabierała mi dużo czasu, dostarczając jednak sporo satysfakcji. Uczestnictwo w pracach Komitetu Wojewódzkiego, którego siedziba znajdowała się w Sopocie, ograniczało się głównie do periodycznych posiedzeń i brania udziału w wypracowywaniu koncepcji i metod działalności całej organizacji na terenie województwa. Doświadczenia miejskiej organizacji gdańskiej były z należytą uwagą wysłuchiwane i często wykorzystywane w ustalanych wytycznych. Zajmowaliśmy się nawet organizacją nauki tańca, w czym była nam pomocna Janina Sobczak-Jarzynówna, powszechnie znany pedagog, której nader przychylny stosunek do OM TUR był czymś więcej niż zwykłą przynależnością do tej organizacji.

I Krajowy Zjazd OM TUR miał miejsce w Warszawie oraz częściowo w Otwocku, w dniach od 22 do 24 czerwca 1947 roku. Niezapomniane wrażenie pozostawiło, chyba na wszystkich uczestnikach Zjazdu, przemówienie przewodniczącego Komitetu Centralnego OM TUR Ryszarda Obrączki. Z zainteresowaniem i powagą wysłuchaliśmy też wystąpień ówczesnych działaczy PPS, Bolesława Drobnera, Juliana Hochfelda, Józefa Cyrankiewicza, Henryka Świątkowskiego, Konstantego Dąbrowskiego i innych. Natomiast reakcja sali obrad na przemówienie przedstawiciela Zarządu Głównego ZWM, Jerzego Morawskiego, świadczyła o istnieniu dużych różnic w podejściu obu organizacji do najważniejszych spraw państwowych oraz zagadnień ideologicznych i politycznych ruchu młodzieżowego w Polsce. Został on wręcz wygwizdany.

Mimo to w drugiej połowie roku 1947 rozpoczęto przygotowania organizacyjne do połączenia OM TUR, ZWM, Związku Młodzieży Wiejskiej "WICI" i Związku Młodzieży Demokratycznej w jedną organizację, nazwaną później Związkiem Młodzieży Polskiej. Przyznaję, że nie byłem zwolennikiem tego procesu. Uważałem, że wszystkie organizacje mają własną tożsamość i nie nadają się do połączenia. Szkoda mi było OM TUR szczególnie wieloletniego jej dorobku, bowiem nie miałem wątpliwości, że nowopowstałą organizację na wzór radzieckiego Komsomołu, zdominuje ZWM. Poglądów swoich nie ukrywałem. Moi najbliżsi przyjaciele omturowscy, jak Tadeusz Zieleziński, Lucjan

Parusiński, Stanisław Strehl, i inni próbowali zmienić owo nastawienie do jedności ruchu młodzieżowego, ale nie miało to większego wpływu na moją ówczesną postawę polityczną w tych sprawach. Byłem jak zwykle nieprzejednany. Muszę jednak przyznać, że znaleźli się również i tacy, którzy jeszcze na długo przed połączeniem organizacji młodzieżowych opuścili szeregi OM TUR i zasilili ZWM. Do nich należał m.in. mój dobry kolega szkolny, repatriant z Wilna, Zbigniew Puzewicz, późniejszy profesor Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie. Instytut polityczny, jak się okazuje, prowadził każdego w obranym przez niego kierunku.

W tej sytuacji postanowiłem a raczej musiałem pod koniec września 1947 rzec się wszystkich funkcji pełnionych z wyboru. Ma się rozumieć, że nie zostałem wybrany delegatem na Zjazd Zjednoczeniowy. W lipcu 1948 roku pojechałem do Wrocławia jako szeregowy członek OM TUR, by z woli organizatorów wziąć udział w manifestacji z okazji powstania ZMP. Po prostu chodziło o spęd jak największego stada młodzieży w całej Polski. ZWM odniósł pełne zwycięstwo nad pozostałymi organizacjami. Powstała organizacja komunistyczna, na czele której stanął zajadły zetwumowiec generał Janusz Zarzycki. W PPS rozpoczęto w tym czasie również intensywne przygotowania do połączenia się z PPR. Chodziło przede wszystkim o wyeliminowanie z jej szeregów tych członków, którzy byli przeciwnikami systemu jednopartyjnego. Czystka ta przebiegała na zlecenie Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS i objęła duży odsetek jej członków. W pierwszym rządzie usunięto tak zwany element obcy klasowo, a następnie wszystkich tych, którzy mieli coś wspólnego z przedwojennym aparatem państwowym. Nie zaoszczędzono tych, których poglądy uznane zostały, przez bliżej nieokreślone gremia, za nacjonalistyczne. Zarzutu tego nikt nie potrafił dokładnie sformułować, a tym bardziej uzasadnić. Nawet jeżeli komuś zarzucano niewłaściwy stosunek do Związku Radzieckiego, a działo się to najczęściej, to przecież nie było łatwo udowodnić, że istotnie tak jest; nikt przecież nie wstał i nie powiedział, że jest on przeciwnikiem ZRSS.

W rezultacie czystki zredukowano poważnie stan liczbowy członków PPS. W instytucji, w której pracowałem /Izba Skarbowa wraz z podległymi urzędami/, doprowadzono do zrównania ilości członków PPS i PPR; nie było przewagi liczbowej żadnej partii. Osobiście

Kwestionariusz personalny

UWAGA: Za podanie w kwestionariuszu danych niezgodnych z prawdą Władze P.P.S. wyciągną jaknajdalej idące konsekwencje do usunięcia z Partii włącznie.

1. Nazwisko i imię Lesław Stanisław
2. Imiona rodziców Adolf - Anna
3. Miejsce i data urodzenia Zatorowa pow. Wileża 29. 5. 1928.
4. Narodowość Polska
5. Przynależność państwowa Polska
6. Stan cywilny, kawaler nazwisko panięskie żony _____
7. Wykształcenie Uk. Gimmazjum.
8. Zawód i miejsce pracy kontraktor rejestrator ul. Ulr. Skar.
9. Imiona i wiek dzieci, do jakich organizacji należą _____
10. Przynależność do organizacji politycznych:
 - a) przed wojną _____
 - b) w czasie okupacji _____
 - c) po wojnie ON PIR od dn. 14. 8. 45 i PPS.
11. Działalność polityczna i społeczna w okresach wymienionych w pkt. 10 (piastowana funkcja)
 1. ON PIR przewodniczący Kom. St. Leżawo
 2. PPS N. g. sek. i Sek. g. i. c.
 3. Comit. Rady Młodzieżowej pow. K. M. PPS Gdańsk
 4. Comit. przedium K. M. ON PIR Gdańsk
 5. Przewodniczący Sądu org. W. K. ON PIR.
12. Czy najbliżsi członkowie rodziny biorą udział w życiu politycznym (w jakiej organizacji, jaką pełnią funkcję) _____
13. Czy był karany sądownie za przestępstwa pospolite (za co i kiedy wyrok, gdzie odbywał karę) _____
14. Czy był karany przez Władze organizacji politycznych będąc jej członkiem (kiedy i za co) _____
15. Czy był karany przez Władze Zw. Zawod. (kiedy i za co) _____

16. Data wstąpienia do Polskiej Partii Socjalistycznej 1. 10. 46 r.

17. Data reaktywowania, jaką posiada legitymację (stałą, tymczasową), nr. legitymacji i data wydania, oraz przez kogo wydana leg. tymc. Nr. 115 wydana przez kom. dziel. PPS w M. Pociu dn. 7. 11. 46 r.

18. Okres przerwy w przynależności do P. P. S. /

19. Czynny udział w referendum 1946 r. i w wyborach 1947 r. (wykonywane funkcje) tak
Komitet Miejski PPS Gdańsk,
sekcja propagandowa.

20. Czy był lub jest członkiem Władz Partyjnych (gdzie i jakie pełnił (pełni) funkcje) E-gi okr. keta PPS w dzielnicy.

21. Działalność w ruchu zawodowym (od kiedy należy do Zw. Zaw. i jakie i gdzie pełnił (pełni) funkcje) 1. 8. 45

22. Stan majątkowy (nieruchomość) /

23. Zawód rodziców (nawet jeśli nie żyją) robotnicy robotni (chłopi)

Za prawdziwość powyższych danych biorę pełną odpowiedzialność
wobec Władz P. P. S.

[Podpis]
(Własnoręczny podpis)

Miejscowość: Gdańsk-dzielnica Adres: Ursynowska 8

Data 5. dn. XI 1947 r.

pozostałem w PPS, a od 15 grudnia 1948 stałem się automatycznie członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Tak jak wielu innych towarzyszy partyjnych, nie składając żadnej deklaracji, ani żadnej prośby, wciągnięto mnie na listę członków PZPR, z tym, że zawsze byłem uznawany za członka partii drugiej kategorii.

Tak jak kiedyś dałem się wciągnąć do pracy w OM TUR, tak teraz sam, bez niczyjej inspiracji, wpadłem w trans opisywania tego okresu. Muszę jednak przerwać i wrócić do rzeczy, jak się wydaje, nader ważnej, a mianowicie do nauki. Otóż w końcu 1945 roku uruchomiony został tak zwany Uniwersytet Robotniczy TUR, z siedzibą w budynku Komitetu Dzielnicowego PPS w Gdańsku-Wrzeszczu. Niezwłocznie postanowiłem zapisać się na tę "uczelnię". Odczuwałem głód wiedzy i każda okazja zmierzająca do jego zmniejszenia była dla mnie dobra. Wykładowcami byli pracownicy naukowcy Politechniki Gdańskiej, m.in. doc. Własiuk lub wybitni działacze PPS, jak sędzia Mossakowski, mecenas Michalski i inni. Już w trakcie zajęć doszedłem sam do wniosku, że moja wiedza ogólna jest tak mała, iż nie mogłem na niektórych wykładach zrozumieć o co chodzi, zbyt niski był bowiem stopień mojej percepcji intelektualnej. Potwierdzenie swoich spostrzeżeń uzyskałem na egzaminach po pierwszym semestrze, choć wcale nie wypadły one aż tak tragicznie. Tylko z jednego przedmiotu uzyskałem stopień zdecydowanie niedostateczny, a mianowicie z ekonomii, z której miałem udowodnić tezę o wyższości skolektywizowanej gospodarki rolnej nad gospodarstwami indywidualnymi. Komisja egzaminacyjna, sądząc że po raz pierwszy w swojej praktyce, zmuszona została wysłuchać dość obszernego wywodu na temat kołchozów jako produktu zdegenerowanej polityki rolnej państwa i opłakanego losu kołchoźników. Kolega, który razem ze mną siedział przed komisją, Z. Szewczyk, późniejszy kierownik kina "Bajka" we Wrzeszczu był przerażony odpowiedzią. Uznał cały mój wywód za niebezpieczny nie tylko dla mnie, lecz dla całej organizacji omturowskiej.

W tej sytuacji postanowiłem niezwłocznie porzucić Uniwersytet Robotniczy TUR i zapisać się do szkoły wieczorowej, aby kontynuować normalną naukę. Ponieważ nie miałem żadnych świadectw szkolnych, kierownictwo szkoły przy ul. Smoluchowskiego zorganizowało dla mnie i mnie podobnych, rodzaj egzaminu, a raczej testu, na

podstawie których mieliśmy być zakwalifikowani do odpowiednich klas. O dziwo, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, skierowano mnie do drugiej klasy gimnazjum, pomimo iż ukończyłem w życiu zaledwie sześć klas szkoły podstawowej typu radzieckiego i przez cały czas okupacji niemieckiej nie uczęszczałem do żadnej szkoły, prócz nieoficjalnych kompletów u swojej babki. Tam jednak oprócz języka polskiego i historii Polski nie uczyłem się żadnych innych przedmiotów. Z historii zresztą prowadziłem zajęcia sam.

Rozpocząłem więc regularną, niezwykle intensywną naukę w normalnej szkole średniej. Uczyłem się języka polskiego i angielskiego, matematyki, fizyki i chemii, geografii, a nawet religii. A propos języka polskiego, to muszę tu przyznać, iż przed kilkoma laty w szkole radzieckiej bardzo często nauczycielka rosyjskiego pisała na moich wypracowaniach "połonizm", "połonizm", "połonizm", a teraz pani prof. Radziwiłł, która uczyła języka polskiego na moich pracach pisała "rusycyzm", "rusycyzm", "rusycyzm". Taki to już los tych, co muszą zmieniać szkoły, a szczególnie tych, którzy pochodzą z pogranicza językowego. Nauka zabierała mi bardzo wiele czasu, Robiłem jednak to z największą przyjemnością. Godziny lekcyjne, od dzwonka do dzwonka, wydawały się być tak krótkie, iż podejrzewałem szkolnego woźnego, że za często robi przerwy. Zmienił się nie do poznania mój rozkład dnia. Przez osiem godzin pracowałem fizycznie w porcie, a następnie przez pięć godzin siedziałem w ławce szkolnej. Trudno uwierzyć, ale codziennie rano wstawałem bardzo chętnie, mając przecież przed sobą wcale nie łatwy dzień; praca, szkoła, odrabianie lekcji, no i gotowanie, sprząatanie, pranie i znowu od początku. Dziś mogę chyba z całą odpowiedzialnością oświadczyć, że gdyby jeszcze raz trzeba było rozpocząć tak intensywny rozdział w życiu, chyba bym zrezygnował. Raczej chwyciłbym się jakiegoś konkretnego zawodu, niż nauki w szkole ogólnej, która na krótką metę niczego człowiekowi nie daje. Najbardziej jednak dawał mi się we znaki brak autentycznego domu. I chociaż w roku przerabiało się dwie klasy, to trzeba było półtora roku, aby dobić do końca gimnazjum, a później jeszcze dwa lata, tym razem już pełne, do końca liceum, bowiem wówczas obowiązywał jeszcze przedwojenny system szkolnictwa średniego.

Obiecywałem sobie solennie, że po maturze, która była moim wymarzonym celem w życiu, nie będę dalej się uczył. Miałem już tego wszystkiego dosyć. Idąc codziennie do pracy lub do szkoły czytałem gęsto rozlepione plakaty nawołujące młodych ludzi do wstępowania do wojska, które brzmiały "nie matura lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera". Myślałem przy tym, że to jednak nie dla mnie, nie jestem typem człowieka wojskowego. Będę więc mimo wszystko dalej męczył się. Kolega mój natomiast, Kazik Rychta, który razem ze mną przybył do Gdańska, nie wytrzymał narzuconego przez mnie tempa życia. Podobnie jak przed rokiem Mietek Manulik, którego przywiozłem z Wileńszczyzny do Łukowa, tak teraz on zgłosił się ochotniczo do wojska, do Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej i siedzibą w Nowym Dworze Mazowieckim, przeniesionej później do Poznania. Byliśmy ze sobą bardzo zżyci, jak bracia. Brakowało mi go bardzo. Wielokrotnie odwiedzałem go w wojsku, on zaś spędził kilka swoich krótkich z reguły urlopów w Gdańsku. Było mu w wojsku dobrze. Nie martwił się ani o ubranie, ani o jedzenie. Miał też gdzie mieszkać. Nawet nie musiał wykazywać zbyt wiele inicjatywy, gdyż robili to za niego jego przełożeni. On tylko się uczył i wykonywał rozkazy. Byłem na jego promocji, wzruszająca to, choć trochę operetkowa uroczystość. Kazik prezentował się w mundurze oficera bardzo ładnie; bardzo dobrze też w nim się czuł. Ja natomiast ciągnąłem dalej wcale nie lekki wózek cywilny. Byłem jednak sobą. Nie pracowałem już w porcie; nie byłem robotnikiem; awansowałem. Miejsce i charakter nowej pracy przedstawię w następnym rozdziale. Teraz dalej o nauce w szkole średniej. Dobiegała ona powoli końca. Uroczyście, choć bardzo skromnie, obchodziliśmy "studniówkę". Wreszcie, w roku 1949, w wieku 21 lat zdałem egzamin maturalny. Szkoła, do której uczęszczałem nie miała praw państwowych, należała do Związków Zawodowych, toteż egzaminy obowiązywały ze wszystkich przedmiotów; traktowano nas jak zwykłych eksternistów. Takie też dostałem świadectwo dojrzałości.

Jak już wspomniałem miałem na tym zaprzestać swoją edukację. Tymczasem jednak słowa nie dotrzymałem. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Jeszcze w tym samym roku przystąpiłem do egzaminu wstępnego do Wyższej Szkoły Handlu Morskiego w Sopocie, do której też



ŚWIADECTWO DOJRZAŁOŚCI LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCEGO

Ob. Leszkowicz Stanisław

(nazwisko i imię)



urodzony dnia 29 maja 1948 r.

w Zatorowie

powiat: Wilejka

, zdał egzamin dojrzałości liceum ogólnokształcącego dla eksternistów według programu wydziału

mat-przyt.

przed Państwową

Komisją Egzaminacyjną, powołaną na podstawie zarządzenia Ministra Oświaty z dnia 11 grudnia 1947 r. (Dz. Urz. Min. Ośw. z r. 1947, nr 13, poz. 311) przez

Kuratora Okręgu Szkolnego gdańskiego pismem

z dnia 29.V.1949.

Nr 1.9398/49 w Gdańsku

(miejsce urzędowania Komisji)

Świadectwo niniejsze uprawnia do studiów w szkołach wyższych w myśl art. 79 i 80 dekretu z dnia 28 października 1947 r. o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego (Dz. U. R. P. nr 66, poz. 415).

Gdańsk, dnia 28 czerwca

1949 r.

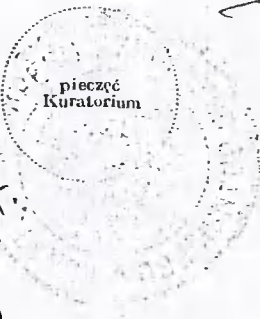
Nr 27/29

PRZEWODNICZĄCY
PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ:

[Signature]

CZŁONKOWIE PAŃSTWOWEJ
KOMISJI EGZAMINACYJNEJ:

[Signatures of members]



L. Og. Ekst. Dor.

zostałem przyjęty. Były to studia stacjonarne, chociaż wiele zajęć miało miejsce w godzinach popołudniowych, lub wręcz wieczornych. Nie łatwo było godzić normalną pracę z nauką w szkole wyższej. Co innego było w szkole średniej dla pracujących.

Szczególne jednak trudności wyłoniły się z chwilą uchwalenia przez Sejm ustawy o socjalistycznej dyscyplinie studiów. Nie można przy tym zapomnieć, że w tym czasie obowiązywała już ustawa o socjalistycznej dyscyplinie pracy. Obie te ustawy na raz nie dawały możliwości pogodzenia pracy z nauką. Musiałem więc dokonać wyboru: praca albo nauka. Wybór w mojej sytuacji był w zasadzie prosty. Nie miałem żadnych możliwości przeżycia bez pracy, bowiem nie mogłem liczyć na żadną pomoc, ani publiczną ani prywatną. Co najwyżej mogłem zgłosić się do seminarium duchownego, ale instytucja ta, podobnie jak wojsko, mnie absolutnie nie odpowiadała. Postanowiłem więc rozstać się z uczelnią i poświęcić się pracy urzędniczej. Zrobiłem to z ogromnym bólem serca.

Nie zrezygnowałem jednak z nauki definitywnie; czekałem tylko na najbliższą okazję. I oto takowa się pojawiła. W roku 1951 zorganizowano studia zaoczne w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Nie zwlekając ani jednego dnia zgłosiłem się i po spełnieniu wymaganych warunków, zostałem imatrykulowany na wydziale Ekonomiki Produkcji. Rozpocząłem długą i żmudną naukę.

Charakter studiów zaocznych jest zupełnie inny, niż na studiach stacjonarnych. Wymaga wysokiego stopnia samodyscypliny, a nade wszystko umiejętności samodzielnej nauki. Prace kontrolne stanowiące sprawdzian stopnia przyswojonego materiału pochłaniają bardzo dużo czasu i zmuszają do opanowania techniki pisania. Bez tego nie ma szans na pozytywne zaliczenia i późniejsze egzaminy. Szczególnie ważną rolę odgrywały spotkania z samodzielnymi pracownikami nauki w czasie tak zwanych kursów ustnych. Krótkie, syntetyczne wykłady z poszczególnych dyscyplin pomagały studentom uporządkować przerobiony uprzednio materiał. Pożyteczne też były konsultacje indywidualne.

Tak więc po 4 latach intensywnych studiów otrzymałem absolutorium i mogłem przystąpić do napisania pracy dyplomowej. Nie zaprzestałem jednak na tym. Po upływie prawie całej dekady posta-

DYPLOM

UKOŃCZENIA STUDIÓW WYŻSZYCH

SZKOŁA GŁÓWNA
PLANOWANIA I STATYSTYKI
W WARSZAWIE

Stanisław Leszkowicz

URODZON DZIA 29 maja 1928 ROKU
W Załozowie

ODBYŁ STUDIA NA WYDZIALE Ekonomiki Produkcji
Plan. Przemysłu 1951/52-1954/55; 1964/65-1965/66

PRZEDSTAWIŁ PRACĘ MAGISTERSKĄ NA TEMAT:
"Ekonomiczne aspekty eksportu cukrowni na przykładzie
realizacji kontraktu na obiekt w Sidi Slimane"

OCENIONĄ JAKO dobrą

I PO ZŁOŻENIU EGZAMINU MAGISTERSKIEGO Z WYNIKIEM
bardzo dobrym

UZYSKAŁ W DNIU 27 czerwca 1966

NINIEJSZY DYPLOM

magistra ekonomii

REKTOR

DZIEKAN



Złotowski

NUMER 1201/EP

WARSZAWA, DNIA 29 października 1966 ROKU

nowiłem uzupełnić niezbędne egzaminy, co zabrało mi prawie dwa lata czasu i przystąpić do napisania pracy magisterskiej. Studia ekonomiczne bez tytułu magistra czynią wrażenie nie dokończonych.

Prawie bezpośrednio po uzyskaniu dyplomu magistra zapisałem się na seminarium doktoranckie w Katedrze Organizacji i Techniki Handlu Zagranicznego prowadzonej przez prof. dr hab. Klemensa Białeckiego. Kilka lat uczestnictwa w pracach seminaryjnych umożliwiło mi zgłębić wiele tematów z dziedziny międzynarodowego obrotu towarowego, szczególnie w skali mikro oraz zapoznać się z zasadami i warsztatem pracy naukowej. Tak więc mogłem w tej sytuacji otworzyć przewód doktorski i napisać pierwszą wersję pracy. Prof. K. Białeckie przyjął przedstawioną pracę, poświęconą brakom i nieprawidłowościom w polskim handlu zagranicznym z dużym zainteresowaniem i wysokim stopniem aprobaty, zarówno przedstawionej tezy jak i jej uzasadnienia. Niewiele brakowało a przystąpiłbym do redagowania ostatecznej wersji pracy i przygotowania się do jej obrony. Wyjazd jednak za granicę na okres prawie pięciu lat przesunął zaprogramowany kalendarz co najmniej o pół dekady. Prace ekonomiczne mają na ogół to do siebie, że podlegają dość szybkiemu procesowi starzenia się. Tak i w tym przypadku nie mogłem po upływie pewnego czasu tej pracy reanimować. Dopiero po powrocie z następnej placówki zagranicznej i wykorzystaniu zebranego tam materiału napisałem kolejną pracę pod kierunkiem znakomitego naukowca młodszej generacji, doc. dr hab. Danuty Hübner, na temat Międzynarodowej Konkurencyjności Gospodarki Republiki Federalnej Niemiec¹⁾, którą po zdaniu komisyjnych egzaminów z filozofii /egzaminator: prof. T. Płużański/ i międzynarodowych stosunków gospodarczych /egzaminator: prof. P. Bożyk/, obroniłem przed Komisją wyłonioną przez Radę Wydziału Handlu Zagranicznego SGPiS, *Atanaj* (przewodziła prof. E. Teichmann) uzyskując stopień doktora nauk ekonomicznych. Dość późno, ale podobno lepiej później niż wcale. W czasie publicznej rozprawy padło wiele pytań i tyleż odpowiedzi. Jeden z członków komisji prof. dr hab. Zbigniew Kamecki zasypał mnie gradem uwag i zastrzeżeń, z których niezbitcie wynikało, że nia zna tematu i nie czytał pracy, a jedynie chciał przed liczną zgromadzoną publicznością dać popis swojej, nie najwyższych lotów erudycji. Nie dałem się wyprowadzić z równowagi. Na wszystkie jego pytania i zastrze-

¹⁾ Recenzentami pracy byli: prof. dr hab. M. Dobroczynski i doc. dr hab. A. Senajder.

ODPIS

(GODŁO PAŃSTWOWE)

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
SZKOŁA GŁÓWNA PLANOWANIA I STATYSTYKI
W WARSZAWIE

Wydział Handlu Zagranicznego

DYPLOM

OBYWATEL STANISŁAW LESZKOWICZ

URODZONY DNIA 29 maja 1928 ROKU

W Założowie

NA PODSTAWIE PRZEDŁOŻONEJ ROZPRAWY DOKTORSKIEJ POD TYTUŁEM

„ Międzynarodowa konkurencyjność
gospodarki Republiki Federalnej Niemiec.
Analiza porównawcza. ”

ORAZ PO ZŁOŻENIU PRZEPISANYCH EGZAMINÓW UZYSKAŁ STOPIEŃ
NAUKOWY

DOKTORA

nauk ekonomicznych

NADANY UCHWAŁĄ RADY Wydziału Handlu Zagranicznego

Szkoły Głównej Planowania i Statystyki

Z DNIA 16 grudnia 1981 ROKU

Warszawa, DNIA 20 kwietnia 1988 ROKU

PROMOTOR

REKTOR

DZIEKAN

Doc. dr hab. Danuta Hübner

Prof. dr hab. Zygmunt Bosiakowski

Prof. dr hab. Paweł Bożyk



NR 1388

żenia odpowiedziałem spokojnie i jak sądzę, wyczerpująco. Prawdopodobnie nie mógł mi darować mojej prośby skierowanej znacznie wcześniej pod adresem dziekanatu Wydziału Handlu Zagranicznego o niewłączanie go do Komisji egzaminacyjnej z międzynarodowych stosunków gospodarczych. Znałem się z nim od dwóch co najmniej dziesiątków lat i nigdy nie mieliśmy na żadną ważniejszą sprawę podobnego poglądu. Nie zgadzałem się nawet z nim wtedy, kiedy w niedalekiej stosunkowo przeszłości, jako zastępca członka KC PZPR głosił hasło "tak trzymać". W tajnym głosowaniu Komisji znalazł się w tej sytuacji jeden głos wstrzymujący się. Reszta głosowała "TAK". Zabrakło komuś z siedmiu głosujących cywilnej odwagi powiedzenia "nie". Jaki był wynik głosowania Rady, nie wiem; nie interesowałem się.

Wiele obecnych osób, z reguły byli to wytrawni znawcy problematyki gospodarczej Niemiec z resortu handlu zagranicznego, głośno dało wyraz swej dezaprobaty dla sposobu postępowania prof. Kameckiego. Osobiście nie miałem i nie mam do niego żadnych pretensji. Przecież to też człowiek, a do tego naukowiec o prawdziwie polskich cechach. A jak wiadomo, dwóch naukowców polskich zgadza się ze sobą tylko wtedy, kiedy o trzecim mówią, że jest ignorantem.

4. Awans społeczny

Awans społeczny, uczono nas, to odgórny akt, na mocy którego wyróżniający się robotnik obejmuje jakieś stanowisko kierownicze, najczęściej w tym samym zakładzie. W moim przypadku było nieco inaczej. Pewnego dnia na przełomie roku 1946/1947, F. Jagła, bezpośredni zwierzchnik, zapytał mnie o umiejętności pisania i czytania. Poszukiwał w tym czasie kogoś, kto by mu prowadził całą biurokrację, związaną z wykonywanymi przez naszą grupę robotami. Chodziło przede wszystkim o ewidencję obecności robotników oraz prowadzenie dziennika budowy. Wiedział, że moja kandydatura pasuje do tych zadań. Byłem już po tak zwanej małej maturze. Pracowaliśmy razem blisko dwa lata i nie mieliśmy dotychczas żadnych spraw spornych. Wiedział też, że znam dobrze port, ludzi i robotę.

Nie miał wątpliwości, że będzie miał ze mnie dobrego pomocnika.

Propozycję p. F. Jagły potraktowałem jako wyróżnienie, a zmianę swojego statusu, przejście z robotnika na pracownika umysłowego, wtedy się mówiło na urzędnika, jako wyraźny awans społeczny. Nagle przestałem jeździć taczka, otrzymałem do dyspozycji służbową łódź z przyczepnym silnikiem i zacząłem kursować z teczką papierów pod pachą od jednego placu robót do drugiego. Robota żywa i ciekawa.

W rozkładzie mojego dnia zmieniło się sporo. Musiałem znacznie wcześniej wstawać, aby jako pierwszy, przed innymi, dotrzeć na główny plac budowy. Chodziło o to, aby sprawdzić tam stan robotników, dokonać wpisu zakresu robót do dziennika budowy i udać się w tym samym celu do innego punktu, gdzie pracowała inna nasza grupa. Wcześniejsze przychodzenie do pracy upoważniało mnie do wcześniejszego wychodzenia do domu, a to mi bardzo pasowało, gdyż zaraz po pracy miałem jeszcze szkołę. Nieco dłuższa więc przerwa między pracą i nauką umożliwiała mi zjedzenie obiadu stołowego i dotarcie na czas do szkoły.

Niedługo jednak cieszyłem się tą nową pracą. Powierzenie mi funkcji etatowej w organizacji młodzieżowej, spowodowało odejście z pracy w Dziale Budowlanym Głównego Urzędu Morskiego i podjęcie zupełnie innych zadań.¹⁾ W nowym miejscu, jak już wspominałem wcześniej, pochłonęła mnie całkowicie praca organizacyjna. Narady, konferencje, udział w różnych imprezach wypełniały bogato program każdego dnia. Coraz częściej musiałem zaniedbywać szkołę, a to już było niebezpieczne. Na szczęście trwało to wszystko zaledwie sześć miesięcy.

Wymuszona rezygnacja z funkcji pierwszego sekretarza Komitetu Miejskiego OM TUR kazała mi jednocześnie znaleźć inne zajęcie, jako źródło utrzymania. Wybór padł na Urząd Skarbowy, mieszczący się przy ul. Grunwaldzkiej we Wrzeszczu. Dopomógł mi w tym kolega Lucjan Parusiński, który nieco wcześniej zatrudnił się w tej instytucji. Był wrzesień 1947 roku.

Po krótkich rozmowach z szefem Wydziału I Izby Skarbowej Adamem Neusserem i naczelnikiem I Urzędu Skarbowego Julianem Stolą załatwiłem niezbędne formalności i stałem się urzędnikiem skarbowym /kontraktowym/ w XIII grupie uposażenia. To co robili

U wystawione przez G.U.M. świadectwo stwierdza, że pracodawca tam "charakterne warunki", nie ma odpowiedzialności i przy okazji czas był ten wybitny robotnikiem.



RZECZPOSPOLITA POLSKA
GŁÓWNY URZĄD MORSKI

Dział Budowlany.

Nr. 23 127/Pers/47

Nowy Port,
Gdańsk-~~Wroblew~~, 21 kwietnia 1947.

S w i a d e c t w o .

Dział Budowlany Głównego Urzędu Morskiego zaświadcza, że ob.
L e s z k o w i c z Stanisław urodzony dnia 29.5.28 r. był
zatrudniony w tut. Dziale od 14.8.45 r. do dnia dzisiejszego
w charakterze kancelisty.

W/w. wywiązywał się z obowiązków jemu powierzonych sumiennie
i wzorowo.

Zwolnienie ob. Leszkowicza nastąpiło na własne żądanie.

DZIAŁ BUDOWLANY
Kierownik Kancelarii

inni pracownicy wydawało mi się tak trudne i skomplikowane, że nie myślałem abym w ciągu najbliższych pięciu lat mógł to wszystko opanować. Na początek powierzono mi rzeczy najprostsze, a więc kartoteki, do których wpisywałem dane dotyczące wymiaru i wpłat podatku obrotowego i dochodowego. Po pewnym czasie przydzielono mi kilkadziesiąt przedsiębiorstw handlowych i rzemieślniczych do samodzielnego prowadzenia, pod nadzorem oczywiście doświadczonego urzędnika skarbowego.

Dla młodych pracowników Izba Skarbowa w Gdańsku organizowała co pewien czas kilkutygodniowe kursy szkoleniowe. Zostałem więc i ja na taki kurs wytypowany. Głównymi przedmiotami wykładanymi na kursie były: podatek obrotowy i dochodowy, podatek od wynagrodzeń, podatek od nabycia praw majątkowych, zasady postępowania podatkowego, prawo karno-skarbowe i inne. Wykładowcami byli wybitni specjaliści zatrudnieni w administracji skarbowej, od I do III instancji^{1/}. Na zakończenie kursu poddano wszystkich słuchaczy, a było ich około 30-tu, skrupulatnemu egzaminowi. Sprawdzono nie tylko wiedzę teoretyczną, ale również umiejętności praktyczne każdego delikwenta. Każdy musiał opodatkować wymagowane przedsiębiorstwo, aby żadna ze stron, ani podatnik ani skarb państwa, nie zostały pokrzywdzone.

W rezultacie egzaminów zgromadziłem największą liczbę punktów, uzyskując wszystkie oceny bardzo dobre i pierwszą lokatę. Dyrektor Izby Skarbowej Z. Grześkowiak złożył mi osobiście gratulacje i wręczył nagrodę w kwocie 10.000 zł. Była to spora suma, która pomogła mi rozwiązać kilka ważnych problemów dnia codziennego. Po powrocie z kursu stałem się referentem podatkowym, ze wszystkimi uprawnieniami do samodzielnej pracy. Potrafiłem już wtedy spojrzeć krytycznie nie tylko na to co sam robiłem, ale również i na to, co robili inni. Potwierdziła się teza, że: "nie święci garczki lepią". I kiedy, w roku 1949 z II Urzędu Skarbowego odszedł kierownik działu wymiarowego /podatków i opłat/ F. Mackiewicz, zostałem przeniesiony na jego miejsce. Była to moja pierwsza praca, jak by to dziś się powiedziało, na stanowisku kierowniczym. Zobowiązało to mnie do zintensyfikowania pracy nad sobą, aby sprostać nowym, wcale nie łatwym obowiązkom.

1/ I instancja Urząd Skarbowy, II instancja Izba Skarbowa, III instancja Ministerstwo Skarbu.

IZBA SKARBOWA W GDANSKU

Gdańsk, dnia... 6 / VII ... 1949 r.

Nr. ewid. 9 ... / 49

S W I A D E C T W O

Obywatel ... *Leszkowicz Stanisław* ...

rejestrator / tytuł służbowy /
imię i nazwisko /
Urządzie Skarbowym /
w Gdyni /
urząd skarbowy /

ukończył kurs, zorganizowany na zasadzie zarządzenia Ministerstwa Skarbu z dnia *31. III. 1949* Nr. *5. I. 16/47/49* odbyty w czasie od dnia *27. IV. 1949* do dnia *18. V. 1949* dla urzędników wymiarowych i złożył egzamin z ogólną oceną :

bardzo dobrze

[Signature]
SEKRETARZ



PRZEWODNICZACY
KOMISJI EGZAMINACYJNEJ :

[Signature]

KOMISARZE EGZAMINACYJNI :

[Signatures of examiners]

Oceny: bardzo dobrze, dobrze, dostatecznie.

Praca w Urzędzie Skarbowym stawała się coraz trudniejsza. Wyznaczane przez Izbę Skarbową plany wpływów podatkowych najczęściej były nierealne. Trzeba było karkołomnych gimnastyk aby te plany zrealizować. Najbardziej odczuwali to podatnicy, którzy w zupełnie nieoczekiwanych okolicznościach otrzymywali tak zwane domiary, czyli dodatkowe nakazy płatnicze. Nie zapominajmy, że był to słynny okres "bitwy o handel", prowadzonej przez administrację państwową na zlecenie władz politycznych. Każda więc likwidacja prywatnego sklepu lub zakładu rzemieślniczego zaliczana była do sukcesu odniesionego na tym froncie; każdą zlikwidowaną firmę prywatną można było porównać do trupa w szeregach wroga w czasie wojny. Co pewien czas Urząd Skarbowy otrzymywał zalakowane koperty z wykazem branż, które będą likwidowane w najbliższym czasie. Dotyczyło to oczywiście prywatnych przedsiębiorstw pracujących w przeznaczonych do odstrzału branżach. Urzędy Skarbowe otrzymywały jednocześnie polecenie zabezpieczenia interesów skarbu państwa, w skazanych na śmierć firmach, co w przełożeniu na język praktyczny oznaczało wymierzenie maksymalnego podatku i zabezpieczenie jego ściągальności. Samobójstwo gospodarcze na skalę ogólnopaństwową. Był to jednocześnie okres szybkiej przebudowy kształtu administracji państwowej, wedle wzorów radzieckich. Wprowadzona została w życie zasada ujednocniająca państwowe urzędy terenowe z radami narodowymi. Powstały prezydia rad narodowych różnych szczebli, jako organa wykonawcze administracji terenowej. W ten sposób zlikwidowano sieć izb i urzędów skarbowych, a ich kompetencje przejęły wydziały finansowe prezydiów rad narodowych.

W rezultacie tych zmian udało mi się bezboleśnie opuścić skarbowość i przejść do pracy w bankowości. Uważałem, że będzie to bardzo dobre kontynuowanie rozpoczętej wcześniej specjalizacji w dziedzinie spraw finansowych. Nie pomyliłem się. Praktyka potwierdziła moje przewidywania w całej rozciągłości. Pracę w Banku Komunalnym rozpocząłem na podstawie aktu podpisanego i wręczonego mi osobiście w Warszawie przez ówczesnego dyrektora naczelnego tego Banku, dr-a Władysława Kiernika. Siedząc na przeciw swojego najwyższego szefa i słuchając jego krótkich, suchych wytycznych, wiedziałem, że mam przed sobą znanego w kraju i za granicą rasowego działacza ludowego, pierwszej wielkości. Pełnił on szereg

IZBA SKARBOWA W GDANSKU
Nr.W.I.16378/1/49

Gdańsk, dnia 31 grudnia 1949 r.

Do

Ob. Leszkowicza Stanisława
kontr.kier.referatu
w 1 Urzędzie Skarbowym
w Gdańsku

Zmieniam Obywatelowi pkt.1 umowy służbowej z dnia 11 lutego 1949 r. i z dniem 15 grudnia 1949 r. powierzam obowiązkowo kierownika działu wymiarowego w 2 Urzędzie Skarbowym w Gdańsku.

Wynagrodzenie oraz tytuł służbowy pozostają bez zmian.

Przeniesienie zarządca z urzędu.

Dwa egzemplarze umów zmieniających pkt.1 umowy z dnia 11 lutego 1949 r. załączam celem podpisania i zwrotu.

Jednocześnie na podstawie § 8 Rozp.Rady Ministrów z dnia 19 lutego 1949 r. w sprawie dodatków funkcyjnych i służbowych dla pracowników państwowych oraz przewodniczących organów wykonawczych gmin miejskich i wiejskich /Dz.U.R.1 Nr.14, poz.94/- przyznaję Obywatelowi z dniem 1 stycznia 1950 r. dodatek służbowy w/g stawki "a".



IZBA SKARBOWA
URZĘDZIMO
MUR. ...Korawski

IW.

funkcji, z ministerialnymi włącznie, był też przed wojną więźniem politycznym Berezki Kartuskiej. Wiedziałem, że mam do czynienia z postacią historyczną. Jako kierownik działu ogólnego w Banku Komunalnym w Gdyni, któremu był podporządkowany referat personalny, miałem jeszcze szereg razy okazję brać udział w różnych naradach i konferencjach, pod kierownictwem dr-a W. Kiernika. Odnosiłem się do niego zawsze z respektem i należnym szacunkiem.

Po zaangażowaniu się do banku zaliczyłem kilkumiesięczny kurs techniki bankowej, zakończony formalnym egzaminem przed komisją z Centrali, otrzymując świadectwo jego ukończenia z bardzo dobrym wynikiem.

Oddział gdyński Banku był niewielki, liczył niecałą setkę ludzi. Załogę stanowili wytrawni, wcale nie najmłodszy pracownicy. Wielu z nich pracowało jeszcze w różnych bankach przed wojną. Zaliczali się wtedy do elity pod każdym względem. Teraz byli zwykłymi zjadaczami chleba. Nie należeli do żadnych partii politycznych i nie angażowali się do pracy społecznej. Załoga banku stanowiła jedną, dużą zżytą ze sobą rodzinę. Jeżeli tylko ktoś, wskutek wypadku losowego potrzebował pomocy, zaraz ją miał. Na początku dyr. Dzierżanowski, później dyr. Piotr Piasecki dbali bardzo o to, aby pracownicy zawsze mogli liczyć na życzliwość oraz w razie potrzeby na materialną i moralną pomoc pracodawcy. Sam nigdy nie zapomnę takich nazwisk jak Danuta Tauszyńska, Jan Knabe, Jan Luxenburg, Jolanta Lewandowska /Słomczyńska/, Teresa Delewska, czy powszechny dobroczyńca, Jan Kamiński.

Banki w ogóle, a w tej liczbie i Bank Komunalny w Gdyni znalazły się w pewnym momencie pod ostrzałem ze strony aparatu PZPR. Nadchodziły stamtąd różne instrukcje i wytyczne zmierzające do gruntownej czystki środowiska bankowego. Zwolnieniu podlegali wszyscy ci, którzy byli długoletnimi pracownikami banków przedwojennych, a szczególnie ci, którzy należeli do jakichkolwiek organizacji społecznych bądź politycznych, stojących na prawo od organizacji zdecydowanie lewicowych oraz ci, którzy w czasie okupacji należeli do AK lub do innych podobnych ugrupowań. Jeden z pracowników naszego Banku Jan Luxenburg, otrzymał wręcz nakaz władz administracyjnych opuszczenia Gdyni, jako element antysocjalistyczny. Przed wojną był zwykłym prokurentem w Banku

Związku Spółek Zarobkowych, nie należąc do żadnej partii, zaś całą wojnę spędził w niemieckim obozie jenieckim dla oficerów polskich w Woldenbergu. Po wojnie cały czas pracował w instytucjach państwowych i teraz nagle, jako "wróg ludu", wyrzucony jest z Wybrzeża. W porozumieniu i za zgodą dyrektora Banku Piotra Piaseckiego udałem się do kierownika Wydziału Administracyjnego Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Gdańsku J. Cybulskiego, gdzie po długiej rozmowie na temat sylwetki zawodowej zainteresowanego uzyskałem decyzję o anulowaniu tego nieludzkiego nakazu i Jan Luxenburg mógł dalej mieszkać i pracować w Gdyni. Wielokrotnie byłem indagowany dlaczego nie został jeszcze wyrzucony z pracy Jerzy Ciesielski, który przed wojną należał do Legionu Młodych, a po wojnie solidnie razem z innymi pracował ku pożytkowi swoich państwowych pracodawców, a nawet był członkiem partii robotniczej.

Wspólnie z dyrektorem P. Piaseckim uznaliśmy też, iż nie ma u nas takich pracowników, którzy musieliby być zwolnieni w ramach zarządzanej przez komitet partyjny w Gdyni czystki. Wszyscy pozostali więc na swoich miejscach. Żadna to zasługa nie zrobić komuś niewinnemu krzywdy, powie ktoś dzisiaj.

W Banku Komunalnym przeżyłem wymianę pieniędzy, która miała miejsce w roku 1950. Klasyczny przykład nieprzestrzegania podstawowych zasad praworządności. Wszystkie ceny i płace przeliczone zostały w stosunku 100:3, natomiast wymianę pieniędzy /gotówki/, będących w posiadaniu obywateli realizowaliśmy w stosunku 100:1. Co zaś dotyczyło techniki wymiany, to trzeba powiedzieć, że niektórzy pracownicy kilka dni i nocy spędzili w banku. Padali ze zmęczenia i nie wolno ich było puścić do domów, aby trochę odpoczęli i nabrali sił do dalszej pracy. Sam też przez kilka dni nie wychodziłem z biur bankowych.

Bank Komunalny, jak wiele innych, padł również ofiarą przebudowy systemu gospodarczego kraju. W roku 1951 przestał istnieć. Część jego agend znalazła się w Banku Inwestycyjnym, a część w Narodowym Banku Polskim. Osobiście znalazłem się w tym ostatnim. Pracowałem w pionie kredytów gdyńskiego oddziału, noszącego wówczas nr 15, kierowanego przez wybitnego fachowca dyr. Gregora.

Warszawa, dnia 7 kwietnia 1951 r.

Nr ew.: 65

ŚWIADECTWO

Obywatel LESZKOWICZ Stanisław

Gdyni
zatrudniony w Banku Komunalnym w ~~Warszawie~~ w charakterze

kierownika referatu ukończył kurs bankowy I-go stopnia

z zakresu techniki bankowej i czynności bankowych

zorganizowany w okresie od 8.IX. 1950 r. do 31.I. 1951 r.

na zasadzie zarządzenia Ministerstwa Finansów z dnia 20.VI.50r Nr KA
11074/3450

i złożył egzamin z ogólną oceną bardzo dobrą

SEKRETARZ
f. Kaminioł



PRZEWODNICZĄCY
KOMISJI EGZAMINACYJNEJ
M. M.

KOMISARZE EGZAMINACYJNI

Ponkaj
J. J.

BANK KOMUNALNY

CENTRALA

DEPESZE: »KOMUNALNY«
TEL.: 746-60, 746-61, 746-62

WARSZAWA, DN. 25 kwietnia 51 195... R.
Pl. Warecki 7

Znak 2760 /51/Pers.

ODDZIAŁ GŁÓWNY
W WARSZAWIE

ODDZIAŁY:

BIAŁYSTOK
BYDGOSZCZ
GDYNIA
KATOWICE
KIELCE
KRAKÓW
LUBLIN
ŁÓDŹ
OLSZTYN
POZNAŃ
RZESZÓW
SZCZECIN
WROCŁAW

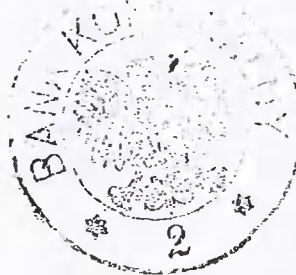
Ob.
LESZKOWICZ Stanisław
P.o.kier.działu Oddziału B.K.

w G d y n i

Z dniem 1 maja 1951r. mianuję Obywatela kierownikiem
Działu Ogólnego w Oddziale Banku Komunalnego w Gdyni i w zwi-
ąku z tym przyznaję Obywatelowi uposażenie w/g grupy V z dodat-
kiem funkcyjnym w/g stawki 4.

BŁ.

NACZELNY DYREKTOR



Wł. Kiernik
/dr WŁ. KIERNIK/

Robota ciekawa, choć stosunki międzyludzkie podłe. Pracownicy przerażeni tym co się dzieje, zamknęli się w sobie i stali się typowymi robotami. Wykonywali to co do nich należało i nic więcej. Zapanowała beznadzieja i kompletna apatia.

W tej sytuacji skorzystałem z nadarzającej się okazji i przeniosłem się do Baltony, przedsiębiorstwa handlu zagranicznego, zajmującego się zaopatrywaniem statków. Uczyniłem to mimo perspektyw awansu w NBP. Zaproponowa^{no} mi stanowisko dyrektora oddziału w powiatowym mieście województwa gdańskiego, Lęborku. Zwolnienie z dniem 30 czerwca 1952 roku podpisał mi ówczesny dyrektor oddziału wojewódzkiego NBP, późniejszy minister finansów, przewodniczący Komisji Planowania i wiceprezes Rady Ministrów PRL, Henryk Kisiel.

5. Propozycja nie do odrzucenia

Przejście z Narodowego Banku Polskiego do "Baltony" w Gdyni spowodowane, jak to często bywa z inicjatywy nowego pracodawcy, stanowiło niewątpliwie następny punkt zwrotny w moim życiorysie zawodowym. Tu spotkałem się z zupełnie nieznanym mi dotąd charakterem pracy. Przydzielony zostałem do sekcji towarów spożywczych, kierowanej przez L. Lazariniego, którego prawą ręką był Jan Łupiński. Zajmowaliśmy się zakupem żywności, którą z kolei sprzedawano na statki polskie i zagraniczne. Na początek powierzono mi załatwienie zaległej korespondencji z dostawcami, z ofert których na razie nie skorzystaliśmy, ale w przypadku pojawienia się zapotrzebowania zapowiadaliśmy powrót do sprawy. Uderzyła mnie w oczy zupełnie inna forma korespondencji, grzeczna i uprzejma, gęsto okraszona barokowymi ozdobami. W moich poprzednich miejscach pracy, w administracji skarbowej i bankach, stosowaliśmy w korespondencji formę wybitnie urzędową, wręcz arogancką: wzywaliśmy, polecaliśmy, komunikowaliśmy, zawiadamialiśmy. Tu natomiast uprzejmie informowaliśmy, wyrażaliśmy swoją wdzięczność, prosiliśmy o wyrozumiałość, lub z zainteresowaniem oczekiwaliśmy czyjegoś stanowiska.

Po kilku zaledwie tygodniach pracy w nowej formie skierowany zostałem na kurs handlu zagranicznego do Miedzeszyna koło War-

szawy, zorganizowany w ośrodku szkolenia Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Tego rodzaju kursy należały w tym okresie do powszechnie stosowanych metod podnoszenia kwalifikacji pracowników. Organizowały je ministerstwa, centralne urzędy, związki spółdzielcze oraz większe przedsiębiorstwa, bowiem odczuwano w tym czasie dotkliwy niedobór absolwentów średnich i wyższych szkół specjalistycznych.

Razem ze mną przybyło tu prawie 60 osób, w tym około tuzina kobiet. Kursanci pochodzili z całej Polski, z różnych zakładów pracy. Największą jednak liczbę stanowili pracownicy przedsiębiorstw handlu zagranicznego z Warszawy, Łodzi, Katowic i Trójmiasta. Razem ze mną przyjechali z Gdyni lub z Gdańska: Miłkowski, Zwiągała i Jasiak z Polcarga, Wójcik i Baron z Baltony oraz Tetkowski, Markiewicz i Wolanin z Hartwiga. Mieli oni podstawowe lub niepełne średnie wykształcenie, trochę praktyki i rozbudzone do granic chorobliwych ambicje.

Wszystkich podzielono na dwie grupy, przy czym do pierwszej grupy, dla której opracowano roczny program nauki, skierowano te osoby, które posiadały już kilkuletni staż pracy w handlu zagranicznym, i te nieliczne osoby /trzy/, które co prawda nie spełniały tego warunku, jednak legitymowały się co najmniej średnim wykształceniem. Mnie zakwalifikowano do tej właśnie grupy.

W drugiej grupie, dla której ustalono półtoraroczny program nauki, znaleźli się wszyscy pozostali, w tym kilku robotników oderwanych prosto od warsztatów pracy. Wszyscy oni posiadali z reguły wykształcenie podstawowe lub niepełne średnie i pochodzili spoza resortu handlu zagranicznego, najczęściej z zakładów produkcyjnych; /czy to było słuszne, to już inna sprawa/. Tak więc spotkał się tu element niezwykle zróżnicowany pod każdym względem, a szczególnie jeśli chodzi o jego poziom ogólny i przygotowanie zawodowe; był też zróżnicowany pod względem politycznym; oprócz członków Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej byli również bezpartyjni, choć stanowili oni mniejszość. Wśród partyjnych kursantów występowały istotne różnice ideologiczne i polityczne; były one jednak ze zrozumiałych względów skrzętnie ukrywane. Nie zapominajmy, iż był to rok 1952, a więc szczytowy punkt procesu stalinizacji naszego kraju, realizowany przez PZPR w ramach sze-

roko popularyzowanych przez propagandę partyjną trzech "p" /przyjaźni, pomocy, przykładu/. Chodziło oczywiście o wzór i podobieństwo ZSRR. W takiej atmosferze przebiegał cały kurs.

Dzisiaj, patrząc na to wszystko z dość odległej perspektywy, uważam, iż wysyłanie na kurs robotników było wielkim niewypałem, gdyż kurs taki nie spełnił w żadnym stopniu celu, jaki przed nim postawiono. Inicjatorzy i wykonawcy tego kosztownego przedsięwzięcia kierowali się ogólnie panującymi wówczas tendencjami zmierzającymi do zasilenia "czułych" instytucji i przedsiębiorstw nową kadrami, pochodzącą ze środowisk robotniczych i chłopskich. Była to swoista realizacja hasła "nie matura lecz chęć szczerą". Chodziło o "wyprodukowanie" w przyspieszonym tempie takich pracowników handlu zagranicznego, którzy by z jednej strony reprezentowali wysoki poziom zawodowy, a z drugiej, wykazywali przez całe swoje życie bezgraniczną wdzięczność tym, za sprawą których znaleźli się w tej "kuźni kadr". Był to więc wielokrotnie powielany eksperyment z góry skazany na niepowodzenie, albowiem nie można w ciągu roku lub półtora dokonać cudu i z prostego człowieka stworzyć myślącego inteligenta, a do tego tak przebudować jego psychikę, aby przez całe swoje życie wiernie i bezkrytycznie służył swoim dobroczyńcom. Był to eksperyment, który można i trzeba rozpatrywać na tle koncepcji wybudowania autentycznej Huty Żelaza w centrum Krakowa lub Warszawy. Wtedy jego ogólny obraz straci na ostrości. Każda bowiem głupota jest relatywna.

W programie zajęć mieliśmy osiemnaście przedmiotów, w tym język polski, bowiem, jak już wspomniałem wyżej, wielu słuchaczom brakowało podstawowych umiejętności z tego zakresu. Gros jednak przedmiotów to przedmioty zawodowe, choć nie brakowało rozległych dyscyplin społecznych. Nauki było sporo; obok niej mogłem jednak swobodnie kontynuować studia zaoczne w Szkole Głównej Planowania i Statystyki zwłaszcza, że wiele materiału uzupełniało się. Dziennie mieliśmy sześć godzin wykładów i kilka godzin tak zwanej obowiązkowej nauki własnej. Każdy z mocniejszych kursantów miał przydzielonego kursanta słabszego, którego miał doksztalać. Tak się złożyło, że mój podopieczny, skądinąd znakomity kolega, Bogdan Olszewski był wyjątkowo słaby, o bardzo niskim przygotowaniu ogólnym, lecz jak to często się zdarza, był człowiekiem niezwykle

ambitnym, pilnym i pracowitym. Była to straszna udręka, gdyż mieszkając z nim w jednym pokoju /rozmieszczenie celowe/ nie mogłem spać, ponieważ tamten się uczył całymi nocami i co chwila, nierzadko w środku nocy, budził mnie i pytał o to lub tamto. Dochodziło na tym tle do poważnych konfliktów między nami. W czasie tego rocznego pobytu na kursie na pewno dużo się nauczył, i to zarówno jeśli chodzi o przedmioty ogólne, jak i zawodowe. Nie nauczył się wszakże jednego, a mianowicie ustalania i oceny priorytetów. I kiedy, po wielu latach, jako pracownik Ministerstwa Handlu Zagranicznego znalazłem się razem z nim na resortowej naradzie sparatu kierowniczego, on występujący wówczas jako szef polskiej placówki handlowej w Tiranie, zabrał jako pierwszy dyskutant głos i blisko godzinę truł wszystkich obecnych /około 150 osób/ szczegółami polsko-albańskiej wymiany towarowej. Siedząc obok niego kilka razy kopnąłem go w kostkę, ale on nie zrozumiał o co chodzi.

W trakcie tego roku szkolnego - 1952/1953 - miały miejsce dwa, duże wydarzenia polityczne, zasługujące na odnotowanie: śmierć J.W. Stalina i wybory do Sejmu PRL. W okresie poprzedzającym wybory wszyscy zostaliśmy włączeni do kampanii przedwyborczej, jako tak zwani agitatorzy. Zadaniem naszym było chodzenie po domach i agitowanie wyborców na rzecz programu Frontu Jedności Narodu /FJN/ i jego kandydatów na posłów. Było to zadanie bardzo nieprzyjemne, często wręcz upokarzające. Ówczesni mieszkańcy Miedzeszyna i okolic to przeważnie biedne, wielodzietne rodziny, zamieszkujące stare przedwojenne, z reguły pożydowskie domy drewniane, służące kiedyś za tak zwane letniaki. Trudno było wmawiać tym ludziom, którzy nie mogli często związać "końca z końcem", że żyje im się lepiej, że rośnie ich wpływ na losy kraju i jego obywateli. Z niektórych mieszkań trzeba było szybko uciekać i uważać, aby nie dostać po głowie.

Nie wiem czy ktoś, w rezultacie rozmowy ze mną głosował na kandydatów FJN, choć sądząc po oficjalnych wynikach było ich ponad 99%, ale wiem na pewno, że jedną osobę zaagitowałem skutecznie. Była nią młoda, przyjtojna studentka Wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej, Stanisława Rowicka, córka pozbawionego w ramach reformy rolnej majątku, ziemianina /znanego w rejonie

otwockim lekarza weterynarii/, która niespełna dwa lata później została moją żoną i pozostaje nią po dzień dzisiejszy.

Drugie wydarzenie to śmierć J.W. Stalina. Atmosfera, jaką wokół tego wydarzenia w naszym ośrodku stworzono, była pełna żalu i powagi. Przez kilka dni nikt nie śmiał uśmiechnąć się, nawet gdyby po temu była najprzedniejsza okazja. Uśmiech byłby potraktowany jak przestępstwo polityczne. Dobrze było natomiast widziane kiedy ktoś miał zapłakane oczy. Do przestrzegania tego, niepisanego regulaminu, powołana była przez kierownictwo Ośrodka cała sieć nieoficjalnych informatorów. Było wśród nich kilku profesjonalistów, dobrze zresztą znanych ogółowi słuchaczy.

Wracając do nauki, trzeba obiektywnie powiedzieć, że kurs był obsadzony niektórymi dobrymi wykładowcami. Najczęściej byli to wieloletni praktycy, głęboko tkwiący w zawodzie. Do nich zaliczyć trzeba dra Stanisława Galla, presesa Polskiej Izby Handlu Zagranicznego, który wykładał organizację i technikę handlu zagranicznego, Jerzego Jurkiewicza, dyrektora Departamentu Finansów MHZ, który uczył nas rozliczeń międzynarodowych oraz Jadwigę Gąsiorowską, późniejszą wicedyrektor Departamentu Finansów, dzięki której poznaliśmy wcale niełatwe tajniki finansowania przedsiębiorstw handlu zagranicznego. Ekonomii politycznej uczył płk Klus, który imponował nam wojskową precyzją formułowania myśli i punktualnością rozpoczynania i kończenia przerw między wykładami.

Kilku szczególnie upolitycznionych wykładowców cieszyło się naszą powszechną opinią, jako gorliwych recytatorów myśli "wielkich klasyków": Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Do nich głównie należeli dr Jan Kobryner, doradca ministra H.Z. i Michał Frankowski, dyrektor Departamentu Importu MHZ. Jan Kobryner bił wszelkie rekordy. W czasie 45 minutowego wykładu potrafił nieraz 20 razy zacytować swego ulubieńca ^{największego} uczonego świata, Józefa Stalina. Wszyscy bez wyjątku z ogromnym zainteresowaniem oczekiwaliśmy długo zapowiadanego wykładu prof. Oskara Langego, na temat świeżo sformułowanej przez J.W. Stalina teorii dwóch rynków. Nie wiem czemu to przypisać, sądę, że miesiąc i czasowi wykładu, ale znakomity nasz uczonec nie wykroczył poza ramy teorii i w całej rozciągłości poparł główną tezę Stalina o rozpadzie świata na dwa rynki, i trwałym procesie kształtowania się dwóch, niezależnych od siebie ugrupowań

gospodarczych. Dyskusja po wykładzie ograniczyła się do kilku zdawkowych stwierdzeń, które w żadnym punkcie nie wyszły poza granice formuły stalinowskiej. Czułem się zawiedziony w swoich oczekiwaniach.

Uczyliśmy się również języków obcych. Dziś z całą odpowiedzialnością można powiedzieć, że problem ten od samego początku nie został doceniony. Na kursie powołano trzy grupy językowe: angielską, niemiecką i rosyjską. Osobiście chciałem uczyć się języka angielskiego lub niemieckiego. Języków tych uczyłem się poprzednio w szkole i miałem znakomitą okazję, aby któryś z nich pogłębić. Tymczasem dyrektor Ośrodka Stefania Dzieciołowska, która od początku nie darzyła mnie sympatią, ponieważ odmówiłem jej odpowiedzi na kilka pytań dotyczących kolegów, wpakowała mnie do grupy języka rosyjskiego, a więc języka, który nie był dla mnie wcale obcy. W ten sposób niejako z góry zaprogramowany zostałem do pracy w obszarze języka rosyjskiego, choć później okazało się inaczej. A w ogóle to poziom nauczania wszystkich trzech języków był bardzo słaby. Po rocznej nauce nikt, kto zaczął się uczyć jakiegoś języka od początku, nie mógł się w tym języku rozmówić.

Towarzyszka dyr. Stefania Dzieciołowska zrobiła mi jeszcze jednego psikusa, a mianowicie poleciła przerwać w SGPiS studia zaoczne i dopiero moje odwołanie do MHZ spowodowało anulowanie tej decyzji. Zagroziłem, iż porzucę kurs i wyjadę z Miedzeszyna, jeżeli kierownictwo Ośrodka nie wyrazi zgody na jednoczesną naukę na kursie i studia w SGPiS. Byłem wtedy na drugim roku Wydziału Ekonomiki Produkcji.

Po dziesięciu miesiącach intensywnej nauki kurs został zakończony. Z kilku przedmiotów miał miejsce egzamin pisemny, zaś z pozostałych ustny. W skład komisji egzaminacyjnej weszli, oprócz dyrektora Ośrodka i wykładowców, przedstawiciele Komitetu Centralnego PZPR, Ministerstwa Handlu Zagranicznego, Polskiej Izby Handlu Zagranicznego i niektórych przedsiębiorstw handlu zagranicznego. Egzaminami objęto osiemnaście przedmiotów. W ich rezultacie ustalono trzech najlepszych absolwentów, z których:

pierwsze miejsce zajął Tadeusz Dorota, drugie miejsce Ryszard Smusz i trzecie ja. Pierwszy miał wszystkie stopnie bardzo dobre, drugi siedemnaście bardzo dobrych i jeden dobry, i trzeci szesnaście dobrach i dwa dobre.

Ośrodek Szkolenia Zawodowego
Ministerstwa Handlu Zagranicznego w Miedzeszynie

ŚWIADECTWO

Ob. Leszkowicz Stanisław
(imię i nazwisko)

urodzony(a) dnia 29 maja 1948 r. w Łalorowie

pow. L. S. R. R. woj.

przyjęty na Kurs Handlu Zagranicznego zorganizowany
przez Departament Szkolenia M. H. Z., uczęszczał od 1 września

1952 r. do 30 lipca 1953 r. i wykonał(a) przepisane prace i ćwiczenia oraz zdał(a) egzamin przed Komisją Egzaminacyjną zatwierdzoną przez Dep. Szkol. Ministerstwa Handlu Zagranicznego z wynikiem ogólnym:

bardzo dobrym

Świadectwo niniejsze daje absolwentowi kwalifikacje zawodowe do pracy w resorcie handlu zagranicznego

Miedzeszyna dnia 30.7 1953 r.

Nr 16 /1953 r.

Członkowie
Komisji Egzaminacyjnej

[Handwritten signatures of members of the Examination Commission]

Przewodniczący
Komisji Egzaminacyjnej

[Handwritten signature of the Chairman of the Examination Commission]



Dyrektor Dep. Szkol.

Ukończony przez nas kurs uznany został specjalną uchwałą Kolegium MHZ za równorzędny ze średnim wykształceniem, jeśli chodzi o kryteria służące do ustalania wysokości wynagrodzenia. Tak więc dla wielu, na szczęście nie dla wszystkich absolwentów, świadectwo ukończenia kursu handlu zagranicznego w Miedzeszynie, było i pozostało najwyższym i najważniejszym dokumentem potwierdzającym poziom wykształcenia.

Po miesięcznym urlopie, na którym przebywaliśmy w sierpniu 1953 roku rozpoczęliśmy pracę, oczywiście każdy tam, dokąd został skierowany. Gros absolwentów kursu wróciło jednak do swoich macierzystych jednostek, które zresztą przez cały czas kursu płaciły swoim uczącym się pracownikom, ustalone wcześniej pobory. Tadeusz Dorota, który otrzymał pierwszą lokatę został skierowany do pracy w Gabinetcie Ministra H.Z., zdobywca drugiej lokaty poszedł poza resort, zaś mnie, trzeciemu zaproponowano przejście do Departamentu Importu w MHZ. Propozycja była nie do odrzucenia. Osobiście miałem jednak "satysfakcję" podwójną, gdyż nie tylko ja zostałem zupełnie nieźle ulokowany, ale mój podopieczny Bogdan Olszewski został dyrektorem handlowym w Przedsiębiorstwie Handlu Zagranicznego "Dalspo" w Warszawie. To był dopiero prawdziwy sukces.

W ten sposób zamknąłem niezwykle trudny, bardzo ważny etap, w czasie którego zakończył się proces przystosowawczy do życia w nowych warunkach. Nauczyłem się jak najmniej mówić, jak najwięcej słuchać i nie przekraczać granicy samodzielności oraz służbowego podporządkowania.

III. W CENTRUM

1. Ministerialny laborynt

Dnia 1 września 1953 roku stałem się pracownikiem instancji centralnej. Już sam budynek MHZ przy ul. Wiejskiej 10 zrobił na mnie ogromne wrażenie, nie mówiąc o zatrudnionych tam urzędnikach. Każdy pracownik, którego spotkałem w pierwszym dniu swojej pracy w półmrocznych korytarzach ministerialnych, wydawał mi się być dostojny i nie miałem wątpliwości, że jest bardzo mądry; inaczej nie mógłby tu przecież pracować. Wicedyrektor Departamentu Kadr Stanisław Kozicki, do którego skierowałem swoje pierwsze kroki, po krótkiej rozmowie, zaprowadził mnie do wiceministra handlu zagranicznego Czesława Bajera, który wręczył mi akt nominacyjny i życzył satysfakcji z pracy na nowym stanowisku. Byłem bardzo zderwowany i przejęty swoją rolą. Starąłem się jednak tak zachowywać aby nikt nie dojrzał niczego nadzwyczajnego. Nie przychodziło mi to łatwo, ponieważ należałem do ludzi mało obytych i nieśmia-
łych.

W wydziale, którego kierownictwo objąłem, pracowało razem ze mną 10 osób, w tym 8 kobiet. Najstarszą z nich była Eugenia Wilczyńska była więźniarka z Rawensbrück, roszcząca pretensję do stanowiska naczelnika wydziału, która dała mi się we znaki jako wyjątkowo mało kooperatywna, zaś najbardziej sympatyczną okazała się Halina Czaplińska, wieloletnia, doświadczona pracownica. Wiele życzliwości i jeszcze więcej gotowości do współpracy wykazały Halina Gągola i Stanisława Hagno. Byłem z nich wszystkich najmłodszy wiekiem i doświadczeniem. Moim bezpośrednim przełożonym był Mieczysław Gutmacher, dyrektor Departamentu Importu, do niedawna dyrektor naczelny Centrali Importowo-Eksportowej Chemikalii Ciech. Człowiek mądry, doświadczony i życzliwy. Przedstawił mnie wszystkim pracownikom departamentu, a następnie nakreślił ramowy zakres moich obowiązków. Byłem przerażony ogromem zadań. Niektórych jego sformułowań, szczególnie dotyczących problematyki przemysłu chemicznego w Polsce, nie mogłem zrozumieć; brakowało mi praktycznej wiedzy o przemyśle i aktualnym stanie importu che-

micznego. Do tego wszystkiego dyr. M. Gutmacher mówił językiem chemika, którym był z wykształcenia, ja zaś byłem początkującym ekonomistą, o specjalności finansowo-bankowej.

Urzędowanie swoje rozpocząłem od wysłuchania szczegółowych informacji wszystkich swoich współpracowników na temat zakresu ich obowiązków. W ten sposób stworzyłem sobie ogólny, zresztą bardzo mglisty obraz o wydziale i jego kompetencjach. Następnie udałem się do Centrali Ciechu i Biura Handlu Zagranicznego Centrali Produktów Naftowych, a więc tych przedsiębiorstw, z którymi miałem najwięcej do czynienia, aby zorientować się w ich bieżących problemach i ułożyć, przynajmniej wstępnie, zasady współpracy. W Ciechu spotkałem się z ogromną życzliwością i sympatią ze strony naczelnego dyrektora Feliksa Jarzębskiego, a w BHZ CPN z takim samym stosunkiem ze strony dyr. Zdzisława Jasińskiego. Byli to moi najbliżsi partnerzy do współpracy przez kilka następnych lat. Ludzie niezwykle koleżeńscy i życzliwi.

Niemal od początku musiałem załatwiać mnóstwo bieżących spraw wydziału i brać udział w niezliczonych ilościach ciągnących się do późnych godzin nocnych konferencji i porad w Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego /PKPG/, Ministerstwie Przemysłu Chemicznego, Ministerstwie Przemysłu Lekkiego, Ministerstwie Rolnictwa, Centralnym Urzędzie Rezerw oraz innych instytucjach. Często trzeba było zabierać głos, przedstawiać stanowisko swojego ministerstwa, referować cząstkowe plany importu, usprawiedliwiać opóźnienia dostaw, itd. Nazwiska, które kiedyś znałem tylko z gazet zbliżyły się teraz na odległość blatu stołu konferencyjnego: Eugeniusz Szyr, Piotr Jaroszewicz, Stefan Jędrychowski, Adam Wang, Franciszek Waniołka, Mieczysław Lesz, Bolesław Rumiński, Eugeniusz Stawiński, to pierwszy garnitur rządowy, z którym miałem często do czynienia. Do drugiego garnituru, z którym załatwiała się również ważne sprawy, to: Mieczysław Jagielski, Kazimierz Olszewski, Leon Kasman, Stanisław Gucwa, Bronisław Taban, Franciszek Ulak, Bolesław Jaszczuk, Edward Sznajder, Kiejstut Žemajtis, i inni.

Za każdym razem, jak tylko musiałem coś publicznie mówić drżały mi ręce i podnosiła się temperatura ciała. Stąd, do każdej takiej konferencji długo i gruntownie się przygotowywałem, chociaż mimo to dość często trzeba było improwizować.

MINISTER
HANDLU ZAGRANICZNEGO

Warszawa, dn. 29 sierpnia 1953 r.

KAIA-03-11011.

Obywatel
LESZKOWICZ Stanisław

w m i e j s c u

Z dniem 1 września 1953 r. mianuję Obywatela
Naczelnikiem Wydziału w Departamencie Importu
Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

Jednocześnie przyznaję Obywatelowi IV /czwarta/ⁿ
grupę uposażenia.

Podstawa prawna: Art. 17 ustawy o państwowej
służbie cywilnej oraz § 4 pkt.1 i § 5 rozporządze-
nia Rady Ministrów z dnia 19 lutego 1949 r. w spra-
wie ustalenia stanowisk służbowych i zaszerogowania
do grup uposażenia pracowników państwowych, podle-
gających ustawie o państwowej służbie cywilnej oraz
pracowników samorządowych /Dz. U.R.P. Nr 14, poz.92/.-

M I N I S T E R



N 2.

Carajin

I tak płynął dzień za dniem i choć z upływem czasu nabyłem rutyny nigdy nie lekceważyłem najdrobniejszych nawet obowiązków.

Mieszkałem w hoteliku MHZ przy ul. Mazowieckiej. Dzieliłem pokój z dwoma innymi kolegami z ministerstwa, Tadeuszem Bąkiem i Zdzisławem Górskim. Było biednie lecz wesoło, czyli "boso, ale w ostrogach", jak by powiedział Stanisław Grzesiuk.

Po kilku miesiącach życia hotelowego, nad podziw szybko, otrzymałem przydział własnego mieszkania, na zapleczu Nowego Świata, w budynku na rogu ulic Kubusia Puchatka i Wareckiej. Była to kawalerka o powierzchni 16 m kwadratowych, z czego na pokój przypadało 9 m kw. Szybko kupiłem na raty meble /tapczan, stół, szafę i kilka krzeseł/ i przeprowadziłem się. Zapanowała wielka radość; własne mieszkanko w Warszawie to prawdziwy skarb.

W tej sytuacji nic innego nie pozostało jak tylko zmienić stan cywilny. Tak też się stało. Na początku roku pobraliśmy się a w grudniu 1954 roku urodził się syn, co przekształciło nasze małżeństwo w rodzinę. Radość i jednocześnie zmartwienie. Mieszkanko, które jeszcze tak niedawno sprawiło nam tyle satysfakcji, stało się po prostu za ciasne. Brakowało miejsca na dziecinne łóżeczko; nie mieścił się nawet w pokoju wózek. Trzeba było starać się o zamianę uroczej kawalerki na pokój z kuchnią. W rezultacie naszych zabiegów w końcu 1955 roku otrzymałem przydział na pokój z kuchnią, przy ulicy Białobrzeskiej na Ochocie. Znowu zawitało do nas prawdziwe szczęście. Mogliśmy się rozprężyć. Był to dobry rok i pod innym jeszcze względem. Ukończyłem mianowicie studia, choć wcale nie oznaczało to zakończenia nauki. Człowiek uczy się przecież całe życie.

W pracy tymczasem przybywało obowiązków. Oprócz spraw rutynowych coraz więcej otrzymywałem obowiązków doraźnych, jak branie udziału w między państwowych rokowaniach handlowych z różnymi krajami, a m.in. z Austrią, Szwecją, Jugosławią, Sudanem, Niemiecką Republiką Demokratyczną, Republiką Federalną Niemiec. Odbyłem swoją pierwszą podróż zagraniczną do Czechosłowacji.

Otrzymałem też polecenie zajęcia się praktykantami z Wydziału Handlu Zagranicznego Szkoły Głównej Służby Zagranicznej /SGSZ/ przydzielonymi do naszego departamentu. Nie było ich dużo, tylko

dwóch, ale za to jakich. Pierwszy, Kazimierz Pisz, późniejszy dyrektor Departamentu Kadr, za czasów ministra Kazimierza, a później Jerzego Olszewskiego, drugi, Leszek Wójcik, późniejszy dyrektor naczelny "Remexu". Kończyli oni w 1954 roku studia i odbywali staż dyplomowy w MHZ pod moimi opiekuńczymi skrzydłami. Obaj, na życzenie stron zostali później pracownikami tego samego departamentu.

W tym samym czasie i z tej samej uczelni zasilili emhazetowską kadre niczym nie wyróżniający się wtedy, późniejszy wiceminister h.z. Antoni Karaś i jak zwykle zadziorny, o nikim dobrze nie mówiący, Zdzisław Rurarz, późniejszy ambasador i polityczny "dezerterski" PRL^{1/}. Z tym ostatnim łączyły mnie przez kilka lat więzy autentycznej przyjaźni.

Departament Importu, w którym pracowałem należał do najbardziej chyba obciążonych obowiązkami komórek ministerstwa. Szalał proces centralizacji gospodarki. PKPG decydowała o wszystkich, najdrobniejszych nawet przedsięwzięciach. Aparat partyjny coraz głębiej wkraczał w sferę zarządzania. Trzeba było być zorientowanym we wszystkich szczegółach importowych. Nieraz przychodziło śledzić z wielką dokładnością ruch statków wiozących do kraju kauczuk naturalny, ropę naftową bądź surowce fosforowe. Każdy użytkownik importowanych produktów interweniował zaraz na najwyższym szczeblu państwowym i partyjnym, jeżeli tylko jakiś towar nie został mu w żądanym terminie dostarczony. Długa była lista importu priorytetowego, na której figurowały setki różnych pozycji. Rządowi wydawało się, że umieszczenie w uchwale Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów klauzuli, iż Minister Handlu Zagranicznego zapewni w terminie do dnia 31 grudnia 1955 roku import stu ton jakiegoś towaru, definitywnie załatwia sprawę. Żyło się iluzjami. Ciągle brakowało dewiz aby móc stworzyć sensowne zapasy surowców i materiałów do produkcji, chroniące przemysł przed skutkami nieprzewidzianych przerw w dostawach. Każdy producent usiłował na własną rękę rozwiązywać te problemy jak tylko mógł.

^{1/} po ogłoszeniu stanu wojennego w grudniu 1981 roku opuścił stanowisko ambasadora Polski w Tokio i udał się do USA, gdzie uzyskał azyl polityczny.

Czwarta z kolei podróż zagraniczna po Czechosłowacji, Węgrzech i Rumunii wiodła mnie do Moskwy. Cieszyłem się bardzo i to z dwóch względów: po pierwsze, interesowało mnie miasto, o którym wiele różnych ciekawych rzeczy wiedziałem, i po drugie, miałem nadzieję, że uda mi się przy tej okazji odwiedzić swoją rodzinną wieś i zamieszkałą tam matkę oraz rodzeństwo. Mijało akurat dziesięć lat od mojego wyjazdu z domu.

Podróż odbyłem pociągiem sypialnym. Na dworcu Białoruskim w Moskwie ruch jak na stacji w Łukowie w czasie wojny. Przedstawiciel Biura Radcy Handlowego /BRH/ Ambasady PRL, spotkał mnie na peronie i odwiózł do hotelu "Metropol", tuż obok teatru "Bolszoj", w którym miałem zarezerwowany pokój. Następnego dnia przystąpiłem do wypełniania obowiązków służbowych, na które składały się konferencje i spotkania poświęcone importowi produktów chemicznych. Moi gospodarze zaprosili mnie na kolację, a na drugi dzień do teatru. Grali "Jezioro Łabędzie". Wrażeń mnóstwo.

Dzień przed upływem terminu delegacji udałem się do okienka "Inturistu" w holu hotelu, w którym mieszkałem, z prośbą o sprzedanie mi biletu na pociąg do Wilejki, skąd zamierzałem udać się do swojej rodzinnej wsi. Panienska obsługująca okienko grzecznie lecz stanowczo spytała mnie czy mam zezwolenie na ten wyjazd. Po usłyszeniu mojej przeczącej odpowiedzi poradziła mi aby poszedł do Otdieła Wiz i Registracji /OWIR/ mieszczącego się w zaułku Puszkina 8 i uzyskał niezbędną zgodę na zboczenie z drogi Moskwa-Warszawa. Zanim jednak poszedłem do OWIR-u, udałem się do Wydziału Konsularnego Ambasady Polskiej, po poradę i akceptację dla mojego, niecodziennego wszak zamiaru. Pan Motruk, kierownik Wydziału Konsularnego, był już uprzedzony o mojej wizycie przez BRH. Po wysłuchaniu moich życzeń oraz po przyjęciu do wiadomości informacji, że na tę eskapadę mam zgodę Ministra Handlu Zagranicznego Konstantego Dąbrowskiego, poradził abym spróbował szczęścia, choć sam w to nie wierzył. Życząc powodzenia, sugerował, abym nie używał w OWIR języka rosyjskiego, gdyż język polski w takim przypadku może okazać się bardziej skuteczny.

W OWIR dostałem się do jakiegoś funkcjonariusza, w mundurze pułkownika, który na moją prośbę zareagował gromkim głosem "NIE". Oświadczył, iż legitymując się polskim paszportem służbowym nie

mogę dowolnie jeździć po Związku Radzieckim w sprawach prywatnych. Jest to po prostu niemożliwe.

Wobec takiego stanowiska nic innego mi nie pozostało, jak tylko zastosowanie próby wzięcia go na litość. Zacząłem więc od pytania czy gdyby on znalazł się w takiej sytuacji jak ja, nie zechciałby zobaczyć swojej matki? Poinformowałem go przy tym, że mój warszawski przełożony, Minister Handlu Zagranicznego, nie tylko że przyjął do wiadomości mój zamiar, ale go poparł i zezwolił mi w tym celu pozostać kilka dni dłużej w Związku Radzieckim. Wspomniałem też, że przychodzę do OWIR-u za wiedzą i zgodą Ambasady PRL w Moskwie. Sądzę, że te ostatnie argumenty przesądziły o sprawie.

Po krótkim namyśle rozmówca mój, wydawałoby się twardy jak beton, wypowiedział dwa sakramentalne słowa: wyjątkowo zgoda. Kiedy poprosiłem go o jakiś papierek oświadczył, że w ZSRR nie ma biurokracji i wystarczy jego ustne zezwolenie. Podziękowałem i wyszedłem. Byłem szczerze wdzięczny i szczęśliwy.

W hotelu, do którego zaraz po rozmowie wróciłem, panienska z okienka pierwsza zawołała mnie i oświadczyła, że może sprzedać bilet do Wilejki, nie mówiąc o jakiegokolwiek zgodzie. Tym razem telefony działały sprawnie.

Podróż z Moskwy do Mińska odbyłem w luksusowych warunkach w wagonie sypialnym, zajmując przedział, jak się później okazało z Ziemowidem Fedeckim, znanym działaczem kultury i tłumaczem literatury rosyjskiej i białoruskiej. Długo rozmawialiśmy o różnych sprawach. Niezwykle wdzięczny towarzysz podróży. Szczerze żałuję, że nie miałem okazji spotkać go w Warszawie. Nasze warszawskie ścieżki są widocznie różne.

Wysiedliśmy obaj w Mińsku. Po niego wyjechali na dworzec przedstawiciele Białoruskiego Związku Pisarzy, a ja zacząłem szukać na własną rękę dalszego połączenia. Pociąg, do którego wsiadłem w niczym nie przypominał ekspresu Moskwa-Berlin. Tam Europa, a tu "trzeci świat". Wagony co prawda były niby osobowe, ale stare, brudne i zatłoczone. Co chwila pojawiał się w wagonie jakiś inwalida wojenny, śpiewał frontową piosenkę, najczęściej "Na pozycju diewuszka prowałała bojca" lub "Sołowji, sołowji nie triwożcie sołdat", otrzymywał od pasażerów kilkadziesiąt kopiejek i z trudem

przechodził do następnego wagonu. Jeden z inwalidów zaśpiewał w języku polskim "Rozszumiały się wierzby płaczące". Dałem trzyrublowy banknot. Wreszcie w przepełnionym wagonie pokazał się konduktor, którego zapytałem gdzie mam wysiąść, aby jak najszybciej dostać się do Dołhinowa. Poradził mi dojechać do Budślawia, a tam próbować znaleźć jakąś ciężarówkę, jadącą w interesującym mnie kierunku. Tak też zrobiłem. W Budślawiu spytałem kilku szoferów stojących przed stacją kolejową ciężarówek, żadna jednak nie jechała do Dołhinowa. Byłem zrozpaczony, aż tu podszedł do mnie jakiś starszy człowiek i powiedział, że jedzie koniem i saniami do Dołhinowa i może mnie zabrać. Mieliśmy przed sobą prawie 20 km mocno zaśnieżonej drogi. Okazało się, że starszy pan pochodzi z sąsiedniej wsi i dobrze zna moją matkę. Zawiózł więc mnie aż do domu.

W domu już wiedzieli o moim przyjeździe i od kilku dni z wielkim zniecierpliwieniem wyglądali na drogę prowadzącą z Dołhinowa. Dostali mój telegram z Moskwy, w którym zapowiedziałem swoją wizytę. W ten sposób chciałem zmniejszyć emocje matki, która zawsze przy tego rodzaju okazjach, wykazuje dużą nadwrażliwość. Mimo to matka nie wytrzymała i trzeba było ją cucić zimną wodą oraz dawać do wachania jakieś krople.

Następnie wielogodzinne rozmowy i wspomnienia. Zebrali się bliźsi i dalsi sąsiedzi, którym trzeba było opowiedzieć niemal wszystko, od wyjazdu, który miał miejsce w mroźnych dniach pamiętnej zimy 1944/1945 roku, aż do dnia dzisiejszego. Nie opowiadałem oczywiście o trudnościach i przeszkodach, jakie musiałem pokonać zanim zacząłem żyć jako tako. Nic nie wspomniałem o chłdzie i głodzie, które towarzyszyły mi niemal codziennie w pierwszym okresie mojego nowego rozdziału w życiu. Nigdy nie lubiłem eksponować swoich dolegliwości fizycznych i innych niepowodzeń życiowych.

Żałowałem, że była teraz zima, bowiem nie mogłem dosłownie i w przenośni zobaczyć i pobiegać po ścieżkach, którymi kiedyś ganiałem i przemierzyć te łąki i pastwiska, gdzie dawniej pasłem krowy i owce. Poszedłem na najbliższy cmentarz na grób ojca i grób Jego matki, czyli mojej babci. Ogromne wzruszenie.

Sama wieś niby niewiele się zmieniła, ale była zupełnie inna. Dalej te same chaty zasypane śniegiem i te same budynki gospodarcze

oraz drzewa. A jednak zaszły tu od mojego wyjazdu wielkie przeobrażenia. Z wyjątkiem jednego gospodarstwa, położonego daleko w lesie, wszyscy chłopi zostali wcieleni przymusowo do kołchozu. Nie było więcej gospodarstw indywidualnych. Warta "Drzymały" nie wytrzymała urzędowego naporu władz. Zlikwidowano resztki kapitalizmu. Wśród mieszkańców wsi zapanowało zobojętnienie na to co się dzieje w kołchozie. Chłopi przestali się martwić tym czy w chlewach i oborach są całe dachy i czy trzoda i bydło ma co jeść oraz czy pole jest obsiane. To nie jest nasze - mówili. Z nieukrywanym zdziwieniem dowiedziałem się, że w kołchozie funkcjonuje grupa ludzi, której codziennym zadaniem jest chodzenie po oborach i podnoszenie bydła kołchozowego, które nie może wstać o własnych siłach z powodu wycieńczenia. Łatwiej jest zorganizować akcję podnoszenia bydła, niż je nakarmić. O dziwo, krowy własne kołchoźników, bo takie też były, wstawały same, bez pomocy ludzkiej.

Po kilku dniach rozmów i poczęstunków i to zarówno w domu, jak i u znajomych oraz krewnych, nadeszła pora pożegnań i odjazdu. Żegnać się znaczy umierać na raty, powiedział jeden z filozofów. Trudno z tą myślą, zawartą w tym powiedzeniu, nie zgodzić się. Znowu płacz i wzruszenie. Znowu ta sama droga, jak przed dziesięciu laty, z tą wszakże ogromną różnicą, iż tym razem wiem dokąd jadę, z domu do domu. Jadę też w innych warunkach, nie w bydłącym wagonie, tylko w dobrze ogrzanym slipingu, nie do Łukowa, lecz do Warszawy, gdzie czeka na mnie rodzina.

W Ministerstwie Handlu Zagranicznego tymczasem trwa nadal proces stalinizacji, choć Stalina od pewnego czasu nie ma już wśród żywych. Rezultaty tego są widoczne gołym okiem. Całonocne zebrania partyjne zajmują się głównie sprawami czujności rewolucyjnej i czystością szeregów partyjnych. Nie ma znaczącego wystąpienia w dyskusji, które nie powoływałoby się na pozytywne przykłady ze Związku Radzieckiego. Celują w tym Leon Rozenman, Irena Pomian, Feliks Rozenberg, Eugeniusz Mordziński. Wyrzuca się z pracy i z partii tych, którzy mieli coś wspólnego z przedwojennym aparatem państwowym lub należeli w czasie okupacji do AK, nie mówiąc o tych, którzy służyli w siłach zbrojnych na Zachodzie. Służby personalne badają skrupulatnie życiorysy wszystkich pracowników i ich rodzin i jeżeli tylko stwierdzą jakiegokolwiek zastrzeżenie natury "politycznej" lub

"klasowej", wyrzucają z ministerstwa na przysłowiowy bruk. Wystarczyło mieć ciotkę bądź wujka na Zachodzie lub żonę, córkę "kułaka", aby otrzymać wypowiedzenie stosunku pracy i "wilczy bilet", zabraniający pozostawania w resorcie handlu zagranicznego. Każdy więc utrzymywał w głębokiej tajemnicy wszystkie "grzechy", które go narażały na wyklęcie. Do partii przyjmuje się wyłącznie ludzi o tak zwanej nieskazitelnej przeszłości, bez tak zwanych haków personalnych. Trafiają więc w jej szeregi często ludzie pozbawieni jakichkolwiek zasad moralnych i etycznych. Wybitny socjolog Jan Szczepański nazwał te elementy wichrami i szumowinami. Byli to najczęściej czystej wody karierowicze.

Uprawianie stalinizmu w czystej postaci stawało się jednak coraz trudniejsze, zwłaszcza po śmierci głównego twórcy tego kierunku. Nawet w takim środowisku jak nasze, w którym na tuziny można było liczyć gorliwych wyznawców krótkiego kursu WKP/b/, zaczęły się ujawniać pierwsze objawy czegoś, co dopiero znacznie później nazwano odnową lub demokratyzacją.

Jeden z najbardziej gorliwych wykonawców stalinowskiej koncepcji pracy partyjnej, Michał Frankowski, członek egzekutywy Podstawowej Organizacji Partyjnej, musiał tuż przed moim przyjściem odejść z ministerstwa z naganą partyjną za arogancję i wielkopiętny stosunek do otoczenia. Zmieniony też został I sekretarz POP. Nowym sekretarzem został Walery Radom, absolwent kursu handlu zagranicznego w Miedzeszynie. Byłaby to może i niezła zmiana gdyby nie fakt niezwykle słabej osobowości nowego pierwszego sekretarza. Do MHZ trafił niemal prosto z zakładu produkcyjnego. Otarł się o Ośrodek Szkoleniowy w Miedzeszynie, który go trochę przygotował do pracy w handlu zagranicznym, ale wszyscy wiedzieli, że "przydzielona" mu funkcja wicedyrektora Departamentu Planowania znacznie przerasta jego obiektywne możliwości. Był więc człowiekiem łatwym do manipulowania, co zresztą wytrawni gracze skrzętnie wykorzystali. Tuż przed Październikiem 1956 roku wysłano W. Radoma do pracy w Biurze Radcy Handlowego w Wiedniu w charakterze attache handlowego, ale stantąd został szybko, jako ofiara losu, odwołany do kraju. Powoli i nieśmiało rozpoczynał się proces destalinizacji w MHZ, który trwał bardzo długo, nie bez przerw i załamania. Za punkt zwrotny można chyba uznać powołanie Komitetu Partyjnego z Leonardem

Lachowskim, jako pierwszym sekretarzem. Był rok 1956, rok najważniejszych przemian w MHZ. Nowy komitet, w skład którego weszli m.in.: Henryk Staniecki, Tadeusz Dorota, Tadeusz Perkowski, Kazimierz Banasik oraz autor tych wspomnień stanął przed niezwykle trudnym zadaniem. Z jednej strony, duża grupa działaczy, jak Paweł Berger, Leon Rozenman, Maria Strelcyn, Paweł Kott, Irena Pomian, Mirosława Fejgin^{1/}, Feliks Rozenberg, Jakub Aronowicz, Eugeniusz Mordziński, Franciszek Kusto, Róża Szatner i inni, reprezentowała, delikatnie mówiąc, pozycje zachowawcze, z drugiej zaś wyrosła duża liczba młodych członków partii oraz pracowników bezpartyjnych, domagających się daleko idących zmian. Nowy Komitet znalazł się między przysłowiowym młotem a kowadłem. Dopiero trzeba było VIII Plenum KC PZPR i zmian w kierownictwie partii, aby w MHZ można było ruszyć pewne pozycje, które jeszcze kilka miesięcy temu wydawały się być nie do podważenia. Niektórzy zresztą przedstawiciele "starej szkoły" szybko przestawili się na nowe tory i dalej, jak się wyraził Artur Sandauer, usiłowali kroczyć na czele, tylko w innym kierunku.

Na wspólnym posiedzeniu Kolegium Ministerstwa i Komitetu Partyjnego, trwającym prawie dwa dni i dwie noce, podjęto uchwałę o potrzebie zmian organizacyjnych, ekonomicznych i personalnych w resorcie handlu zagranicznego. Jednocześnie podjęto szereg szczegółowych decyzji kadrowych w rezultacie których odwołano m.in. ze stanowisk: P. Bergera, wicedyrektora Departamentu Eksportu, P. Kotta, wicedyrektora Departamentu Maszyn i Urządzeń, J. Aronowicza, wicedyrektora Departamentu Importu i D. Gutermana, dyrektora naczelnego CHZ "Centromor".

Wkrótce po tym posiedzeniu prezes Rady Ministrów, uwzględniając wnioski sformułowane przez tak zwany aktyw partyjno-zawodowy resortu, odwołał ze stanowisk podsekretarzy stanu Michała Dichtera, Bolesława Gorońskiego i Juliana Grena. Tak więc rozpoczął się proces zmian personalnych, które odzwierciedlały ówczesny front walki politycznej. Odchodzili gorliwi wyznawcy kultu jednostki, a ich miejsce zajmowali ludzie legitymujący się wyższymi kwalifikacjami,

^{1/} żona wysokiego czynownika z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

skłonni akceptować mowę zasady współżycia społecznego. Dwaj dyrektorzy ważnych departamentów A. Wołyński i S. Halicki wyjechali na placówki zagraniczne; pierwszy do Londynu, drugi do Helsinek. Ministerstwo Handlu Zagranicznego należało do jednego z pierwszych ministerstw w Polsce, w którym pękły lody stalinowsko-bierutowskielodowca. Jeszcze raz trzeba oddać za to należne wyrazy uznania Leonardowi Lachowskiemu, synowi warszawskiego piekarza, byłego członka PPS, który nie tylko po nowemu spojrzął na ogólne układy sił politycznych w kraju, ale też umiał na tym tle ocenić sytuację, a co najważniejsze pociągnąć za sobą aktyw partyjny i zdobyć zaufanie znakomitej większości pracowników bezpartyjnych. Nie wszyscy tak oceniali jego ówczesną działalność. Niektórzy, głównie zwolennicy starych porządków, doszukiwali się w tym tendencji nacjonalistycznych, a konkretnie mówiąc antysemityzmu. Mój bezpośredni szef Mieczysław Gutmacher, którego przed kilkoma miesiącami mianowany zostałem przez ministra Konstantego Dąbrowskiego zastępcą, gorąco popierał te zmiany postanowił jednak na przełomie lat 1956/1957 opuścić Polskę i udać się do Izraela. Wyjechał nie tylko wysokiej klasy fachowiec, ale przede wszystkim bardzo dobry przełożony. Minister Handlu Zagranicznego powierzył mi tymczasem obowiązki dyrektora departamentu importu.

Twórczy ferment, jaki wytworzył się pod wpływem zmian październikowych trwał dalej i to zarówno w skali ogólnopolskiej, jak i w skali poszczególnych instytucji i przedsiębiorstw. W ministerstwie powołano komisję na czele z dr Stanisławem Gallem, prezesem PIHZ, która zajęła się opracowaniem nowego modelu ekonomiczno-organizacyjnego polskiego handlu zagranicznego. Wydawałoby się, że tak kompetentne grono, bowiem wchodzili do tej Komisji wybitni przedstawiciele teorii i praktyki m.in. Stanisław Maksymowicz, Stanisław Szczypiorski, Leonidas Osiatyński, Franciszek Fabijański, opracuje najbardziej odpowiedni model organizacyjny handlu zagranicznego i nada mu najbardziej trafną treść ekonomiczną. Tymczasem góra urodziła mysz; poza połączeniem kilku departamentów i powołaniem kilku nowych, niczego znaczącego nie zrobiono. Utrzymano stary model organizacyjny^(- ekonomiczny), wypełniony wcale nie świeżą treścią. Nadal funkcjonowało to samo ministerstwo i dotychczasowe przedsiębiorstwa handlu zagranicznego. Jedyne chyba novum - to trzy biura handlu zagranicz-

MINISTER
HANDLU ZAGRANICZNEGO

KAIA-03-2610.

Warszawa, dn. ²³ lipca 1956 r.

Obywatel
Stanisław Leszkowicz
Naczelnik Wydziału
w Departamencie Importu
Ministerstwa Handlu Zagranicznego

w m i e j s c u

Z dniem 1 sierpnia 1956r. mianuję Obywatela Wicedyrektora
Departamentu Importu w Ministerstwie Handlu Zagranicznego

Uposażenie Obywatela ustaliam wg. grupy II /drugiej/.

Podstawa prawna : art. 17 ustawy o państwowej służbie
cywilnej oraz § 4 pkt. 1 i § 5 Rozporządzenia Rady
Ministrów z dnia 19 lutego 1949r. w sprawie ustalenia
stanowisk służbowych i zaszeregowania do grup uposażenia
pracowników państwowych, podlegających ustawie o państwo-
wej służbie cywilnej oraz pracowników samorządowych
/Dz.U. Nr 14 poz.92/.-



MINISTER

[Handwritten signature]

nego usytuowane bezpośrednio w przemyśle, a mianowicie H. Cegielski, Rafamet i Befama oraz dwa nowe przedsiębiorstwa handlu zagranicznego, Coopexim /eksport wyrobów spółdzielczości pracy/ i Prodimex /eksport wyrobów rzemieślniczych/.

W MHZ powstał m.in. nowy departament, z połączenia dotychczasowego departamentu importu i departamentu eksportu. Na czele tego departamentu /obrotu towarowego/ stanął znany działacz polskiego handlu zagranicznego Stanisław Maksymowicz, ja zaś zostałem mianowany jego zastępcą. Można sobie wyobrazić co się zmieniło. Przede wszystkim przybyło znacznie obowiązków. Choć teoretycznie rzecz biorąc przedsiębiorstwa h.z. uzyskały więcej samodzielności, w praktyce ministerstwo w dalszym ciągu musiało zajmować się różnymi drobiazgami, od zaopatrzenia resortu w papier i druki, aż po analizę i akceptację niemal każdej transakcji. "Nowe" ministerstwo od początku zaczęło pękać w szwach.

Jeszcze w końcu 1956 roku odszedł dotychczasowy minister Konstanty Dąbrowski, a na jego miejsce przyszedł Witold Trąmpczyński. Tylko jemu chyba trzeba zawdzięczać, że ministerstwo w tych warunkach mogło jako tako funkcjonować i wykonywać swoje zadania. Ogromna wiedza nowego ministra oraz autorytet w kraju i za granicą, a nade wszystko jego umiejętności kierowania tym wysoce skomplikowanym organizmem, doprowadziły do ustabilizowania pozycji ministerstwa w kraju i powszechnego uznania jego roli w naszym systemie gospodarczym. Nie było to łatwe zadanie, jeżeli się zważy, że więcej było tych, którzy przeszkadzali /znakomita większość aparatu partyjnego/ niż tych, którzy nowemu ministrowi pomagali. Ogromną pomoc miał min. Trąmpczyński ze strony Łucjana Horowitza, nowomianowanego dyrektora generalnego w MHZ.

W tym samym mniej więcej czasie nastąpiła następna nader istotna zmiana personalna. Na stanowisko dyrektora Departamentu Kadr mianowany został Zygmunt Szolc, dotychczasowy pracownik Komitetu Centralnego PZPR. O ile zmiana na stanowisku ministra spotkała się z powszechnym uznaniem, o tyle mianowanie nowego dyrektora kadr jednoznacznie odczytano jako próbę zahamowania zapoczątkowanego procesu destalinizacji ministerstwa.

MINISTER
HANDLU ZAGRANICZNEGO

KAIA-03 - 737.

Warszawa, dn. 1 marca 1957r.

Obywatel
Stanisław Leszkowicz
Wicedyrektor
Departamentu Importu
w Min. Handlu Zagranicznego
w m i e j s c u

Z dniem 1 marca 1957r. mianuję Obywatela Wicedyrektorem
Departamentu Obrotu Towarowego w Ministerstwie Handlu
Zagranicznego.

Uposażenie Obywatela ustaliam wg. grupy II /drugiej/.

Podstawa prawna: art.17 Ustawy o Państwowej Służbie
Cywilnej /Dz.U.Nr 11 z 1949r. poz.72/.-



M I N I S T E R

Naupuy

Nowy szef kadr, czerpiący natchnienie bezpośrednio z gmachu KC, z pominięciem ministra, rozpoczął swoje urzędowanie od przywrócenia do pracy niektórych pracowników zwolnionych uprzednio w rezultacie przemian październikowych. Znowu zaczęli wyjeżdżać na placówki handlowe za granicę ludzie, którzy w okresie błędów i wypażeń odgrywali ważną rolę. Ministerstwo zasilone zostało kilkoma dwuznacznymi pozycjami, co do których wiadomo było, że zabrakło dla nich miejsca w ich poprzednich instytucjach, na przykład Eugeniusz Leszczyński z Narodowego Banku Polskiego. Szybko też nastąpiły zmiany w składzie Komitetu Partyjnego ministerstwa. Leonard Lachowski, widząc co się święci zrezygnował z kandydowania do władz i wkrótce wyjechał do Wiednia jako szef placówki handlowej. Niektórzy odczytali to jako uzgodnioną cenę za akt rezygnacji z dalszych zmian personalnych w ministerstwie. Tak się złożyło, że w czasie tych wyborów nie mogłem wziąć udziału w zebraniu z powodu nagłej delegacji służbowej do Bukaresztu. Nie zostałem ponownie wybrany. W ogóle nie kandydowałem. Po krótkiej przerwie październikowej znowu powiało chłodem ze strony gmachu Komitetu Centralnego. Ten niekorzystny układ baryczny będzie trwał bardzo długo.

W końcu 1957 roku wyjechałem na blisko 5 miesięcy do Korei, jako przewodniczący polskiej delegacji handlowej. Dotychczas niewiele wiedziałem o tym dalekowschodnim, egzotycznym dla nas kraju. Dlatego bezpośrednio przed wyjazdem poszperałem trochę po źródłach i poznałem nieco historii oraz przybliżyłem sobie dzień dzisiejszy państwa, z którym miałem wynegocjować i podpisać umowę handlową. Podróż wiodła przez Moskwę i Pekin. Po drodze Omsk i Irkuck, gdzie nie wiadomo z jakich przyczyn czekaliśmy na irkuckim lotnisku cały ... tydzień. Okazuje się, że w dużych krajach wszystko jest duże, przerwy w podróżach też.

Czekając bite siedem dni zorganizowaliśmy kilka niezapomnianych wycieczek. Pogoda, co prawda nie była najlepsza, wiał najczęściej dość silny wiatr i padał śnieg, był przecież październik; niemniej Zabajkalia wyglądało surowo, lecz imponująco. Krążąc po tych okolicach podśpiewywałem sobie pod nosem na przemian dwie piosenki: "Sławnoje morie swiaszczennyj Bajkał" i "Po dikim stiepiam Zabajkalia, gdzie zołoto rojut w gorach". Gdyby w przeszłości nie skomponowano tych melodii, to chyba bym to zrobił teraz. Obie melodie

jak ulał pasują do krajobrazu i całego tamtejszego środowiska.

Irkuck, to miasto typowo syberyjskie, położone tam gdzie Irkut wpada do Angary - mówił nam przewodnik, przydzielony z miejscowego Inturistu. Powstało w roku 1652, kiedy Kozacy założyli Irkuckie Zimowisko, wokół którego zaczęli osiedlać się koloniści rosyjscy. Prawa miejskie otrzymał Irkuck w roku 1686 i sprawował ważną funkcję w handlu z Mongolią i Chnami. W końcu XVIII wieku miasto liczyło 20 tys. mieszkańców, a głównym ich zajęciem była eksploatacja tajgi oraz szeroko pojęty handel. Z biegiem czasu Irkuck /od czasów Katarzyny II/ stał się wschodnio-syberyjskim centrum dla zesłańców. Obecnie miasto liczy prawie półmilion mieszkańców, ma siedem szkół wyższych i dobrze rozwinięty przemysł maszynowy, materiałów budowlanych, drzewno-celulozowy, skórzano-obuwniczy, odzieżowy, spożywczy, futrzarski i hutniczy /aluminium/; stanowi ważny węzeł komunikacyjny transsyberyjskiej linii kolejowej. Niedaleko Irkucka wydobywa się złoto, mikię, rudy żelaza, sól oraz węgiel. Niemal powszechnie uprawia się myślistwo. Charakter miasta specyficzny, dużo budynków drewnianych, pamiętających ubiegły wiek.

Przewodnik zaprowadził nas do XVIII-wiecznej cerkiewki, gdzie akurat trafiliśmy na nabożeństwo i wysłuchaliśmy przepięknych śpiewów miejscowego, wcale nielicznego chóru żeńskiego. Wychodząc z cerkwi ośmieliłem się uzupełnić wypowiedź przewodnika ogólnymi danymi dotyczącymi skazańców polskich, szczególnie licznie tam zesłanych po obu zrywach narodowych w latach 1831 i 1863; Polacy odegrali bardzo ważną rolę. Wspomniałem też o bajkalskim powstaniu polskich zesłańców w roku 1866 i krwawym jego stłumieniu przez wojska rosyjskie. Zapytałem przy tym opiekuna z Inturistu czy nie ma on bliższych danych na temat istnienia w Irkucku kościoła rzymsko-katolickiego, który w roku 1938 zamieniony został na obiekt gospodarczy oraz czy nie zna losów cmentarza polskiego, który miał paść ofiarą prac urbanistycznych podjętych przez zarząd miasta już po drugiej wojnie światowej. Przewodnik wcale nie poczuł się zmieszany, albowiem dane te nie były mu obce; nie miał jednak w tych sprawach nic do powiedzenia.

Z Irkucka do Pekinu to już tylko jeden trzygodzinny skok samolotem odrzutowym. Mimo to ląduje się w zupełnie innym świecie.

Zdawałem sobie sprawę, że przybyłem do największego pod względem liczby ludności kraju. Według powszechnie podawanych szacunków w roku mojej wizyty w Chinach /1957/ zamieszkiwało ten kraj 657 mln ludzi, a więc 23% populacji całego globu ziemskiego. W drodze z lotniska do centrum Pekinu największe wrażenie wywarły na mnie mrowiska dzieci, bawiących się po obu stronach drogi, ubranych w "szybkostrzelne" majtki, które automatycznie rozchylają się jak tylko dziecko przykucnie, aby załatwić swoją potrzebę fizjologiczną. Aż trudno było uzmysłwić sobie, że liczba ludności tego kraju rośnie rocznie o 12 do 16 mln mieszkańców; przybywa rocznie jedno państwo średniej wielkości.

Po minusowych temperaturach w Irkucku odczuło się silnie falę ciepła, z jaką zderzył się człowiek, po wyjściu z samolotu. Różnica temperatury między Irkuckiem i Pekinem około 30^oCelsjusza. Wszystko wygląda inaczej, inny krajobraz, inni ludzie, inne hotele, inna kuchnia. Nawet zapach wszystkiego jest inny, typowo daleko-wschodni. Obsługa w hotelach, restauracjach i sklepach niezwykle grzeczna i uprzejma, zawsze uśmiechnięta i gotowa do usług. Sklepy w tym okresie przepełnione były towarami, a w zakładach rzemieślniczych można było dziś zamówić na miarę ubranie lub płaszcz i na drugi dzień odebrać. Jak w niesocjalizmie.

W drugim dniu pobytu zaproszony zostałem na kolację do domu radcy handlowego Ambasady PRL, którym był wówczas Bronisław Szymański, wieloletni dyrektor naczelny Metalexportu, późniejszy dyrektor Motoimportu i Transactora, oraz radca handlowy w Indiach. Nie zgodziłem się aby kierowca BRH odwoził mnie po kolacji do hotelu /Pekin/, w którym zamieszkałem, ponieważ chciałem po prostu skorzystać z usług rykszarza, aby móc w przyszłości opowiadać swoim wnuczkom, że i takim pojazdem dziadek w swoim życiu też jeździł. Tak też się stało. Na postoju wsiadłem do pierwszej lepszej rykszy i kazałem zawieść się do hotelu. Chińczyk kręcący pedałami rozwinął dużą prędkość i mniej więcej po kwadransie drogi byliśmy przed wejściem do hotelu. Nie wiem dokładnie ile to było kilometrów, ale chyba nie mniej niż dziesięć. Zapytany przewoźnik o wysokość odpłatności za usługę pokazał mi na palcach, że winien mu jestem jednego i pół juana. Wyjąłem z kieszeni dwa juany, wrę-

czyłem, podziękowałem i poszedłem. Po dobrej półgodzinie, kiedy już układałem się do snu, ktoś zaczął dobijać się do drzwi pokoju hotelowego. Okazało się, że mój rykszarz w towarzystwie recepcjonisty przyszedł na czwarte piętro, aby oddać mi pół juana reszty. Nie do wiary. Ciekaw jestem czy nadal w Chinach jest tak samo. ponieważ w Polsce zmieniło się pod tym względem bardzo wiele.

Po kilku dniach pobytu w stolicy Chin oraz po zapoznaniu się z najważniejszymi obiektami historycznymi, jak niektóre obiekty siedziby Cesarzy, Świątynia Nieba, Świątynia Pięciuset Buddów oraz innymi, udałem się pociągiem do Korei Północnej, do Phenianu. Nie pamiętam dokładnie jak długo tam się jechało ale na pewno ponad półtorej doby. Wagony czyste i wygodne. Restauracja na kółkach typowo chińska. Na obiad zamówiliśmy sobie jakąś zupę, tre-pangi, żyjątko morskie przypominające wyglądem duszone maślaki i pół litra wódki czystej z żaglem. Zaproponowaliśmy kielicha oficerowi Armii Chińskiej, który siedział przy naszym stoliku. Okazało się, że nasz chiński towarzysz podróży pierwszy raz w życiu poznał smak wódki. Wcale mu nie przypadła do gustu. Wyraźnie podpił.

Na granicy koreańsko-chińskiej formalności typowe. Nikt z nas nie był poddany kontroli celnej, chociaż wśród pięcioosobowej delegacji tylko ja legitymowałem się paszportem dyplomatycznym.

Phenian przywitał nas dobrą pogodą i całą serią urzędowych przyjęć, jakie musieliśmy zaliczyć. W pierwszym dniu pobytu, po krótkiej naradzie z ambasadorem PRL J. Siedleckim i radcą handlowym Wł. Sasinowskim, udałem się z wizytą urzędową do ministra handlu zagranicznego Din Ban Su, z którym omówiłem główne kierunki polityki handlowej PRL w stosunku do koreańskiej Republiki Ludowej. Towarzyszył mi polski radca handlowy.

Następnie rozpoczęliśmy oficjalne rokowania handlowe. Delegacji koreańskiej przewodniczył dyrektor Departamentu w MHZ Kim Re Chen, który mimo zupełnie niezłej znajomości języka rosyjskiego posługiwał się tłumaczem. Czynił to prawdopodobnie ze względu na innych członków strony koreańskiej, którzy nie znali tego języka. Osobiście nie używałem tłumacza i całe rokowania prowadziłem po rosyjsku. Nie po raz pierwszy i nie ostatni zresztą przydała mi się znajomość tego języka, nabyta w szkole radzieckiej. Wszyscy człon-

kowie polskiej delegacji znali na tyle język rosyjski, aby mogli się obejść bez tłumacza.

Kilka kolejnych posiedzeń poświęciliśmy przedstawieniu stanowisk swoich delegacji dotyczących możliwości eksportowych i potrzeb importowych. Rozbieżności ogromne. Rozpoczęły się konsultacje z Warszawą. Szyfrant i radzista mieli co robić. Stanowisko naszego MHZ absolutnie nie zbliżało nas do rozmiarów i kształtu propozycji koreańskich. Koreańczycy też zajmowali sztywne stanowisko. Posiedzenia stawały się coraz rzadsze, praktycznie raz na tydzień i coraz mniej konstruktywne. Dysponowaliśmy coraz większą ilością wolnego czasu, który wypełniali nam gospodarze wycieczkami do Czchonodzin, Wonsan, Phanmundżom, Hamhyng, wód Morza Żółtego lub w Góry Diamentowe. Zwiedziliśmy wszystkie ciekawsze obiekty w Phenianie oraz jego okolicach. Stolica składała się wówczas z kilku większych budynków rządowych i tysiący prowizorycznych lepianek. Był to rezultat strasznej wojny narzuconej narodowi koreańskiemu przez własnych awanturników. Rzucała się w oczy skrajna bieda.

Półwysep koreański to głównie góry i wyżyny. Niziny koncentrują się wzgluż wybrzeży zachodnich. Klimat zróżnicowany. Na południu podzwrotnikowy, w części środkowej umiarkowany ciepły, a na północy umiarkowany chłodny. W czasie mojego pobytu, od końca października 1957 roku do początku marca 1958 często padał deszcz, choć w miesiącach zimowych w styczniu i lutym zdrowo posywało śniegiem. Temperatura w zimie nie spadała poniżej -10°C , przynajmniej w okolicach Phenianu, gdzie najczęściej przebywałem.

Korea należy do starych cywilizacji. Już w V i IV wieku przed Chrystusem było na terenie półwyspu koreańskiego w pełni ukształtowane państwo, noszące nazwę Dzoson. Wielki wpływ na rozwój cywilizacji koreańskiej mieli Chińczycy, którzy masowo emigrowali tam po upadku dynastii Szang. Następna fala emigracyjna Chińczyków miała miejsce w II wieku przed Chrystusem, po ucieczce dużej liczby robotników budujących Wielki Mur Chiński.

W 108 roku przed naszą erą cesarz chiński Wu-ti z dynastii Han zjednoczył i podporządkował sobie niewielkie, nawzajem zwalczające się państewka leżące na terytorium dzisiejszej Korei. Powstałe u schyłku starej ery państwo Kogurio, które istniało aż do VII wieku

sięgało od dzisiejszego Władywostoku do Portu Artura i od Kangwon do Czangczun w Mandżurii. Był to okres trzech państw Sila, Kogurio i Pekdze. Te dwa ostatnie wzajemnie zwalczały się. W 918 roku Wang Gon uniezależnił się i założył dynastę Korio, od której pochodzi przyjęta w początkach XX wieku nazwa nowoczesnego państwa Korei. Prawie od końca ubiegłego wieku Korea unikała ściślejszej współpracy z jakimkolwiek państwem. Przybyli na przełomie XVIII i XIX wieku misjonarze chrześcijańscy napotkali tu na silny opór. Ten sam los spotkał ekspedycję francuską /1866/ i amerykańską /1871/.

Dopiero Japończycy przełamali izolację Korei nawiązaniem stosunków w roku 1876, w następstwie czego zawarte zostały traktaty z innymi państwami, a mianowicie z USA, Niemcami, Francją, Rosją i W. Brytanią. W wyniku wzmagającej się rywalizacji o wpływy w Korei między Japonią i Chinami, Japończycy wysłali w roku 1894 swoje wojska i rozpoczęli wojnę z Chinami zakończoną w roku 1895 traktatem w Shimonoseki, nadającym Korei niezależność. W roku 1905 po pokonaniu Rosji przez Japończyków, Korea zostaje zmuszona do przyjęcia protektoratu japońskiego, aby w roku 1910 poddać się kompletnej aneksji i stać się prowincją państwa kwitnącej wiśni. Wielkie powstanie antyjapońskie w roku 1919 zostało krwawo stłumione i Korea nadal pozostała pod okupacją japońską.

W rezultacie drugiej wojny światowej, w roku 1948 powstały dwa państwa koreańskie, podobnie jak rok później powołane zostały do życia dwa państwa niemieckie. Był to pewnego rodzaju sposób rozwiązywania problemów politycznych w duchu jałtańskim.

Tak się złożyło, że zanim wyjechałem do Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej brałem udział w latach poprzednich w rokowaniach handlowych zarówno z NRD jak i z RFN. Tym razem były to zupełnie inne rokowania, jak inny był poziom w tym czasie rozwoju gospodarczego KRLD. W roku 1956 kraj ten wyprodukował 3,9 mln t węgla kamiennego, 5,1 mld kWh energii elektrycznej, 231 tys. t surówki żelaza, 190 tys. t stali, 195 tys. t nawozów sztucznych, 597 tys. t cementu i 77 mln m tkanin. Dużo to i mało. Rok 1958, który był przedmiotem naszych rokowań handlowych zamknął się obrotami po stronie polskiego eksportu 1,8 mln dol. USA, zaś po stronie naszego importu kwotą 8,2 mln dol. USA. Stosunkowo duża różnica między importem i eksportem została wyrównana w roku następ-

nym, w rezultacie rokowań w Warszawie z moim udziałem. Do Korei eksportowaliśmy głównie dobra inwestycyjne, importowaliśmy zaś surowce i półfabrykaty, w tym metale nieżelazne.

W czasie tych niewiarygodnie długo trwających rokowań miałem okazję odwiedzić niektóre obiekty przemysłowe budowane przy wydatnej pomocy Polski i pod nadzorem naszych specjalistów. Do takich należały Zakłady Taboru Kolejowego w Wonsanie, gdzie miałem zaszczyt i przyjemność spędzić razem z dość liczną grupą pracujących tam Polaków, wieczór wigilijny w roku 1957. W specjalnie przysposobionej do takiej uroczystości sali, która na codzień służyła za zwykłą stołówkę, zebrało się kilkudziesięciu pracowników, aby z dala od kraju, o kilka godzin wcześniej niż najbliżsi w domach /różnica czasu 8 godzin/ podzielić się opłatkiem i spożyć znakomitą, przygotowaną przez własnego kucharza, wieczerzę. Były wspólne i solowe śpiewy kolęd, wspomnienia oraz łzy smutku i radości. Jako człowiek najświeższy z kraju złożyłem wszystkim życzenia i przekazałem wyrazy szacunku i uznania za to wszystko, co robią tu dla Polski, w tych niezwykle trudnych warunkach.

Sylwestra, a raczej nowy 1958 rok obchodziłem z kolei w pomieszczeniach ambasady polskiej w Phenianie, którymi były prowizoryczne baraki, wzniesione jeszcze w czasie trwania wojny. I znowu trzeba było spełnić dwa toasty noworoczne, jeden o godz. 24.00 czasu tamtejszego i drugi o 8 godzin później, a więc o północy czasu środkowoeuropejskiego. Myliłby się ten, kto by pomyślał, że przerwę między jednym toastem a drugim wykorzystaliśmy do krótkiego chociażby przespania się.

Wkrótce po tym miałem okazję wyjechać na jednodniowy pobyt do Phanmundżomu, do miejsca gdzie w roku 1953 podpisano rozejm. Drogę bitą, bogato urozmaiconą pozostałościami wojennymi w postaci ogromnej liczby leży, pokonaliśmy kilkoma samochodami. Tam przeszliśmy przez kilka posterunków, koreańskich i amerykańskich, aby dotrzeć do budynków, w których toczyły się rokowania między walczącymi stronami. Zwiedziliśmy pomieszczenie, przez które przebiega 38 równoleżnik, a w którym zasiadają od czasu do czasu na przeciw siebie strony rozejmowe. Spotkaliśmy się z grupą oficerów polskich pełniących służbę w Komisji Nadzoru ONZ i zjedliśmy obiad u wysokiego rangą oficera koreańskiego, pełniącego funkcję przewodniczącego

strony koreańsko-chińskiej w Komisji Rezojmowej. Oprócz naszej delegacji udział w tym obiedzie wzięła spora liczba wyższych oficerów koreańskich i chińskich. Obiad wspaniały, bardzo dużo serdecznych toastów, wśród których nie mogło zabraknąć mojego, jako przewodniczącego polskiej delegacji handlowej, głównego gościa przyjęcia.

W czasie mojego pobytu w Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej złożyła tam wizytę delegacja Chińskiej Republiki Ludowej z premierem Czou En-Laiem na czele. Głównym tematem rozmów między obu państwami było wycofanie jednostek Armii Chińskiej z terytorium Korei, które brały udział w ostatniej wojnie. Zresztą wkrótce po tym oddziały chińskie, nazywane ochotnikami, opuściły KRLD. Taki to już zwyczaj panował, że jako przewodniczący delegacji rządowej PRL, zapraszany byłem na wszystkie uroczystości organizowane przez rząd koreański, w tym również związane z pobytami premiera chińskiego. W ten sposób byłem na lotnisku przy powitaniu i żegnaniu dostojnego gościa oraz uczestniczyłem w obu głównych przyjęciach, zorganizowanych przez Kim Ir Sena, którego znałem dotychczas tylko z niezliczonej ilości pomników, rozsianych po całej Korei Północnej, i Czou En-Laia, którego miałem okazję widzieć przed kilkoma laty w Warszawie, kiedy wracał z sukcesem zakończonych rokowań pokojowych w Genewie. Jak wszyscy inni uczestnicy tych spotkań trąciłem się kieliszkiem ryżowej wódki z obu gospodarzami przyjęć, z którymi zamieniłem też kilka zdawkowych słów.

Najbardziej jednak niezapomnianym przyjęciem, w jakim wziąłem udział podczas swojego pobytu w KRLD, to obiad na radzieckim frachtowcu "Iwan Babuszkin" zacumowanym w porcie leżącym nad Morzem Japońskim, Czongdzin. Kapitan statku, człowiek niezwykle towarzyski, znakomity gawędziarz przyjął polską delegację bawiącą służbowo w porcie, po królewsku jak swoich najlepszych gości. Nie ukrywam, że byliśmy głodni, ponieważ byliśmy tam wyłącznie na garnuszku koreańskim, a ten nam nie bardzo odpowiadał. W przeciwieństwie do Phenianu nie było tam polskiej stołówki. Toteż daliśmy na statku taki koncert jedzenia, jakiego towarzysz kapitan na pewno dawno nie oglądał. Nie wyznaję się na wielkości zapasów żywnościowych na statkach, choć krótko pracowałem w "Baltonie", ale wiem jedno, że zostały one nadwyrężone poważnie. Tylko obawa, iż to co

piszę może przeczytać w przyszłości moja żona, która nie toleruje alkoholu, nie pozwala mi ani słowem wspomnieć o degustacji radeckich napojów wyskokowych, jaką przy tej okazji przeprowadziliśmy. Historia zna Iwana Babuszkina jako wybitnego rewolucjonistę rosyjskiego, rozstrzelanego przez władze carskie, ja zaś poznałem "Iwana Babuszkina" jako najbardziej gościnny statek świata, na którym byłem i nie tylko "miód i wino piłem".

Tymczasem dzięki daleko idącemu kompromisowi obu delegacji rokowania szczęśliwie dobiegły końca. Zawarliśmy dobrą umowę, nie wiem czy nie najlepszą, jaką w tych warunkach można było zawrzeć. Po stronie naszego importu znalazły się m.in. pewne ilości srebra, cynku, tytoniu i kaolinu, zaś po stronie eksportu głównie maszyny i urządzenia oraz środki transportu. I znowu pociągami wyjechaliśmy do Pekinu, tam kilka urzędowych konferencji, wydanie pieniędzy /będąc w KRLD połowę diet otrzymywaliśmy w walucie chińskiej/ i powrót samolotem do Moskwy. Okazuje się, że wszystko jest rzeczą względną. Pekin na tle Phenianu wydał nam się być Warszawą, a Moskwa na tle Pekinu, Paryżem.

Tym razem nie było szczęśliwie dłuższych przerw w podróży ani w Irkucku, ani w Omsku i planowo przylecieliśmy do Moskwy. Mieliśmy jednak tak dosyć lotów samolotami, że z Moskwy do Warszawy zafundowaliśmy sobie bilety kolejowe i w wagonie sypialnym odra- bialiśmy zaległości spowodowane przyjęciami pożegnalnymi w Pekinie.

Do Warszawy przyjechaliśmy 8 marca 1958 roku, akurat w Międzynarodowym Dniu Kobiet, obchodzonym w Polsce z przymrużeniem oka.

W domu sporo się zmieniło. Trzyletni syn nie poznał ojca, a dwudziestopięcioletnia żona odzwyczaiła się od męża. W pracy natomiast wszystko było po staremu. Po złożeniu sprawozdania kierownictwu ministerstwa przystąpiłem do wypełniania swoich zwykłych, codziennych obowiązków, których wcale przez te kilka miesięcy nie ubyło. Może nawet przybyło, gdyż mój szef przydzielił mi dodatkowo, do bieżącego nadzoru, kilka przedsiębiorstw handlu zagranicznego, należących dotychczas do mego kolegi dyr. Tadeusza Chęcińskiego, który skoncentrował się z kolei na tematyce aktywizacji eksportu i związanych z tym bodźcami materialnego zainteresowania.

Po kilku miesiącach niczym niezakłóconego pobytu w Warszawie, musiałem znowu wyjechać służbowo do Moskwy. Powróciłem po tygodniu

z okropną gripą, która zaatakowała płuca. W końcu roku już było wiadomo, że jestem chory na gruźlicę i że muszę poddać się leczeniu sanatoryjnemu. Nie było innego wyjścia. Po krótkim pobycie w szpitalu, początkowo w Lecznicy Ministerstwa Zdrowia, a później w Instytucie Gruźlicy, skierowany zostałem do sanatorium do Sródborowa koło Otwocka, gdzie przebywałem całe pięć miesięcy. Ot i dorobiłem się. Myślę, że nie był to wszakże dorobek ostatnich kilku lat, lecz rezultat całego dotychczasowego życia. Na szczęście proces gruźliczy okazał się niezbyt zadawniony i szybko, pod wpływem najnowszych medykamentów ulegał gojeniu. Wraz z poprawą stanu fizycznego, poprawiała się też kondycja psychiczna. O ile na początku choroby nie widziałem dla siebie żadnej przyszłości i myślałem nawet o samobójstwie, o tyle z upływem czasu i ewidentnymi postępami w leczeniu, zacząłem coraz częściej zastanawiać się nad pracą zawodową i życiem prywatnym, słowem o swoim jutrze.

W dochodzeniu do siebie pomogły mi najbardziej dwie osoby. Pierwsza, to dr Kazimierz Mordyński, uczestnik walki o Monte Casino, ordynator w sanatorium w Sródborowie, który leczył mnie przez całe pięć miesięcy, a druga, to minister handlu zagranicznego, prof. Witold Trąpczyński, który osobiście interesował się postępami w leczeniu, dając rzeczowe dowody swego pozytywnego stosunku do mnie, w postaci dwukrotnego przysłania do sanatorium okazałych, jak na ówczesne czasy, kwot pieniężnych, abym mógł sobie pomóc w leczeniu, a po drugie, przydzielił dwupokojowe mieszkanie z puli MHZ, dla poprawienia standardu życiowego, co jest niewątpliwie istotnym warunkiem leczenia tej groźnej choroby; pozwoliło to odizolować mnie od małego dziecka, bezpośrednio zagrożonego zakażeniem gruźlicą.

W maju 1959 roku opuściłem sanatorium, jako człowiek zdolny do pracy, z zaleceniem oszczędnego i higienicznego trybu życia. Znowu zacząłem jeździć do ministerstwa i powoli wchodzić w swoje dawne obowiązki. Nie było jednak mowy o kilkunastogodzinnych dniach pracy, jak to często bywało przed chorobą. Teraz, siedem godzin i "Schluss" - jak mówią Niemcy.

Nie było w moim zwyczaju upominanie się o swoje sprawy. Nigdy w dotychczasowej swojej karierze zawodowej nieżądałem żadnych awansów, ani nie nagabywałem swoich przełożonych o podwyższenie

poborów, przydzielenie jakiejś premii lub przeniesienie do innej pracy. Tak i tym razem nie prowadziłem z nikim żadnych rozmów na temat zmiany miejsca pracy, choć byłem świadom, że stanowisko wicedyrektora Departamentu Obrotu Towarowego jest, w mojej sytuacji zdrowotnej, zbyt wyczerpujące. Myślałem więc, że dobrze by się stało gdyby moi przełożeni, dyr. St. Maksymowicz, dyr. gen. Łucjan Horowitz lub min. W. Trąpczyński wpadli na pomysł przydzielenia mi lżejszej roboty. Nie było jednak o tym mowy. "Najedzony głodnego nie rozumie", brzmi ludowe przysłowie. Haruję więc jak wół w ministerstwie, zaczynam znowu wyruszać, coraz częściej poza Warszawę, a szczególnie do Łodzi, gdzie ściśle współpracuję z Textilimportem, Cetebe i Skórimpexem, do Gdańska i Gdyni, gdzie bardzo dużo miałem do czynienia z Baltoną i Polcargó. W czasie kolejnego rutynowego pobytu w Łodzi, byłem raz świadkiem narady roboczej w jednym z tamtejszych przedsiębiorstw handlu zagranicznego, na której dyrektor naczelny tego przedsiębiorstwa tłumaczył swoim pracownikom jaka jest różnica między clearingową jednostką obrachunkową, a jednostką wolnodewizową, dowodząc, że w pierwszym przypadku chodzi o inkaso, zaś w drugim o akredytywę. Nawoływał oczywiście podległy sobie personel, aby żądać od kontrahentów zagranicznych najbardziej korzystnej formy zapłaty, to jest akredytywy, co się równa wolnym dewizom, zaś inkaso jako clearingową formę zapłaty za wyeksportowany towar pozostawić na dalszym miejscu przy formułowaniu klauzuli zapłaty. Mimo, iż wszyscy biorący udział w naradzie pracownicy rozumieli z pewnością kompletną ignorancję swego szefa, uznałem za stosowne wyłożyć krótko różnice między rozliczeniami wolnodewizowymi i clearingowymi oraz pokazać na konkretnych przykładach to, co nazywamy akredytywą, wymieniając różne ich rodzaje, oraz to, co nazywamy inkasem i jakim. Starałem się przy tym nie narazić dobrego imienia dyrektora, jeżeli nie zrobił on tego sam. Był to dyrektor, który jako zasłużony działacz w przemyśle włókienniczym przysłany został przez KW do uzdrowienia łódzkiego handlu zagranicznego. Szkoda, pomyślałem wtedy, że nie został on przed tym skierowany chociażby do Miedzeszyna, bo tam tych pierwszych liter alfabetu rozliczeń w handlu zagranicznym, na pewno by się nauczył.

Tuż po okresie wakacyjnym w roku 1959, minister W. Trąpczyński polecił mi abym po zakończeniu jakiejś późnopołudniowej konferencji, przyszedł do niego do gabinetu znajdującego się na pierwszym piętrze, o dwa piętra niżej od mojego miejsca pracy. Sprawy poważniejsze lubił omawiać w godzinach wieczornych, kiedy nie przeszkadzają interesanci i nie brzęczą tak często telefony. Myślałem więc, że chce się zorientować jak przebiega import ropy naftowej, wełny, bawełny czy skór surowych. Zabrałem, jak zwykle swój kalendarz książkowy z notatkami i poszedłem. Tymczasem, mój główny szef zaczął mnie wypytywać o stan zdrowia i sprawy rodzinne. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu w ogóle nie spytał ani o import, ani o eksport.

Niejako na podsumowanie rozmowy zaczął głośno myśleć na temat wydelegowania mnie do pracy za granicę. Nie miał tylko żadnej koncepcji kierunkowej. Zapytał o to mnie, a ja się poczułem tak zaskoczony tematem, że nie potrafiłem zgłosić żadnej konkretnej propozycji. Powiedziałem, że porozmawiam ze swoim lekarzem, który mi na pewno coś rozsądnego podpowie. Istotnie tak się stało. Dr K. Mordyński, do którego udałem się na drugi dzień po rozmowie, uznał, że najlepszymi dla mnie krajami byłyby Włochy lub Szwajcaria, przy czym Szwajcarię postawił na pierwszym miejscu, z uwagi na znacznie niższe temperatury w okresach letnich.

Ponowne spotkanie u ministra doprowadziło do podjęcia ostatecznej decyzji, że wyjadę do Szwajcarii na stanowisko attache handlowego, a Stanisław Brzóska, który od dwóch lat zajmuje to stanowisko w Bernie przeniesiony zostanie do innego kraju. Tak też się stało. W listopadzie 1959 roku wyjechałem z rodziną do Szwajcarii, zaś Stanisław Brzóska wkrótce został przeniesiony do Nowego Jorku. Na zwolnione przeze mnie miejsce wicedyrektora Departamentu Obrotu Towarowego w MHZ mianowany został na mój wniosek dotychczasowy podwładny naczelnik wydziału, Jan Serwatowski, wybitny znawca problematyki rolnej i dobry fachowiec z dziedziny międzynarodowego handlu żywnością.

W ten sposób opuściłem ministerialny labirynt, aby po prawie pięcioletniej przerwie, wrócić do niego z powrotem, w zgoła innych warunkach i w innym charakterze. Ale o tym później.

2. W Szwajcarii

Do Szwajcarii wyjechałem z żoną i synem pociągiem przez Wiedeń, gdzie mieliśmy całonocną przerwę. Przedstawiciel Biura Radcy Handlowego w Austrii odebrał nas rano z dworca wschodniego i po pobieżnym zwiedzeniu tego ciekawego miasta, które znałem trochę ze swojego poprzedniego pobytu służbowego, a o którym będę miał jeszcze okazję co nieco napisać, odwiózł nas do domu radcy handlowego, L. Lachowskiego, na obiad. Po obiedzie odstawieni zostaliśmy na dworzec zachodni, skąd wyruszyliśmy w dalszą trwającą kilkanaście godzin, drogę do Zurychu. Tam z kolei przejął nas Jerzy Grzegórski, pracownik BRH w Szwajcarii i odwiózł do Berna, prosto do ogromnego mieszkania przy Sonnenbergrain 12, w którym do niedawna zamieszkiwał mój poprzednik Stanisław Brzóska, wraz z rodziną.

Na drugi dzień zawieszony zostałem do biura przy ul. Dufour 29, gdzie pokazano mi mój gabinet, biurko i wręczono kluczyki do służbowego samochodu marki mercedes, za kierownicą którego zasiadałem przez najbliższych kilka lat. Nagle znalazłem się w zupełnie innym świecie. Niewiele mi pomogło przyswojenie przed wyjazdem garści informacji o kraju i jego stolicy, choć ta nawet powierzchowna znajomość geografii i historii Szwajcarii ułatwiła trochę wykonywanie codziennych obowiązków służbowych.

Przeciętny Polak wie o Szwajcarii chyba tylko tyle, że jest to zamożny kraj produkujący znakomite zegarki i wspaniałe sery, no i może jeszcze tyle, że od lat zachowuje neutralność. Tymczasem jest to kraj niezwykle ciekawy i złożony pod każdym innym względem, którego chociażby pobieżne poznanie wymaga sporo czasu. Powierzchnia jego liczy 41288 km kwadratowych, z czego 10,2% przypada na grunty orne i sady, 42,2% na łąki i pastwiska, 23,8% na lasy i 23,8 wszystko pozostałe, a szczególnie skały. Kraj ten zamieszkały przez 6 mln ludności ma zdecydowanie charakter górzysty, blisko 60% powierzchni stanowią Alpy. Główne szczyty górskie, przekraczające 4000 m n.p.m. to: Dufourspitze 4478 m, Weisshorn 4506 m, Matterhorn 4478 m, Jungfrau 4158 m, Finsteraarhorn 4274 m oraz Aletschhorn 4195 m. Jak ciekawostka zabrzmiałaby niewątpliwie informacja, że jedno z osiedli ludzkich, a mianowicie wieś Juf leży na wysokości 2126 m n.p.m.

Szwajcaria znajduje się w strefie klimatu umiarkowanego, jednak wysokie pasma górskie powodują ogromne różnice temperatur, a to głównie za sprawą położenia geograficznego i wysokości zboczy górskich oraz stopnia wpływu Oceanu Atlantyckiego. Na kształtowanie się warunków klimatycznych ma też duży wpływ wielka liczba jezior /1484/, z których na wyróżnienie pod każdym względem zasługują: Bodeńskie, Genewskie, Czterech Kantonów i Maggiore; jest też 300 jezior sztucznych - zaporowych.

Nieraz w ciągu zaledwie godziny lub dwóch jazdy samochodem wpadałem z upałów w temperatury minusowe i zaspę śnieżną. Tak na przykład dzieje się często przy forsowaniu drogi prowadzącej przez górę Sw. Gotharda.

Z terenu Szwajcarii biorą początek trzy główne rzeki europejskie, a mianowicie Ren, Rodan i Inn, przy czym każda z nich niesie, bezpośrednio lub pośrednio swoje wody do trzech różnych mórz, Północnego, Śródziemnego i Czarnego.

Część dzisiejszej Szwajcarii zamieszkiwali w starożytności Retowie. W IV wieku przed Chrystusem zaczęli tu napływać Celtowie, z których plemię Helwetów, na przełomie II i I wieku osiedliło się w dolinie rzeki Aare. W 15 roku przed Chrystusem utworzono rzymską prowincję Recję. W połowie V wieku w rezultacie krwawych zmagañ część południowo-zachodnią dzisiejszej Szwajcarii opanowali Burgundowie, a północno-wschodnią Alemanowie. W latach 534-535 większość kraju weszła w skład państwa Franków.

Historia nowoczesnego państwa szwajcarskiego /Schwaizerische Eidgenossenschaft/ datuje się w zasadzie od 1 sierpnia 1291 roku /1 sierpień - Święto Narodowe/ kiedy to trzy przyszłe kantony, Uri, Schwyz i Unterwalden zawarły wieczysty związek, mający na celu wspólną obronę przed Habsburgami. Przysięga wysokich umawiających się stron miała mieć rzekomo miejsce na wzgórzu Rütli, w okolicach jeziora Czterech Kantonów, które dzięki tamtejszemu MSZ wspólnie z całym berneńskim korpusem dyplomatycznym odwiedziłem wraz z żoną w roku 1962. Do zawiązanej konfederacji przystępowały kolejno następujące kantony: Lucerna w 1332 roku, Zurych w 1351 roku, Glarus i Zug w 1352 roku oraz Berno w 1353 roku. Śmiało można powiedzieć, iż państwo szwajcarskie kształtowało się głównie pod wpływem "ognia i miecza". W drugiej połowie XV wieku Szwajcarzy odnieśli

MINISTER
HANDLU ZAGRANICZNEGO

Warszawa, dn. 31 X. 1959 r.

KAIIT-3482

Obywatel

Stanisław Leszkowicz

w _____ miejscu

Z dniem 11 listopada 1959 roku powołuję
Obywatela na stanowisko Attache Handlowego przy Ambasa-
dzie P.R.L. w Bernie z wynagrodzeniem miesięcznym wg.
stawki "C" plus 30% dodatku reprezentacyjnego.

M I N I S T E R



Trampczyński

znaczące zwycięstwo nad Habsburgami. Sława ich oręża rozniosła się szybko po całej Europie i przetrwała po dzień dzisiejszy. Legendarny Wilhelm Tell stał się symbolem odwagi, patriotyzmu i kunsztu wojennego.

Istotną rolę w procesie kształtowania się szwajcarskiej państwowości odegrali znani reformatorzy, Zwingli i Kalwin.

Od 29 maja 1874 roku Szwajcarzy dysponują Konstytucją, która w sposób demokratyczny reguluje wszystkie dziedziny ich życia. Za rzecz niemal świętą uznają oni swoją neutralność, która uchroniła ich od kataklizmów pierwszej i drugiej wojny światowej oraz prawo do głosowań ludowych.

Szwajcaria odegrała istotną rolę jako ośrodek sił postępowych. Tu działali również i polscy patrioci, którzy trafili głównie w rezultacie stłumionych powstań narodowych. Tu zmarł, po powrocie z USA, Tadeusz Kościuszko. Szczególną rolę odegrała grupa Polaków skupionych wokół Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswilu, założonego przez W. Platę. Nieobce są Szwajcarom nazwiska G. Narutowicza, I. Mościckiego, I. Paderewskiego i M. Dąbrowskiej. W czasie drugiej wojny światowej przebywało na terenie Szwajcarii 11 tys. żołnierzy polskich internowanych po klęsce Francji pod dowództwem gen. B. Prugara-Ketlinga. Niektórzy z nich osiedli w Szwajcarii na zawsze.

Praca moja polegała głównie na nawiązaniu i utrzymywaniu kontaktów handlowych z firmami szwajcarskimi, zainteresowanymi importem towarów z Polski. Chętnie również włączałem się do eksportu szwajcarskich wyrobów do naszego kraju. W tym celu bardzo wiele podróżowałem. Poznałem wszystkie drogi prowadzące z Berna w różnych kierunkach.

W latach mojego pobytu /1959-1964/ nie było jeszcze w Szwajcarii tak gęstej sieci autostrad jak dziś. Zapoczątkowano zaledwie budowę autostrady Berno-Zurych oraz tylko co oddano do użytku kawałek takiej drogi łączącej Lozanę z Genewą. Trwała przy tym szeroka i burzliwa dyskusja na temat losu i kształtu autostrad, w której wypowiedzieli się zarówno zwolennicy, jak i zagorzali przeciwnicy tych przedsięwzięć.

Tak więc musiałem jeszcze jeździć stosunkowo wąskimi i bardzo krętymi drogami. Na trasach prowadzących z Berna do Zurychu, Genewy

lub Bazylei, bez przesady można powiedzieć, że znałem każdy zakręt.

Głównymi partnerami handlowymi polskich przedsiębiorstw handlu zagranicznego były takie znane firmy jak Sulzer w Winterthurze, Brown Boveri w Baden, Escher Wyss i Oberlikon w Zurychu, Schindler, Ciba, Geigy, Sandoz i Hoffmann La Roche w Bazylei, Secheron w Genewie, André w Lozannie, Nestle w Montreux, Suchard w Bernie oraz Maggi w Frauenfeld. Utrzymywałem też robocze kontakty z całą plejadą firm zegarkowych, które 95% swojej produkcji kierują na eksport. Są one również dobrymi importerami różnych towarów. Przyglądałem się z bliska ogromnej elastyczności i sprawności obsługi klientów głównych ośrodków turystycznych w Interlaken, Lauterbrunner, Adelboden, Grindelwald, Zermatt, Sankt Moritz, Davos, Arosa, Lugano i wielu innych. W roku 1963 6 mln turystów przybyło z zagranicy, pozostawiając w kasach szwajcarskich banków ogromne ilości różnych walut. Dodatnie saldo z turystyki wyniosło w tym samym roku 253 mln dolarów USA.

Kontakty moje daleko oczywiście wykraczały poza firmy produkcyjne i handlowe. Były one równie częste w bankach i ogniwach administracji państwowej i samorządowej, choć tę sferę stosunków zastrzegał do swojej dyspozycji mój bezpośredni zwierzchnik, Mieczysław Goldgraber. Musiałem też nierzadko brać udział w różnych posiedzeniach w organizacjach międzynarodowych w Genewie.

W okresie mojego pobytu eksport polskich towarów do Szwajcarii wzrósł z 10,6 mln dol. USA w roku 1960 do 16,3 mln dol. USA w roku 1964, zaś import w tym samym czasie zwiększył się z 14,8 mln dol. USA do 30,5 mln dol. USA. Jeśli chodzi o import to statystyki nasze nie tylko notowały towary wyprodukowane w Szwajcarii i sprzedane do Polski, lecz również ujmowały te towary, które pochodziły z krajów trzecich, np. z RFN lub z USA, kupione przez polskiego importera w szwajcarskiej firmie handlowej.

Szwajcaria to również kraj skomplikowany pod względem administracyjnym i językowym. Podzielona jest na 22 kantony /województwa/, z których trzy dzielą się na tak zwane półkantony, np. Bazylea - miasto i Bazylea - wieś. Ogromnie dużo ma do powiedzenia gmina i to zarówno w sprawach państwowych, jak i w sprawach dotyczących jej mieszkańców. Obowiązują tu cztery języki, uznane oficjalnie za urzędowe. 74,6% mieszkańców kraju posługuje się językiem niemieckim,

a raczej szwajcarskim-niemieckim, 20,3% francuskim, 4,1% włoskim oraz 1% retoromańskim. Szwajcarski-niemiecki to dialekt, którym nierzadko mówi tylko jedno miasto lub nawet miasteczko. Miasta szwajcarskie nie są zbyt wielkie. Ich granice opasują na ogół tylko zwartą aglomerację, a nie cały zespół zintegrowany z tym miastem. Tak liczona liczba mieszkańców /bez przybudówek/ wynosi dla: Zurychu 440 tys., Bazylei 216 tys., Genewy 178 tys., Berna 169 tys., Lozanny 135 tys., Winterthuru 89 tys., Sankt Gallen 79 tys. i Lucerny 75 tys.

Jako że człowiek nie tylko pracą żyje, wykorzystywałem pobyt na placówce do różnych rzeczy, wykraczających poza obowiązki służbowe. Do takich należały m.in. spotkania z ciekawymi ludźmi, do których zaliczałem głównie pisarzy, polityków i artystów.

Wśród pisarzy odwiedzających w tym czasie dość często Szwajcarię była Maria Dąbrowska, która zawsze podróżowała w towarzystwie swojej duchowej opiekunki, również pisarki, nazwiska której niestety nie zapamiętałem. Kiedy pewnego razu pracownicy polskich placówek dyplomatycznych w Bernie zaproponowali wielkiej pisarce spotkanie i porozmawianie na temat jej twórczości, ta z miejsca zgodziła się i spędziła z nami ładnych kilka godzin. Opowiadała o swoim bogatym życiu i pracy literacko-publicystycznej, o wielokierunkowych studiach w Szwajcarii i W. Brytanii i działalności patriotycznej, o codziennym życiu i zwykłych troskach pisarza. Na liczne pytania obecnych /pracowników i ich rodzin/ odpowiadała chętnie i wyczerpująco. Nie było tematów tabu, choć ani czas ani przekrój społeczno-polityczny obecnych nie zachęcały do większej wylewności.

Tak się złożyło, że na drugi dzień po tym spotkaniu jechałem do Genewy na jakąś konferencję. Dowiedziawszy się o tym amb. Józef Koszutski zaproponował mi, abym zabrał obie panie do Lozanny, dokąd pisarka udawała się na jakieś spotkanie. Oczywiście bez jakiegokolwiek sprzeciwu zgodziłem się. Potraktowałem propozycję ambasadora jako osobisty zaszczyt. O umówionej godzinie zabrałem obie swoje pasażerki przed budynkiem ambasady, przy Elfenstrasse 20 i pomknąłem w stronę Genewy. Z miejsca w samochodzie wywiązała się dyskusja będąca w pewnym sensie przedłużeniem wczorajszego wieczoru. Interesował mnie głównie sposób pojmowania przez pisarkę twórczości

literackiej, jako metody przekazywania swego stosunku do tego co się wokół niej dzieje. Jednoznacznie wypowiedziała się za literaturą, jako sztuką słowa pisanego, służącą przekazowi najważniejszych treści społeczno-wychowawczych i politycznych, nurtujących aktualnie czytelnika i pisarza. Nawiązywała przy tym do różnych epok w swojej twórczości i w zależności od tego zróżnicowanego stosunku do najważniejszych problemów dnia. Inne jak gdyby priorytety obierała pisząc artykuły do różnych czasopism w okresie przed pierwszą wojną światową, inne w twórczości okresu międzywojennego, a jeszcze inne w dziełach pisanych po drugiej wojnie światowej. Nie można było nie wspomnieć o największym jej dziele literackim, napisanym w latach 1932-1934 "Nocach i dniach", powszechnie uznawanym za arcydzieło prozy powieściowej. Była usatysfakcjonowana moją próbą aktualnego, wcale niekonformistycznego spojrzenia na treść tej książki. Ku mojemu zadowoleniu jej towarzyszka nie zabierała głosu. Rozmowa nasza trwałaby prawdopodobnie jeszcze bardzo długo gdyby na horyzoncie nie pojawiło się Jezioro Genewskie i panorama Lozanny. Pasażerki moje wysiadły przed trzynastowieczną Katedrą Lozańską, będącą najważniejszym zabytkiem gotyckim Szwajcarii, a ja pojechałem dalej, do Genewy.

Wolna /planowo/ jazda do Lozanny spowodowała to, że do Genewy, gdzie w Pałacu Narodów miałem konferencję, przyjechałem na ostatnią chwilę. A tu jak na złość nie było ani jednego wolnego miejsca na parkingu samochodowym. Nie zastanawiając się długo postawiłem swego mercedesa przed posterunkiem policji, w miejscu zarezerwowanym dla wozów służbowych i szybko pobiegłem na spotkanie. Po kilku godzinach wyszedłem z Pałacu i z duszą na ramieniu udałem się na miejsce postoju samochodu. Już z daleka dostrzegłem, że samochód jest na miejscu, a to już bardzo dobrze, bo mogli przecież wywieźć za miasto, tylko za wycieraczką była jakaś kartka. Był to list prezydenta policji genewskiej, w którym autor przesyła mi wyrazy szacunku i radości z powodu mojej wizyty w Genewie, ale zwraca jednocześnie uwagę, że postawiłem swój wóz w miejscu bezwzględnego zakazu parkowania i prosi abym w przyszłości przestrzegał obowiązującego w mieście porządku. Pan prezydent policji wyraził przy tym nadzieję, że nie zrezygnuję w przyszłości z odwiedzenia tego pięknego i gościnnego miasta. Oczywiście, że nie zrezygnowałem, bo musiałem tam jeździć. Tym razem uchroniły mnie przed wywiezieniem

samochoду za miasto berneńskie tablice rejestracyjne, uzupełnione małym szyldzikiem "CD".

Nieco innym w swojej wymowie było spotkanie ze Stanisławem Wygodzkim, pisarzem i publicystą, podróżującym z reguły ze swoją żoną, który również nie odrzucał nigdy propozycji spotkań z pracownikami polskich placówek. Jak wiadomo, jego twórczość ma zdecydowanie charakter rozrachunkowy z epoką hitleryzmu w Niemczech, poświęcona głównie martyrologii Żydów w Polsce. Nie każdy czytelnik polski może ~~swobodnie~~ czytać jego książki. Do takich zresztą ja należę, o czym mówiłem autorowi. Jako człowiek, który na własne oczy oglądał ludobójstwo faszystowskie w małym kresowym miasteczku, nie mogę jeszcze raz, bez ogromnych wzruszeń, przeżywać tego wszystkiego. Stają mi przed oczyma sceny zbiorowego, najbardziej bestialskiego mordu Żydów, popełnionego przez Niemców i ich pomocników w getcie w Dołhinowie na Wileńszczyźnie, gdzie przebywałem w tym czasie i byłem naocznym świadkiem tego barbarzyńskiego aktu.

Stanisław Wygodzki był często zapytywany o tak zwany socrealizm, urzędowy kierunek twórczości literackiej z okresu stalinowskiego w Polsce i innych krajach socjalistycznych. Nie powiem, aby jego stosunek do tego zagadnienia satysfakcjonował mnie osobiście. Autor nie bardzo mógł swobodnie i śmiało wkroczyć w gąszcz materii, splecionej nierozzerwalnie z całym szeregiem nazwisk, które nadal decydowały w Polsce o kierunkach polityki, nie tylko zresztą kulturalnej. Na pytanie co autor czyta najchętniej, wtrąciła się jego żona i szybko odpowiedziała, że jej mąż czyta tylko dobre książki, a te z kolei pisze sam.

Mieliśmy też spotkanie z Janem Swiderskim, aktorem i pedagogiem teatralnym. Była to prawdziwa uczta duchowa. Znakomity gawędziarz i wybitny znawca ludzi teatru opowiadał nam najprzeróżniejsze ciekawostki z życia artystów, których nie sposób wyczytać w żadnych książkach. Zaczynał zwykle o swoich pierwszych przedwojennych występach na deskach teatru w Poznaniu, po których jeden z recenzentów napisał wprost, że występował również młody, początkujący aktor Jan Swiderski, o którym nie warto jednak nic pisać, ponieważ nie ma on żadnych zadatków na dobrego aktora.

Dla zachowania równowagi psychicznej mieliśmy też od czasu do czasu spotkania z przebywającymi z różnych okazji w Szwajcarii,

polskimi politykami. Do takich należał Edward Ochab, ówczesny członek Biura Politycznego KC PZPR i przewodniczący Rady Państwa PRL, który przeżył do Szwajcarii leczyć oczy. Tu już nie było rodzin, udział brali wyłącznie pracownicy. Edward Ochab przedstawił stan kraju, podkreślając szczególnie stały i systematyczny rozwój wszystkich dziedzin życia społecznego i gospodarczego, a następnie nakreślił tematy, którymi zajmuje się Biuro Polityczne. Pytań było mało. Nikt nie chciał się wychylić. Nawet profesjonalni propagandyści siedzieli jak przysłowiowe myszy pod miotłą. To jest sztuka życia i bycia. Ja natomiast, jak to już nieraz było, i tym razem dałem dowód swojej niedojrzałości politycznej. Zapytałem E. Ochaba czy Polska, a szerzej kraje RWPG, mają koncepcję współpracy gospodarczej z Europą Zachodnią, w świetle niezwykle szybko zachodzących procesów integracyjnych. Nakreśliłem przy tym krótko dotychczasowy przebieg współpracy w ramach Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej /EWG/, oraz założenia i perspektywy Małej Strefy Wolnego Handlu /EFTA/, aby na koniec posłużyć się rysunkiem satyrycznym z jednej z gazet szwajcarskich /Der Bund/, w której na pierwszej stronie przedstawiono wzór matematyczny $6 + 7 = 1$, co ni mniej ni więcej oznaczało EWG + EFTA = jedna Europa. W rezultacie krótkiej analizy stosunków gospodarczych krajów socjalistycznych z krajami Europy Zachodniej zaprezentowałem tezę, że takiej koncepcji u nas nie ma.

Edward Ochab, ustosunkowując się do tej kwestii zapytał mnie przede wszystkim czy jestem członkiem partii i czy przechodziłem szkolenie polityczne na temat wewnętrznych sprzeczności systemu kapitalistycznego. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, stwierdził w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, że integracja kapitalistyczna to propagandowy balon napełniony powietrzem, narażony w każdej chwili na pęknięcie, że poważne traktowanie EWG lub EFTA świadczy o braku znajomości prawidłowości funkcjonowania kapitalizmu i jego najwyższego stadium, imperializmu. Powiedział jeszcze kilka zdań o wyższości ustroju socjalistycznego nad kapitalistycznym i zakończył stwierdzeniem o przodującej roli Związku Radzieckiego w rozwoju świata socjalistycznego.

Poczułem się jak skarcony uczeń szkoły średniej. Niektórzy moi pseudoprzyjaciele, a takim miałem niemało, składali mi po zebraniu wyrazy współczucia, tłumacząc abym się nie denerwował, bo przecież

nic takiego się nie stało. Członkowie egzekutywy POP wyciągnęli z tego jeden generalny wniosek, że trzeba zaktywizować szkolenie i bardziej uodpornić członków partii na oddziaływanie propagandy kapitalistycznej. Zostałem zaproszony na zebranie w charakterze niemal oskarżonego, gdzie cały ten "incydent" poddano niezwykle wnikliwej i pryncypialnej ocenie.

Najbardziej przykre chyba to, że wielu z moich ówczesnych adwersarzy zrobiło w późniejszym czasie karierę dyplomatyczną, a jeden z nich został nawet ambasadorem PRL.

Niezapomniane wrażenie pozostawił po sobie Tadeusz Kotarbiński, twórca znanej w świecie polskiej szkoły prakseologicznej, prezes Polskiej Akademii Nauk. Bliższe zetknięcie się z nim potwierdziło jego niezwykłą skromność i rzadką umiejętność nawiązywania kontaktu z ludźmi oddalonymi na codzień od uprawianej przez niego dyscypliny. Mówił o swoich początkach działalności naukowej i roli jaką odegrała prakseologia w naukach społecznych. Słuchając profesora wydawało się, że ma się do czynienia z bardzo bliskim kierunkiem naukowym, że prakseologia to samo życie. Małżonka profesora choć na pewno miała w tych sprawach więcej do powiedzenia, niż żony innych wielkich ludzi, które przewinęły się przez salony ambasady polskiej w Szwajcarii, nigdy nie zabierała głosu.

Wspomnieć jeszcze wypada o jakże różnych dwóch spotkaniach, a mianowicie z ówczesnym ministrem Spraw Zagranicznych Adamem Rapackim i jego zastępcą Marianem Naszkowskim. O ile pierwszy, niezwykle interesująco przedstawił nam sytuację międzynarodową i miejsce Polski w świecie, o tyle drugi cały swój wykład poświęcił jednemu tylko tematowi, obrony stanu posiadania socjalizmu, w świetle uchwał XXII Zjazdu KPZR odbytego w dniach 17-31.X.1961 roku, w którym brał udział jako członek delegacji PZPR.

Na obu tych spotkaniach nie było ani pytań, ani dyskusji. Nauka nie poszła w las.

O ile ja miałem urozmaicone życie, o tyle moja żona oprócz przyjęć dyplomatycznych siedziała głównie w domu i czekała na powrót męża z pracy, lub syna z przedszkola, względnie szkoły. Mieliśmy natomiast bardzo życzliwych sąsiadów szwajcarskich, państwa Edwina i Bertę Schmukich. Pani Berta, matka trzech synów, oferowała zawsze swoją pomoc, również w nauce języka niemieckiego żony.

Kiedy ja i jej mąż byliśmy w pracy, przychodziła do żony i uczyła ją pierwszych, najbardziej przydatnych w życiu codziennym słów języka niemieckiego, który dla mojej żony był wtedy bardzo obcy. Syn nasz, od początku pobytu zapisany został do miejskiego przedszkola i jako pierwszy a nawet jedyny z całej rodziny opanował bezbłędnie język szwajcarski, a właściwie berneński, który jest bardzo skomplikowaną odmianą języka niemieckiego.

Pan Schmuki tymczasem, co pewien czas, wzywany był do policji i wypytywany na temat mojej osoby^{1/}. Mimo to przyjaźń nasza nadal się utrzymywała. Wyjeżdżając poza Berno zostawialiśmy zawsze u nich syna i byliśmy pewni, że żadna krzywda mu się nie stanie. W rewanżu jeździliśmy razem z nimi na wycieczki, a nawet raz zabraliśmy ich syna Martina do Polski, który razem z nami spędził urlop w Sopotcie i zwiedził kilka polskich miast, a wśród nich Warszawę. Był zachwycony i pytał bez przerwy, dlaczego Polska jest taka płaska; gdzie się podziały góry, których tak dużo w Szwajcarii.

W czasie pobytu na placówce w Bernie zwiedziliśmy nie tylko dokładnie całą Szwajcarię, ale również odbyliśmy kilka wycieczek zagranicznych, do Paryża, Rzymu, Wiednia i Belgradu. Wszystkie były bardzo interesujące. W drodze do Rzymu zobaczyliśmy Mediolan, Wenecję, Florencję i szereg innych miast, a z Rzymu zrobiliśmy skok do Neapolu, Sorrento i Pompei. Oczywiście nie omieszkaliśmy odwiedzić Monte Casino, gdzie oddaliśmy hołd poległym tam polskim żołnierzom. Wrażenie ogromne. "Ten rząd białych krzyży"^{2/} wzrusza każdego Polaka, który tylko tam się znajdzie. Obeszliśmy z żoną wszystkie groby i stwierdziliśmy, że najwięcej zabitych żołnierzy pochodziło z dawnych Kresów Wschodnich Polski. Na wielu mogiłach napisy głosiły, iż spoczywający snem wiecznym żołnierz pochodził z mojego, to jest wilejskiego powiatu. Byli to przeważnie ludzie wywiezieni swego czasu na Syberię, którzy stanowili trzon armii Andersa, a później również armii Berlinga.

W Paryżu zaliczyliśmy kilka muzeów, w tym oczywiście Luwr, oraz wiele innych zabytkowych obiektów; te dzielnice, które nabierają najwięcej życia nocą, zwiedzaliśmy oczywiście między godz. 22.00 a 4.00.

1/ Każdą taką rozmowę dokładnie mi relacjonował.

2/ Wyjątek ze znanej pieśni: "Czerwone maki na Monte Casino".

W Wiedniu zwiedziliśmy cały szereg ciekawych obiektów zabytkowych, zaś w Jugosławii spędziliśmy dwutygodniowy urlop nad morzem Adriatyckim.

Tymczasem syn zakończył pomyślnie "studia" w przedszkolu i poszedł do szkoły. Nauczycielka, p. Gffeler nie mogła się nadziwić, że mały Polak opanował tak dobrze język. Pod tym względem nie było żadnych problemów. Szkoła szwajcarska różni się tym od polskiej, że "1" jest najlepszym stopniem, a "5" najgorszym. Ponadto dzieci otrzymują w szkole wszystkie pomoce naukowe, łącznie z książkami i zeszytami, bezpłatnie. Nie muszą też odrabiać lekcji w domu, w związku z czym zeszyty swoje przynoszą do domu dopiero za zakończeniu roku szkolnego. Na okładce każdej książki wpisywane było kolejno nazwisko ucznia, który ją przez rok miał w posiadaniu. Książki i zeszyty są przez uczniów bardzo szanowane. W ten sposób już od dziecka wyrabia się w każdym przyszłym obywatelu właściwy stosunek do porządku i własności ogólnej.

Dyscyplina wśród uczniów wzorowa, utrzymywana m.in. przez stosowanie w ostateczności kar cielesnych. Nasz syncio, który w domu często zachowywał się jak diabełek, w szkole należał do wzorowych uczniów i to pod każdym względem.

Jak już wspomniałem wyżej obowiązki służbowe zmuszały mnie do bardzo częstych wyjazdów w teren. Do ciekawszych podróży należały wyjazdy do części romańskiej i włoskiej. Mimo, iż są to integralne części tego samego państwa, różnią się one od Szwajcarii niemieckiej pod wieloma względami: nie tylko język, lecz również różny sposób bycia, a nawet często specyficzny wygląd zewnętrzny mieszkańców. W części romańskiej trudno rozmówić się po niemiecku, trzeba znać język francuski, a w części włoskiej najlepiej się mówi po włosku, jeżeli oczywiście przybysz włada tym językiem. W kołach przemysłowo-handlowych mówi się jednak kilkoma językami i pod tym względem nie ma trudności.

W czasie jednego z takich wyjazdów spotkałem się w Lugano z Barbarą Kwiatkowską-Las i jej małżonkiem, znanym aktorem Hainzem-Karlem Bohm'em. Zaprosili oni mnie do swojego, pięknie położonego na wzgórzu domu, gdzie spędziliśmy wspólnie długi, przemiły, zakrapiany mocno szampanem, wieczór. Pani Basia okazała się być znakomitą panią domu, nadając spotkaniu wspaniałą oprawę i tworząc niepowtarzalną polsko-międzynarodową atmosferę.

Gdzieś mniej więcej w połowie pobytu w Bernie postanowiliśmy zmienić mieszkanie. Dwa powody skłoniły nas do podjęcia tej decyzji: po pierwsze, od początku nie chcieliśmy mieć tak dużego mieszkania, za dużo było po prostu sprzętania, a po drugie, mieszkające pod nami dwie emerytowane pielęgniarki zaczęły nam trochę dokuczać z powodu zbyt głośnego czasami zachowywania się dziecka; one wolały szczekanie psa, niż na przykład głośne rozmowy dzieci. Tacy to już są ci niektórzy Szwajcarzy. Raz nawet, kiedy u nas w domu nieco głośniej grało radio, zadzwoniła do nas miejscowa policja i poprosiła o ściszenie radia, ponieważ skarżą się na to sąsiedzi.

Daliśmy więc ogłoszenie do prasy, w wyniku czego otrzymaliśmy kilka ofert, wybraliśmy pasujące nam mieszkanie i przeprowadziliśmy się do nowozbudowanego budynku przy Mittelstrasse 16, położonego nieco na skraju miasta, tuż przy lesie, po którym można było odbywać wspaniałe spacerzy. Mieszkanie wynajęliśmy znacznie mniejsze i tańsze, składające się z trzech pokoi, kuchni i wszystkich wygód. Położenie mieszkania miało jeszcze tę zaletę, że było niezbyt oddalone od szkoły. Tak więc nasz syn, który lubił chodzić bardzo powoli, bo interesowało go wszystko po drodze, pokonywał tę odległość w ciągu jednego kwadransa. Ja natomiast do pracy jechałem samochodem, podobnie jak dotychczas, 10 do 15 minut. Zarówno w poprzednim, jak i w nowym mieszkaniu miałem pod domem garaż, tam indywidualny, a tu zbiorowy, w którym stawiałem swój służbowy samochód.

W czasie jednej z podróży do Warszawy, odbytej na początku roku 1964, minister W. Trąpczyński zaproponował mi powrót do kraju i objęcie nowego stanowiska w Ministerstwie Handlu Zagranicznego.

Rozpoczął się więc okres przygotowywania do powrotu. Wizyty pożegnalne, przyjęcia i inne podobne spotkania. Władze szwajcarskie, z którymi współpracowałem bardzo ciepło i serdecznie mnie żegnały; podobnie też firmy, z którymi utrzymywałem kontakty handlowe. Składając wizytę pożegnalną w szkole, do której uczęszczał syn, jeden z uczniów, przemawiający w imieniu całej klasy oświadczył, że on "nie może sobie swojej klasy wyobrazić bez Jarka". Było to zupełnie spontaniczne, a jakże ujmujące.

Przez długi jeszcze czas trwała korespondencja syna ze swoją klasą, aż się w sposób naturalny urwała, pozostawiając po sobie bogaty plon pięknych pamiątek. Wiele lat po powrocie, odbywając podróże prywatne, a jeszcze później służbowe, wracał on do tych miejsc w Bernie, gdzie stawiał pierwsze kroki jako przedszkolak i jako uczeń miejscowej szkoły^{1/}.

Mnie również danym było kilka razy odwiedzić w latach późniejszych Szwajcarię, gdzie z największą przyjemnością pospacerowałem tymi ulicami i ścieżkami, którymi przechadzałem się w latach 1959-1964 jako młody pracownik polskiej placówki dyplomatycznej w Bernie.

3. Rewizor z przypadku

W trakcie serii pożegnań z różnymi ludźmi, z którymi współpracowałem w Szwajcarii przez blisko 5 lat, jedna wizyta utkwiała mi w pamięci szczególnie. Było to w zarządzie firmy Geigy A.G. w Bazylei /znany powszechnie koncern chemiczny, który w okresie późniejszym połączył się z firmą Ciba A.G./ a konkretnie w gabinecie dyrektora generalnego B. Fischera, z którym w czasie swojej kadencji wielokrotnie spotykałem się w sprawach handlowych. Ten niezwykle dystyngowany Pan, mówiący płynnie kilkoma językami europejskimi, jeden z najbardziej znaczących menadżerów koncernu, złożył mi krótkie podziękowanie za dobrą współpracę, wręczył pamiątkę w postaci albumu przedstawiającego panoramę Szwajcarii, a następnie w sposób nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości zadeklarował w urzędzeniu się w kraju Helwetów, w przypadku gdybym się zdecydował na pozostanie na Zachodzie i nie wracał do Polski. Trzeba przy tym wiedzieć, że krótko przed moim powrotem do kraju prasa szwajcarska odnotowała kilka przypadków pozostania dyplomatów pochodzących z krajów socjalistycznych w Europie Zachodniej i USA.

W pierwszym momencie zaniemówiłem, a następnie podziękowałem za współpracę i piękny album oraz za życzliwe słowa i gotowość pomocy, dając do zrozumienia, iż nie wyobrażam sobie życia poza własnym

^{1/} Syn Jarosław Leszkowicz, urodzony w 1954 roku w Warszawie, absolwent Wydziału Handlu Zagranicznego SGPiS pracuje w sferze obrotu towarowego z zagranicą.

krajem i że nawet piękna i zamożna Szwajcaria ze swymi wszystkimi blaskami nie będzie mi w stanie zastąpić Polski z jej niedostatkami i cieniami. Nie miałem najmniejszego zamiaru pozostania na Zachodzie. Mój rozmówca przyjął moje oświadczenie ze zrozumieniem i jak sądzę z ulgą. No i wróciłem. Był to podwójny powrót, do kraju i do ministerstwa.

W pierwszej urzędowej rozmowie w kraju Minister W. Trąpczyński zaproponował mi objęcie stanowiska dyrektora Departamentu Kontroli. Od początku nie miałem wątpliwości, że nie jest to robota dla mnie. Nigdy nie lubiłem być kontrolowany i nie lubiłem nikogo kontrolować. Departament Kontroli to blisko 60 osób licząca komórka, o bardzo szerokich uprawnieniach, zatrudniająca inspektorów różnych specjalności, w tym kilku biegłych księgowych. Mogła ona nie tylko kontrolować gospodarkę finansową przedsiębiorstwa handlu zagranicznego, lecz również poddawać analizie całą działalność gospodarczą tych przedsiębiorstw, z uwzględnieniem celowości i ekonomicznej prawidłowości poszczególnych operacji. Kontroli resortowej podlegały również jednostki budżetowe wchodzące w skład ministerstwa, w tym placówki handlowe za granicą. Gdyby to nie był minister Trąpczyński na pewno bym tej oferty nie przyjął i poszedłbym do innej roboty. Zbyt wysoko jednak ceniłem ministra i nie mogłem mu odmówić, jak on się wyraził, pomocy, której niewątpliwie bardzo potrzebował. Obiecał mi przy tym, że nie będę dłużej dyrektorował niż trzy lata i po tym okresie zostanę skierowany do innej pracy. Oczywiście nie dotrzymał słowa i zamiast trzech, kontrolowałem resort przez pięć i pół.

Departament przejąłem od Antoniego Rudzińskiego, który wyjechał na stanowisko szefa polskiej placówki handlowej do Urugwaju. Pierwsze kroki jakie podjąłem w nowej pracy to wizyty roboczo-kurtuazyjne. Rozpocząłem od odwiedzenia wiceministrów handlu zagranicznego: Janusza Burakiewicza, Mariana Dmochowskiego, Józefa Kutina i Franciszka Modrzewskiego. Byłem zbulwersowany ich liczbą i mało przejrzystym podziałem kompetencji. Przeprowadziłem też rozmowy ze wszystkimi dyrektorami departamentów i z dyrektorami przedsiębiorstw handlu zagranicznego, a także z prezesami Polskiej Izby Handlu Zagranicznego A.K. Adamowiczem^{1/} i Głównego Urzędu Ceł

^{1/} były dyrektor Gabinetu Premiera J. Cyrankiewicza

Warszawa, dn. 8. lipca 1964 r.

Obywatel
Stanisław LESZKOWICZ
w m i e j s c u

Z dniem 10 lipca 1964 r. mianuję Obywatela
Dyrektorem Departamentu Kontroli w Minis-
terstwie Handlu Zagranicznego.

Jednocześnie przyznaję Obywatelowi indywi-
dualne uposażenie ryczałtowe w wysokości
zł. 5.000,- /złotych: pięć tysięcy/ miesięcz-
nie.

Podstawa prawna: art.17 ustawy o państwowej
służbie cywilnej /Dz.U. Nr 14 poz.92 z 1949 r./
oraz Uchwała Nr 41/55 Prezydium Rządu z dnia
15 stycznia 1955 r.

M I N I S T E R



Trampczyński

J. Konarzewskim^{1/}. Następnie udałem się do prezesa Najwyższej Izby Kontroli /NIK/ Konstantego Dąbrowskiego^{2/}, aby omówić z nim zakres współpracy w dziedzinie kontroli. W trakcie długiej rozmowy, niejako poza protokołem, poruszyłem sprawę anonimów licznie napływających do Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Zaprezentowałem przy tym własny pogląd, a mianowicie, iż tego rodzaju donosy powinny być wyrzucane do kosza, bez nadawania im biegu urzędowego. Najbardziej mi chodziło o te anonimy, które trafiają do kancelarii różnych instytucji państwowych i politycznych, jak KC PZPR, komitety partyjne różnych niższych szczebli, Sejm, Rada Państwa, Urząd Rady Ministrów, Najwyższa Izba Kontroli, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Prokuratura Generalna, a następnie przy krótkim, lakonicznym piśmku przekazywane są do MHZ z prośbą o "sprawdzenie i poinformowanie o wyniku". Była to istna zaraza, z której mam nadzieję, wyleczyliśmy się raz na zawsze. Rozmówca mój, prezes K. Dąbrowski, skądinąd niezwykle poważny i doświadczony działacz państwowy i polityczny, przemówił językiem urzędnika skarbowego, którym był przed wojną, że nie wolno takich dokumentów niszczyć, ponieważ dość często naprowadzają one na trop poważnych przestępstw gospodarczych. Jako przykład rozszyfrowanego w ten sposób przestępstwa podał K. Dąbrowski znaną aferę miesną, która przeszła do historii polskiej kryminalistyki, jako przykład zachęcający do szerszych rozważań teoretycznych i dyskusji praktycznych. Wyszedłem z budynku NIK przepełniony dużym ładunkiem wątpliwości i niepokoju. Odwiedziłem jeszcze kilku innych prominentów z Komitetu Centralnego PZPR, Urzędu Rady Ministrów, Ministerstwa Finansów i Prokuratury Generalnej. Wszędzie spotkałem się z dużym zainteresowaniem moją nową funkcją i deklaracją życzliwej pomocy, czytaj - daleko posuniętej ingerencji.

Po tych wstępnych czynnościach zacząłem bacznie przyglądać się resortowi od wewnątrz. Nie wiem czy był w ministerstwie lepszy punkt obserwacyjny. Stąd było wszystko widać, i czarne i białe plamy. Pani Halina Nalewajk, sekretarka, nie tylko znakomicie organizowała pracę dyrektora, ale była jednocześnie chodzącą encyklopedią departamentu.

1/ generał, były komendant Główny Milicji Obywatelskiej

2/ były minister Skarbu i były minister Handlu Zagranicznego

Po wstępnych analizach ogólnych tendencji kształtowania się obrotów Polski z zagranicą oraz po przeprowadzeniu szeregu szczegółowych badań niektórych zjawisk, doszedłem do wniosku, że istnieją z grubsza rzecz biorąc, trzy słabe strony, na które należy zwrócić uwagę szczególną:

- a/ sfera kierowania i polityki personalnej,
- b/ struktura towarowa i geograficzna polskiego handlu zagranicznego,
- c/ ceny dewizowe w imporcie i eksporcie.

Jeśli chodzi o problem pierwszy, to daleko wykraczał on poza granice resortu, ponieważ jego źródła tkwiły głęboko w założeniach systemowych. Minister był tu bezradny, choć jego wpływ na łagodzenie ujemnych skutków prowadzonej przez Biuro Polityczne KC PZPR polityki gospodarczej i personalnej był znaczny. Stąd poza szerszym przedstawianiem szefowi resortu swojego poglądu na tę sferę zagadnień, nie podrzucałem mu na biurko łamigłówek nie do załatwienia. Postępowałem jak najbardziej lojalnie i życzliwie. Te sprawy próbowałem natomiast przemycać w swojej działalności publicystycznej, którą zacząłem uprawiać w tym okresie na nieco szerszą skalę. I tak ogłosiłem serię artykułów w miesięczniku "Handel Zagraniczny" poświęconą m.in. ryzyku w handlu zagranicznym oraz odpowiedzialności na tym tle dyrektora przedsiębiorstwa za niektóre kategorie niepowodzeń handlowych. Położyłem duży nacisk na jakość i nowoczesność produkcji, jako warunek obecności Polski na szeregu wysoko rozwiniętych rynków kapitalistycznych. W miesięczniku "Kontrola Państwowa" /Nr 5/68/, będącym organem NIK, ogłosiłem artykuł pod tytułem "O kontroli trochę inaczej", w którym poddałem wyrażnej krytyce tendencje NIK-u do unikania kontroli organów centralnej administracji gospodarczej i koncentrowania swojej uwagi na Polsce powiatowej, głównie zaś na przedsiębiorstwach. Artykuł spotkał się z natychmiastową repliką redaktora naczelnego czasopisma Z. Sztajnerwalda. Modelowi gospodarczemu państwa poświęciłem obszerny artykuł pt.: "Kilka uwag na temat zarządzania gospodarką socjalistyczną w Polsce", opublikowany w "Życiu Gospodarczym" /Nr 17/68/, który szerokim echem odbił się w kraju i za granicą /przedruk fragmentów w "białych kartkach"/^{1/}. Tezą artykułu była propozycja

^{1/} zwięzła informacja o doniesieniach prasy zagranicznej o Polsce opracowywana przez PAP dla najwyższych władz PRL.

ograniczenia centralnego planowania na rzecz rynkowego sposobu produkcji oraz konieczności podjęcia walki z nadmierną centralizacją i asekurancem w kierowaniu procesami gospodarczymi.

Oto niektóre fragmenty artykułu:

"Asekurancem jest niewątpliwie produktem skomplikowanej sytuacji organizacyjnej, a na pewno nadmiernego centralizmu. Z jednej strony wpływa ono z centralistycznego systemu zarządzania, z drugiej zaś jest niejako usprawiedliwieniem i uzasadnieniem jego istnienia". I dalej, po scharakteryzowaniu asekurancem pionowego i poziomego postawiłem pytanie zasadnicze: "Co należy uczynić, aby ten niezwykle szkodliwy objaw asekurancem usunąć z naszego życia gospodarczego". I odpowiedziałem: "Należy uderzyć w źródło jego powstawania, którym jest przede wszystkim nadmierna centralizacja".

Dziesięć lat później wrócił do tego tematu na łamach "Polityki" redaktor M.F. Rakowski /późniejszy premier rządu/ w artykule "Granice centralizacji". Napisałem do niego wówczas list popierający jego tezę, który został zamieszczony jako pozycja numer jeden w poufnym biuletynie redakcyjnym, gdyż oficjalnie nie mógł się niestety ukazać. Nie te czasy.

Jeszcze pod koniec roku 1967 napisałem artykuł pod tytułem: "Koordynacja czy dublowanie", w którym poddałem krytyce model gospodarczy i zdecydowanie wystąpiłem przeciwko angażowaniu się aparatu partyjnego w procesy bieżącego kierowania gospodarką narodową. Wykazałem przy tym szkodliwość tego rodzaju ingerencji partyjnej i wysoką cenę jaką za to wszystko płaci całe społeczeństwo /ubezłasnowolnieniu przedsiębiorstw/. Wiedziałem, że żadne pismo w Polsce, z wyjątkiem może "Polityki" nie opublikuje tego artykułu. Posłałem więc go do tej redakcji, która po kilku tygodniach odpowiedziała, że i ona nie jest niestety w stanie przełknąć zawartej w artykule "porcji dynamitu". Korespondencja z redakcją w tej sprawie - dalej.

Wykorzystując natomiast atmosferę przedzjazdową udało mi się zamieścić w "Trybunie Ludu" /Nr 217/68/ artykuł pt.: "Odpowiedzialność partyjna - pojęcie konkretne", w którym zaprezentowałem m.in. następujące myśli: "Zdarzają się bowiem wątpliwości, czy bezpartyjni koledzy mają prawo oceniać postawę członka partii. Oczywiście mają prawo i powinni z niego w pełni korzystać. Niestety, organi-

Polityka

TYGODNIK

REDAKCJA

Warszawa, Al. Jerozolimskie 37

Tel. 2822-81-3

L. dz. 1049/67

Warszawa, dn. 26.I 1968 r.

Stanisław Leszkowicz

w/m

ul. Złota 64/66 m.10

Szanowny Panie

Przepraszam bardzo, że dopiero dzisiaj odpowiadam na Panski artykuł przysłany 16.XII.ub.r. pt. „Koordynacja czy dublowanie. Byłem jednak za granicą i dopiero dzisiaj zapoznałem się z jego treścią. Artykuł mimo, że napisany beznamyślnie i sucho zawiera tak dużą porcję dynamitu, że pozwalam sobie wątpić czy jest to porcja, którą byłby w stanie przelknąć nasz tygodnik. Piszę to Panu szczerze i bez ogródek. Nie jesteśmy w stanie wydrukować tego tekstu w tej postaci w jakiej go Pan opracował. Byłoby mi jednak bardzo żal tych bardzo sensownych i przemyślanych myśli, które Pan w nim zawarł. Mam więc następującą propozycję. Po prostu „kupimy u Pana ten tekst zastrzegając sobie prawo do wykorzystania Panskich uwag w felietonach redakcyjnych. W ten sposób w postaci rozwodnionej dostatecznie, być może, uda nam się przemycić Pańskie myśli. Rozumien¹ że jest w tej propozycji zamach na Pańskie prawa autorskie, ale nie bardzo widzę inne wyjście. Będę wdzięczny za odpowiedz.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Dariusz Fikus

Kierownik Działu Gospodarczego

STANISŁAW LESZKOWICZ
WARSZAWA
ul. Złota 64/66 m 10

Warszawa, dn. 31 stycznia 1968

Tygodnik "Polityka"
Pan Red. Dariusz Fikus

Warszawa

Al. Jerozolimskie 37

Szanowny Panie Redaktorze ,

dziękując uprzejmie za list Pański z dn. 26.I.1968 r. L.dz.1949/67 zawiadamiam, że przyjmuję i akceptuję propozycję Pana Redaktora dot. "sprzedaży" artykułu pt. "koordynacja czy dublowanie".

Podejmując tę decyzję miałem na uwadze przede wszystkim społeczny aspekt tej sprawy, bowiem nie jest rzeczą najważniejszą w jakiej formie dotrą moje myśli do szerokiego kręgu czytelników "Polityki", lecz najistotniejsze jest aby zostały one spożytkowane zgodnie z intencją, jaką kierowałem się tworząc ten artykuł. Chodzi przecież o to aby adresaci, będący niewątpliwie czytelnikami Waszego Tygodnika, mogli poznać myśli nurtujące znakomitą większość zaangażowanych i aktywnie, choć nie zawsze skutecznie, pracujących obywateli. Niechaj więc w dowolnej formie i wybranej przez Pana Redaktora postaci udostępnione zostaną czytelnikom krytyczne uwagi, których celem jest pobudzenie kompetentnych ludzi do właściwego spojrzenia na to co się dzieje i do przedsięwzięcia odpowiednich kroków zmierzających do zasadniczych zmian form zarządzania gospodarką narodową, w imię ogólnego, a w tej liozbie Pana Redaktora i mojego interesu.

Dziękując za szszerość Pana Redaktora łączę wyrazy szacunku i poważania.

zacje i instancje partyjne częścic nie reaguja na takie czy inne uwagi krytyczne zgłaszane pod adresem członków partii. W tych warunkach członka partii, który nie wywiązuje się odpowiednio ze swoich zadań toleruje się na zajmowanym stanowisku, narażając tym samym na szwank autorytet partii". Już na drugi dzień /10 sierpnia 1968 r./ po ukazaniu się tego artykułu spotkałem się z bardzo różnymi reakcjami. Andrzej Kruczkowski z MHZ zgadzając się z tezą artykułu dowodził, że jest to stanowisko obce partii marksistowsko-leninowskiej i traci socjaldemokratyczną koncepcją budowy partii. Czynił to jednak z pozycji życzliwej względem autora. Z diametralnie innych pozycji zaatakowany zostałem przez niektórych działaczy z aparatu partyjnego, od Komitetu Dzielnicowego począwszy, a na Komitecie Centralnym skończywszy. Przypomniano mi przy tym, że pochodzę z PPS, która w roku 1948 wcielona została w skład PZPR. Przy tej okazji, zarówno w Wydziale Ekonomicznym jak Wydziale Kadr KC PZPR wygarnięto mi głoszenie rewizjonistycznych poglądów. Zaskoczony byłem znajomością moich publikacji przez wysokie "szczeble partyjne". Nie zdziwił mnie w tych warunkach fakt późniejszego negatywnego stanowiska aparatu partyjnego wobec wniosku personalnego przeniesienia mnie na eksponowane stanowisko w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

W charakterze dyrektora Departamentu Kontroli odbyłem kilka ciekawych podróży zagranicznych. Do niezapomnianych należeć będzie niewątpliwie wyjazd w roku 1967 do Wilna, gdzie wraz z ówczesnym wiceministrem Tadeuszem Olechowskim wziąłem udział w otwarciu polskiej wystawy "Siedlono w Polskę". Po raz pierwszy od roku 1939 licznie zgromadzona publiczność wileńska wysłuchiwała przy tej okazji hymnu polskiego "Jeszcze Polska nie zginęła". U wielu ludzi ukazały się łzy w oczach. Spacerując w nocy po ulicach miasta /w dzień nie mieliśmy czasu/ odnaleźliśmy dom, w którym urodził się Tadeusz Olechowski i odbyliśmy mnóstwo niezwykle ciekawych rozmów z przygodnymi przechodniami, mówiącymi w większości po polsku. Osobiście Wilna nie znałem, choć była to stolica województwa, w którym się urodziłem. Największe wrażenie wywarły na mnie kościoły, w tym św. Anny i Ostra Brama, św. Piotra i Pawła znana wileńska katedra była niestety zamknięta. Stanowiła ona siedzibę muzeum.

Ciekawe spotkanie odbyliśmy w redakcji "Czerwonego Sztandaru". Na pierwszej stronie gazety z dnia 5 sierpnia 1967 roku ukazało się zdjęcie polskich gości w towarzystwie litewskich gospodarzy z A. Adomaitisem, ministra przemysłu lekkiego. Rodzina moja mieszkająca w powiecie wilejskim dowiedziała się z gazety, że przez kilka dni bawiłem w Wilnie. Nie mogłem jednak odwiedzić rodzinnego domu, odległego ponad 100 km. Szczerze nad tym ubolewałem.

Litwini byli nader sympatycznymi gospodarzami. Prawie wszyscy, gorzej lub lepiej, mówili po polsku. Nie wszyscy jednak chcieli operować tym językiem. Zdani więc byliśmy raczej na język rosyjski, choć po kilku kieliszkach wódki z reguły wracaliśmy do polskiego.

Tymczasem działalność Departamentu Kontroli skoncentrowałem głównie na tematach dotyczących struktury towarowej i geograficznej polskiego handlu zagranicznego oraz rachunku ekonomicznego, w tym cen dewizowych, nie tracąc oczywiście z pola widzenia spraw bardziej szczegółowych, jeżeli miały one jakieś istotniejsze znaczenie i stwarzały podstawy do uogólnienia szerszych zjawisk. Tendencje panujące wśród pewnej liczny inspektorów do "łapania złodzieja" spotkały się z moją osobistą, zdecydowaną dezaprobatą, chociaż zapotrzebowanie zewnętrzne na taką działalność kontrolną rosło.

Zarówno rozmiary obrotu towarowego /poniżej 100 \$ USA na 1 mieszkańca w roku 1963 w eksporcie i tyleż w imporcie/, jak i jego struktura towarowa stanowią niewątpliwie znakomitą soczewkę, w której skupiają się wszystkie problemy gospodarcze kraju; to najbardziej syntetyczny wskaźnik obrazujący stopień rozwoju ekonomicznego. W soczewce tej załamują się wszystkie dodatnie i ujemne strony dotyczące międzynarodowej konkurencyjności gospodarki polskiej.

Oficjalnie publikowane wskaźniki brzmiały dość optymistycznie: eksport maszyn i urządzeń w latach bezpośrednio poprzedzających mój powrót do MHZ /1958-1963/ wynosił 29,1%, podczas gdy wywóz surowców i materiałów do produkcji osiągnął 42,4%, żywności 18,3%, a towarów konsumpcyjnych pochodzenia przemysłowego 10,2%.

Wskaźniki te poddałem bardziej wnikliwej analizie, z której wynikło, że struktura towarowa polskiego eksportu ma charakter zdecydowanie dziewiętnastowieczny. Stwierdzenie to dotyczy oczywiście handlu z rozwiniętymi krajami kapitalistycznymi.¹⁾ Eksport

¹⁾ używam nomenklatury stosowanej «chrestie „realnego socjalizmu”

maszyn i urządzeń do tego obszaru wyniósł w tym okresie zaledwie 2,5%, zaś towarów konsumpcyjnych pochodzenia przemysłowego 7,5%. Reszta to surowce, paliwa i żywność; 65% całości polskiego wywozu przypadało na kraje socjalistyczne zasilające się wzajemnie przestarzałą techniką i technologią.

Wiedziałem, że przedstawiając te dane ministrowi nie dokonuję żadnego odkrycia. Niemniej uczyniłem to w imię dobrze pojętego interesu państwowego. Minister tak się zachował, jak gdyby po raz pierwszy spotkał się z zagadnieniem niekorzystnej struktury polskiego handlu zagranicznego wyrażając mi za to uznanie i wdzięczność.

A teraz co do cen eksportowych. W 1964 roku zapoczątkowałem dyskretne badania ankietowe mające na celu ocenę poziomu uzyskiwanych cen dewizowych. Do badań tych udało się, dzięki pomocy biur radców handlowych i niektórych agentów wciągnąć sporą gromadkę /ponad 50/ importerów, reprezentujących różne branże. Wyniki tych badań okazały się być nader interesujące. Przede wszystkim - potwierdzono uprzednio sformułowaną przeze mnie jeszcze w Szwajcarii hipotezę, iż kraje socjalistyczne zaliczane są przez firmy kapitalistyczne do grupy "tanich" eksporterów. Odnotowano przy tym niemal 100% zgodność poglądów wśród importerów, że głównymi powodami uniemożliwiającymi uzyskanie wyższych cen były:

- a/ niezadowalająca jakość eksportowanych towarów i ich opakowanie,
- b/ nieterminowe i nierytmiczne dostawy,
- c/ niska sprawność działania aparatu handlu zagranicznego.

Końcowe uwagi odbiorców wskazywały, iż byliby oni skłonni zaakceptować podwyżkę cen i to nierzadko w granicach 5-10%, w zależności od rodzaju towaru, gdyby polscy eksporterzy zapewnili poprawę jakości /często niewielką/ towaru i zagwarantowali rytmiczność dostaw. Niewystarczająca sprawność działania aparatu handlu zagranicznego była często wymieniana jako jeden z istotnych czynników w realizacji obrotu towarowego.

Praktyczne wnioski, jakie nasuwały się z tych badań przekazywałem osobiście ministrowi Trąpczyńskiemu, który wykorzystywał je w rozmowach z najwyższymi władzami politycznymi i administracyjnymi. Szczególnie wykorzystywał on te dane w dyskusjach z Komisją Planowania i ministerstwami branżowymi. Dostarczały one niezwykle dużo

cennego materiału, służącego do oceny stanu konkurencyjności gospodarki polskiej. Nie można więc powiedzieć, aby obiektywna opinia o polskich towarach za granicą nie docierała do właściwych władz rządowych.

Celem przybliżenia charakteru i zakresu pracy kontrolnej przytoczę tylko trzy konkretne tematy, którymi szczególnie zajmowałem się w okresie swojej kadencji jako rewizora ^{resortowy.} Oto one:

Budowa portu w Famaguście na Cyprze

Już na samym wstępie trzeba przyznać, iż była to pierwsza tego rodzaju transakcja w polskim handlu zagranicznym. Dotychczas poza budową ^{przez firmy zagraniczne} portu w Gdyni w okresie międzywojennym i odbudową portów w okresie powojennym, ani nasz handel zagraniczny, ani przemysł, nie mieli na odcinku tego typu budownictwa morskiego większego doświadczenia. Fakt ten wymagał niewątpliwie wszechstronnego przygotowania się do wszelkich czynności związanych z zawarciem i realizacją ewentualnej transakcji oraz dużej dozy ostrożności w praktycznym działaniu. Tymczasem już w fazie wstępnej procesu przygotowawczego do podjęcia negocjacji wykazano dużo lekkomyślności. Oto Biuro Projektów Budownictwa Morskiego "Projmors" w Gdyni, w odpowiedzi na zapytanie Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego "Pol-service" opracowało w ciągu czterech dni ofertę na rozbudowę portu w Famaguście, określając koszt wykonania tych robót na Ł.ang. 499.434.- i zł. obieg. 20.943.000.-

W oparciu o te dane PHZ "Pol-service" przy pomocy różnych przeliczników sporządziło wstępną ofertę, uzyskało wyjątkowo szybko akceptację władz nadrzędnych i przystąpiło do czynności związanych z udziałem w ogłoszonym przez rząd cypryjski przetargu; podjęta też zostaje w tym czasie decyzja o wpłacie wadium^{1/} w wysokości Ł.ang. 25.000.- Następnie delegacja zainteresowanych jednostek gospodarczych, pod kierownictwem przedstawiciela przedsiębiorstwa handlu zagranicznego wyjechała na Cypr, gdzie dokonała na miejscu bliższego rozpoznania warunków i opracowała, kierując się danymi wyjściowymi "Projmors'u" ostateczną wersję oferty obejmującej wyspecyfikowane w ogłoszonym przetargu roboty wycenione na kwotę Ł.ang. 906.987.- i złożyła ją w dniu 30 października 1961 roku w tamtejszym Ministerstwie Finansów.

1/ Wadium stanowi formę gwarancji, iż biorący udział w przetargu zawrze kontrakt na warunkach określonych w ofercie.

Jak się później okazało opracowujący ofertę nie zapoznali się wystarczająco z miejscowymi warunkami geologicznymi. Zlekceważyli też zaopatrzeniowy rynek miejscowy, czego dowodem było m.in. przyjęcie do kalkulacji cen kamienia o 50% niższych od faktycznie później płaconych. Nie wzięto też pod uwagę zagadnień prawnych, które zawierały poważne niebezpieczeństwo dla oferenta.

Ogłoszone w dniu 3 listopada 1961 r. wyniki przetargu potwierdziły bezkonkurencyjność oferty polskiej, która była niższa o całe £.ang. 400.000.- od najniższej oferty następnej, złożonej przez firmę izraelską. Różnice cenowe między ofertą polską a pozostałymi były daleko wyższe.

Zbyt duża była różnica aby mogła się mieścić w ramach zwykłej gry konkurencyjnej. Wskazywała ona na zasadniczy błąd w założeniu tkwiący w ofercie polskiej; błąd o charakterze strategicznym.

Ponowny wyjazd delegacji na Cypr, składającej się z przedstawicieli uczestniczących w przedsięwzięciu przedsiębiorstw oraz banku nasunął delegowanym szereg wątpliwości co do korzystności wygranego przetargu i zmusił do zweryfikowania kalkulacji kosztów, z której wynikało, iż poprzednie wskaźniki transakcji uległy znacznemu odchyleniu na niekorzyść strony polskiej. Wedle nowych danych koszt własny rozbudowy portu miał wynieść £.ang. 607.000.- i zł. obieg. 24.0 mln, co przy zaoferowanej i przyjętej przez stronę cypryjską cenie £.ang. 906.987.- uznane zostało jeszcze za korzystne. Szkoda, że delegacja podporządkowała swoje postępowanie tezie utrzymania transakcji i nie sięgnęła tym samym głębiej w gąszcz warunków nie podpisanego jeszcze wówczas kontraktu. Gdyby zdobyła się ona na rzetelną kalkulację, wyjście z sytuacji pozostałoby tylko jedno. Odstąpić od kontraktu i stracić wpłacone wadium w wysokości £.ang. 25.000 /\$ USA 70 000/. Byłoby to najlepsze rozwiązanie, najbardziej korzystne ze wszystkich możliwych. Nie można było w takiej sytuacji wykluczyć ewentualnej gotowości strony cypryjskiej do przystąpienia do negocjacji nowych warunków^{1/}.

W rezultacie takiego, a nie innego rozwoju sytuacji nastąpiło w dniu 19 grudnia 1961 r. podpisanie kontraktu i strona polska

1/ Ewentualność taka mogła być brana pod uwagę po decyzji odstąpienia od podpisania kontraktu i utraty wpłaconego uprzednio wadium.

przystąpiła niezwłocznie do jego realizacji. Generalnego wykonawstwa podjęło się Przedsiębiorstwo Budownictwa Inżynieryjno-Morskiego w Gdańsku. Jeszcze w okresie przygotowawczym do tego przedsięwzięcia przygotowało ono założenia organizacyjno-techniczne i opracowało nową kalkulację kosztów, które miały już wynieść Ł.ang. 991.597.- i zł. obieg. 65.0 mln. Dokonana pod naciskiem różnych zainteresowanych ogniw weryfikacja tych obliczeń spowodowała obniżenie kosztów dewizowych do kwoty Ł.ang. 941.061.- oraz kosztów złotych do kwoty 40,0 mln.

Na przestrzeni więc zaledwie kilku miesięcy planowany koszt własny transakcji uległ zasadniczej zmianie i wynosił:

	początkowy	po uściśleniu	różnica	%
a/ w Ł.ang.	499.434	941.061	441.527	188,4
b/ w zł. obiegowych	20.943.000	40.000.000	19.057.000	191,0

Tak duże różnice w planowanym koszcie własnym transakcji nie mogły chyba uzasadnić tezy o marginesie błędu, jaki zakradł się rzekomo do kalkulacji. Na tym etapie wiadomym już było, iż pierwotne, zdecydowanie błędne założenia przyjęte zostały do kalkulacji bez żadnego uzasadnienia i że transakcja przyniesie gospodarce narodowej nieuchronne straty. Stan taki istniał jeszcze przed rozpoczęciem budowy i jak się później okazało przewidywania początkowe co do wysokości strat były nader optymistyczne. W tym samym czasie, w obawie przed ewentualnymi skutkami karno-służbowymi, podjęto szereg prób "urealnienia" kosztów, w wyniku czego jedna z komisji określiła koszt na kwotę Ł.ang. 689.000.- i zł. obieg. 50,0 mln; obliczenia te, tak samo jak wiele innych były po prostu zaniżone. Żadne zabiegi natury rachunkowej nie zmniejszyły groźby urzeczywistnienia się poważnych skutków lekkomyślności i dyletanctwa, a nawet braku dobrej woli. Wszystkie przy tym próby oddalenia efektu końcowego mogły jedynie straty powiększyć. Początkowy okres budowy charakteryzujący się zbyt małym w stosunku do potrzeb zaangażowaniem środków rzeczowych i finansowych nie wpłynął na zmniejszenie strat, lecz podziałał w kierunku odwrotnym. Kontrak-

towy termin oddania portu do eksploatacji, ustalony na koniec marca 1964 roku został przekroczony o 12 miesięcy, a jego koszt okazał się być wyższym od najśmielszych kalkulacji i wyniósł Ł.ang. 1.100.000.- i zł. obieg. ponad 105 000 000.- Ewidentne straty, jakie poniósł skarb państwa, po uwzględnieniu dodatkowo wynegocjowanych wpływów dewizowych wyniosły Ł.ang. 101.752 /\$ USA 285.000/ i zł. obieg. 105.000.000.-^{1/}.

Można było na pewno tych strat uniknąć, gdyby osoby biorące udział w podejmowaniu zasadniczych decyzji handlowych i wykonawczych były lepiej przygotowane zawodowo i poczuwały się bardziej do odpowiedzialności za to co czynią. Zabrakło też tak niezbędnej w takich przypadkach ostrożności. Nawet rząd cypryjski nie spodziewał się zapewne, że znajdzie się na świecie jakaś firma, która tak tanio i dobrze /ocena jakościowa nadzoru składającego się ze specjalistów brytyjskich/ wybuduje port, na który w preliminarzach budżetowych państwa przewidziano Ł.ang. 2.500.000.-

Można chyba żałować nie tylko strat, lecz i tego, że tak drogo zdobyte doświadczenie nie zostało wykorzystane i Polska na wiele lat wycofała się z rynku światowego jako kraj oferujący usługi w zakresie budowy i rozbudowy portów.

Eksport odbiorników radiowych do USA

Nie chodzi tu o jedną, lecz o kilka transakcji zawartych przez Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego "Universal" w Warszawie na eksport polskich odbiorników radiowych do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Wszystkie te transakcje mają wiele cech wspólnych, które pozwalają na ich uogólnienie i potraktowanie jako jednego przedsięwzięcia. Te same błędy i te same nieprawidłowości spowodowały, iż ma się do czynienia z jednolitą pod względem przyczyn i skutków transakcją, która przejdzie niewątpliwie do historii polskiego handlu zagranicznego jako przykład nie najlepiej, aby nie powiedzieć źle, świadczący o umiejętnościach naszego handlu zagranicznego.

^{1/} Ostateczną wysokość strat podano na podstawie wyroku Sądu Najwyższego z dnia 27 czerwca 1968 roku, sygn. akt. I KR 71/68.

Przed przystąpieniem do bardziej konkretnego opisania interesujących nas transakcji, warto chociaż w kilku słowach scharakteryzować rynek północno-amerykański, który w oczach przeciętnego Polaka uchodzi za rynek luksusu i przepychu. Otóż z całą pewnością jest to rynek, na którym znacznie łatwiej jest o towar niż o kupującego. Jest on przepełniony najprzeróżniejszymi towarami, od najgorszej tandety do najbardziej wykwintnego luksusu. Można tam znaleźć wszystko. Każdy klient i ten, który mieszka w luksusach pałacowych najbogatszych dzielnic Nowego Jorku i ten, który tylko co opuścił uliczny śpiwór "made in Poland" znajdą dla siebie wszystko. I jeden i drugi mogą zaspokoić w każdej chwili swoje potrzeby i to wedle możliwości swoich kieszeni. A ponieważ jest to ogromny, pod względem terytorium i liczby mieszkańców kraj, przeto każda transakcja może przybrać nie spotykane gdzie indziej rozmiary. Tam pierwsze, próbne transakcje mogą być znacznie większe, niż w jednym europejskim kraju normalne transakcje dobrze wprowadzonego od lat na rynek towaru.

Eksport odbiorników radiowych z Polski do USA datuje się od roku 1960. Pierwsze kontakty polskiego przedsiębiorstwa handlu zagranicznego z rynkiem miały na celu zbadanie w tym zakresie możliwości tamtejszego obszaru geograficznego i na tej podstawie opracowanie programu działalności eksportowej. Wspominam o tym przy innej okazji jak ważną sprawą jest wytypowanie odpowiednich firm, z którymi ma się zamiar wejść w stosunki handlowe. Otóż w tym względzie zabrakło eksporterowi nie tylko wiedzy marketingowej, ale również zwykłego rozsądku kupieckiego. To co zrobił kłóci się z podstawowymi zasadami działalności eksportowej. Dokonany przez niego wybór kilku firm, jako potencjalnych nabywców polskich odbiorników okazał się zupełnie nie trafny. Każdy z kandydatów albo nie był w ogóle przygotowany do tej działalności, albo był już zaangażowany w interesach handlowych z innymi firmami konkurującymi w tej branży. W tych warunkach nie mogło być mowy o jakimkolwiek powodzeniu.

Po kilku niewielkich i zupełnie nieudanych transakcjach "Universal" związał się z firmą "5-Continents", uważając, iż firma ta w sposób prawidłowy zabezpieczy import i dystrybucję polskich odbiorników radiowych na rynku USA. Analiza wstępnej fazy współ-

pracy naszego eksportera z tą firmą nie pozwala na udzielenie rzeczowej odpowiedzi na pytanie czym się kierował "Universal" wiążąc się umową z firmą "5-Continents" i udzielając jej prawa wyłączności. Poza rzeczywiście imponującą nazwą, firma ta niczego więcej nie reprezentowała. Jak wynika z odpowiednich dokumentów założona została w roku 1960, o kapitale \$ USA 100.000.- przy czym był to kapitał raczej na papierze niż w rzeczywistości, rachunek bankowy firmy z reguły nie przekraczał kwoty czterocyfrowej. Jeden z trzech współwłaścicieli firmy a zarazem jej prezes na szeroką skalę prowadził reklamę o posiadaniu 70 filii na terenie USA, w rzeczywistości zaś ta "światowa" firma "5-Continents" nie posiadała ani lokalu biurowego, ani żadnego personelu, zaś wszystkie czynności handlowe prowadził jej prezes z własnego mieszkania, położonego w osiedlu domków fińskich, oddalonym o kilkanaście kilometrów od dużego miasta.

Współwłaściciel, o którym mowa, próbował wiązać się kolejno z różnymi firmami, które by mogły ewentualnie sfinansować import radioodbiorników z Polski. Wszedł on m.in. w związek z przedsiębiorcą handlowym, który miał mu zapewnić kredytowanie tego importu, a następnie stał się skromnym pracownikiem tego przedsiębiorcy. Tymczasem, eksporter nasz dalej traktował go jako prezesa firmy "5-Continents" i prowadził z nim intensywne rozmowy handlowe.

Zawarta w roku 1961 umowa zapewniała firmie "5-Continents" wyłączność sprzedaży radioodbiorników, a w przyszłości również i magnetofonów na terenie określonych stanów USA. Ponadto zapewniono firmie wyłączne przedstawicielstwo na terenie całego terytorium USA i Kanady w odniesieniu do wszystkich wyrobów, wprowadzonych przez "Universal" do produkcji w przemyśle polskim, według sugestii firmy "5-Continents". Inne warunki umowy postanawiały m.in. że do końca 1961 roku firma zakupi ponad 8 000 szt. odbiorników radiowych, wartości \$ USA 250.000.-

Realizacja dostaw odbiorników do USA ujawniła wszystkie ujemne cechy odbiorcy i słabości poszczególnych postanowień zawartej z nim umowy. Pierwsza partia towaru w ilości 1160 szt. odbiorników dostarczona została jeszcze w roku 1961, drugą zaś w ilości 2000 szt wysłano w roku następnym. Pomimo nie wywiązania się odbiorcy z zobowiązań kontraktowych, jeśli chodzi o bieżące regulowanie za-

płaty za towar, "Universal" wysłał jeszcze kilka dalszych partii odbiorników, godząc się jednocześnie na zmianę warunków płatności z akredytywy na inkaso dokumentowe z 20% zaliczką. W rezultacie takiego postępowania na terenie USA znalazło się 5.500 szt. odbiorników, bez żadnych perspektyw otrzymania za nie zapłaty. Odbiorca tymczasem zastosował wobec polskiego dostawcy szantaż i zażądał różnego rodzaju ustępstw aż do zwrotu wpłaconej uprzednio zaliczki, w wysokości \$ USA 12.000 - włącznie.

Lekkomyślne postępowanie "Universalu" dostarczyło firmie "5-Continents" całego szeregu argumentów, część których posłużyła nawet do uzyskania aresztu sądowego na całą wymienioną wyżej partię towaru. W tej sytuacji nie pozostało nic innego jak tylko wyrażenie zgody na upłynnienie towaru przy pomocy najprzeróżniejszych upustów i rabatów, lub nawet bezpłatnie.

Straty na całej operacji /1960-1964 r./ wyniosły \$ USA 69.166,36 i zł. obiegowych 450.810,50^{1/}. Nie obejmują one oczywiście strat spowodowanych zmniejszonymi wpływami dewizowymi w latach następnych, jako logicznych następstw handlowych nieodpowiedzialnego zawarcia kontraktu i skandalicznego przebiegu jego realizacji.

Częściowego usprawiedliwienia "Universalu" można z całą pewnością szukać w zakładach produkcyjnych, które te odbiorniki wyprodukowały i przygotowały do wysyłki. Reklamacje jakościowe, jakie przez cały czas towarzyszyły transakcji nie mogą być zwalane wyłącznie na karb nieuczciwości firmy importerskiej. Coś w tym było. Dowodzą zresztą tego liczne oględziny towaru a nawet fachowa ingerencja ekspertów. Gdyby jednak miało się do czynienia z firmą solidną wszystkie nieporozumienia wynikające z niewłaściwych sformułowań kontraktu a także spory na tle jakości dostarczonego towaru znalazłyby z całą pewnością kupieckie rozwiązanie.

Tak więc na konto "Universal'u" trzeba zapisać całe zło, jakie powstało w wyniku tej transakcji. A to głównie dlatego, że to "Universal", a nie kto inny wyszukał firmę w USA, zawarł z nią ułomną umowę, lekkomyślnie wysłał kolejne partie towaru, bez perspektyw otrzymania zapłaty. A jeżeli towar był istotnie

^{1/} Wysokość strat podano na podstawie wyroku Sądu Wojewódzkiego dla m.st. Warszawy z dnia 3 października 1967 roku. Sygn. akt. IV.K. 19/67.

niewłaściwej jakości, to "Universal" dysponował pełnymi możliwościami poddania go obiektywnej kontroli i wstrzymania wysyłki w razie jakichkolwiek odchyłeń od ustaleń kontraktowych.

Import kauczuku naturalnego z Nigerii

Gdyby prześledzić historię powojennego rozwoju importu kauczuku naturalnego, zauważylibyśmy jak z upływem czasu i zwiększającym się zapotrzebowaniem naszej gospodarki na ten towar, rozszerzano źródła zakupów, aby coraz głębiej i dalej sięgać do ośrodków handlu, zlokalizowanych w centralach plantacji i wstępnej obróbki tego cennego surowca. Stosownie do ogólnych założeń polityki handlowej importer kauczuku, Centrala Handlu Zagranicznego "Ciech" postanowiła w roku 1961 rozszerzyć dotychczasowe źródła zakupu i w tym celu wysłała swoją delegację do Nigerii z zadaniem dokonania zakupu niewielkich, jak na razie ilości, tego towaru. Rynek nigeryjski nie był "Ciechowi" dobrze znany. Kontakty innych polskich przedsiębiorstw handlu zagranicznego z firmami nigeryjskimi były również bardzo luźne i sporadyczne. Nie było więc możliwości zasięgnąć przysłowiowego języka u sąsiadów, którzy mieliby większe w tych sprawach doświadczenie. Ten stan rzeczy wymagał od wyjeżdżających wszechstronnego i rzetelnego przygotowania się do misji, jaką mieli spełnić, a nade wszystko dużej ostrożności kupieckiej w postępowaniu praktycznym. Szczególnie trzeba było zasięgnąć informacji co do właściwości towaru, będącego przedmiotem obrotu na rynku oraz firm, z którymi można było wejść w stosunki handlowe. Niezależnie od wyników takich konsultacji każdy zakup kauczuku w tych warunkach, nie mógł być inaczej traktowany jak tylko próbny. Przesądzało to o ilości towaru, która na pierwszy rzut mogła być kupiona.

Tymczasem delegaci w czasie miesięcznego pobytu dokonali kontraktacji 530 ton kauczuku, w sześciu firmach, wartości Ł.ang. 100.000.- Z ogólnej liczby dostawców jedynie jedna firma mogła być zakwalifikowana do znanych eksporterów kauczuku; pozostałe były zupełnie nikomu nieznanne. Mimo to kupujący wyrazili zgodę na zamieszczenie w kontraktach klauzuli gwarantującej płatność 95% i 100% wartości kontraktowej towaru, drogą nieodwołalnej i potwier-

dzonej akredytywy^{1/}. Nie nastąpiło przy tym żadne zabezpieczenie jakości towaru, gdyż w kontraktach nie przewidziano przedwysyłkowego badania towaru, chociaż delegaci zdawali sobie doskonale sprawę z tego, iż kwestia jakości kauczuku naturalnego należy do sprawy najwyższej rangi.

Taki stan rzeczy umożliwił dostawcom załadowanie na statki towaru o zdecydowanie gorszej jakości niż określono w kontraktach i zainkasowanie należności poprzez zrealizowanie akredytyw, otwartych przez "Ciech" zgodnie z warunkami kupna-sprzedaży. Wstępna ocena specjalistów, którzy zbadali w porcie polskim pierwszą partię towaru brzmiała, iż był to kauczuk surowy, należący do grupy tak zwanych "slaps", sprzedawany zazwyczaj jako surowiec do wyrobu najgorszych gatunków produktów, przy czym towar nadszedł częściowo zgniły, wydzielający przykry odór, charakterystyczny dla rozkładu białka. Był on ponadto zanieczyszczony piaskiem, mułem, gliną, kawałkami drewna itp. Okazało się, że nadesłany i zapłacony z góry towar nie był tym towarem, który został zakupiony; powinien być postawiony do dyspozycji dostawcom. Nie było jednak takich możliwości.

Późniejsze badania laboratoryjne potwierdziły wstępne orzeczenie specjalistów. Między innymi laboratorium firmy kontrolnej "Cargo Superintendents" w Londynie stwierdziło, że "dostawca nie robił nawet usiłowań, aby dostarczyć kauczuk odpowiadający gatunkowi RSS-3", który to gatunek został zakupiony i figurował w kontraktach. Na ogół była zgodna opinia co do tego, iż jest to towar reprezentujący 40% niższą wartość niż przewidziano w umowach. "Ciech" formalnie zareklamował jakość 273 ton, tyle bowiem towaru nadeszło do kraju. Pozostała zakupiona ilość została wstrzymana i nie dopuszczona do załadunku. Reklamacje naszego importera nie zostały oczywiście załatwione, albowiem dostawcami okazały się być firmy niesolidne, a część z nich należała nawet do profesjonalnych oszustów.

^{1/} Tego rodzaju klauzula umożliwia dostawcy podjęcie pieniędzy w banku, po załadowaniu towaru na statek i przedstawieniu wymaganych kontraktów dokumentów.

W tej sytuacji towar nie mógł być skierowany do odbiorców, dla których był planowo zakupiony. Musiał więc być upłynniony w kraju różnym innym producentom, posiadającym możliwość przerobienia zdyskwalifikowanego surowca. Straty z tego tytułu, według ścisłych obliczeń ekspertów wyniosły Łang. 19.500.- /\$ USA 54.600/ w wolnych dewizach i zł. 215.000.- w walucie krajowej^{1/}. Byłyby one jeszcze wyższe gdyby nie wstrzymano dostaw dalszych partii towaru, które były już przygotowane do wysyłki i oczekiwały w porcie nigeryjskim na nadejście statków.

Kadencja moja rewizora resortowego dobiegała powoli końca. Wskazywały na to warunki wewnętrzne i zewnętrzne. Minister W. Trąpczyński przeniesiony został w końcu 1968 roku do Komisji Planowania przy Radzie Ministrów na stanowisko pierwszego zastępcy przewodniczącego, a na jego miejsce został powołany Janusz Burakiewicz. Z nowym Ministrem nie miałem od początku najlepszych układów; pracowaliśmy obaj na różnej długości fal. Wyraźne sprzeczności zarysowały się między nami jeszcze w okresie, w którym nowy szef był dyrektorem Gabinetu Wicepremiera T. Gedego, ~~na następnia~~ nie mówiąc o okresie kiedy pełnił on funkcję podsekretarza Stanu w MHZ. Mieliśmy zdecydowanie inne podejście do wielu podstawowych spraw organizacyjnych i personalnych. Oportunizm min. Burakiewicza przekraczał wszelkie granice serwilizmu.

Na zewnątrz resortu górę brały siły dogmatyczno centralistyczne. Jakikolwiek tendencje idące w kierunku rozluźnienia systemu nakazowo-rozdzielczego traktowane były jako zamach na socjalizm. Tak jak przed wojną na Wileńszczyźnie etykietka bolszewika spychała każdego dotkniętego tym epitetem na margines, tak teraz podejrzanie kogoś o rewizjonizm gospodarczy dyskwalifikowało go jako obywatela socjalistycznego państwa.

W czasie jednego ze spotkań zorganizowanych w roku 1968 przez Komitet Dzielnicowy PZPR Warszawa-Sródmieście musiałem długo bronić się przed niewybrednymi atakami redaktora Włodzimierza Łozińskiego z Trybuny Ludu, który zarzucił MHZ-owi rewizjonizm. Z polemiki tej wyszedłem zwycięsko, pomimo zachwianego na moją niekorzyść parytetu dyskutantów.

^{1/} Dane Ministerstwa Handlu Zagranicznego w Warszawie.

W drugiej połowie roku 1969 losy moje zostały definitywnie rozstrzygnięte, przynajmniej na najbliższe kilka lat. Postanowiono mianowicie, że wyjadę do Wiednia w charakterze radcy handlowego. Było to zupełnie niezłe rozwiązanie, aczkolwiek na tle pierwotnych koncepcji wysłania mnie jako ambasadora do jednego z krajów Europy Zachodniej było alternatywą znacznie skromniejszą. Na zwolnione przeze mnie miejsce dyrektora departamentu w MHZ mianowany został mój kolega i przyjaciel Zdzisław Regulski, który jednak po kilku miesiącach urzędowania wyjechał w charakterze ambasadora PRL do Japonii.

4. Nad Dunajem

Do Austrii wyjechałem 19 stycznia 1970 roku. Na peronie wiedeńskiego Ostbahnhof spotkał mnie dotychczasowy szef polskiej placówki handlowej Antoni Poniatowski, wraz ze swymi najbliższymi współpracownikami. Stolica Austrii była tej zimy wyjątkowo zasypana śniegiem. Jazda po ulicach miasta była bardzo utrudniona. Najpierw udaliśmy się do hotelu "Carlton" przy Widner Hauptstrasse, w którym zamieszkałem do chwili wyjazdu poprzednika do Warszawy, a następnie pojechałem do BRH przy ul. Prinza Eugena, naprzeciw Belwederu, aby poznać biuro i swoich nowych współpracowników. Jeśli chodzi o biuro, to najbardziej mi się rzuciły w oczy brudne ściany i mocno zakurzone firanki. Toteż, nie tracąc czasu spowodowałem niemal natychmiast wynajęcie ekipy malarzy, która zajęła się doprowadzeniem do jako takiego wyglądu biura i oddanie firanek do prania. Po tych niewiele kosztujących zabiegach biuro nabrało względnie przyzwoitego wyglądu.

Następnie pojechałem do Ambasady PRL aby przedstawić się ambasadorowi, którym był doświadczony dyplomata oraz mądry człowiek, Leszek Wojtyga. Poznałem też najbliższych współpracowników ambasadora. Pokonując pierwszy raz przestrzeń między Ambasadą /XIII dzielnica/ i BRH /IV dzielnica/ - kilkanaście kilometrów, zastanawiałem się, czy to dobrze czy źle, że jest tak daleko. Opuszczając po kilku latach Wiedeń, takich wątpliwości już nie miałem.

Pierwsze trzy tygodnie to głównie wizyty i przyjęcia, które zaliczałem wspólnie ze swoim poprzednikiem. On żegnał się, a ja się witałem. Po odwiedzeniu kilku ministrów, prezesów ważniejszych banków oraz całego szeregu placówek dyplomatycznych, przystąpiłem, tym razem już sam, do wizytacji większych firm przemysłowych i handlowych, z którymi polskie przedsiębiorstwa handlu zagranicznego utrzymywały bliskie stosunki handlowe. Zajęć było bardzo dużo, codziennie od rana do późnej nocy. Wiele firm posiadało swoje siedziby poza Wiedniem. Miałem więc okazję, i to od samego początku kadencji, poznać Austrię niejako od wewnątrz, nie tylko od strony stolicy i miast będących stolicami krajów związkowych, lecz od miasteczek i osiedli znajdujących się w najdalszych zakątkach kraju. Nie ograniczyłem się oczywiście do odwiedzin instytucji i przedsiębiorstw przemysłowo-handlowych, lecz objąłem nimi, w miarę możliwości czasowych, niektóre ciekawsze obiekty kulturalno-oświatowe, w tym co bardziej znaczące muzea. Zaliczyłem kilka szkół wyższych i średnich, aby uzyskać pewne kwantum wiedzy o systemie edukacji narodowej. Odwiedziłem nawet grób króla polskiego, Bolesława Śmiałego, zmarłego w 1081 roku, który wedle niezbyt wiarygodnych danych pochowany został w Ossiach w Karyntii.

W ten sposób stworzyłem sobie zupełnie niezły obraz o dniu dzisiejszym Austrii, który w połączeniu z wiedzą teoretyczną, przyswojoną w okresie przedwyjazdowym, czynił ze mnie przeciętnego znawcę kraju urzędowania w ogóle, a jego historii i geografii w szczególności. Nie można było zużytego na ten cel czasu uznać za stracony, jak to traktowali niektórzy moi koledzy, częściej zmieniający barwy klubów dyplomatycznych niż ja.

Austria okazała się być krajem niezwykle atrakcyjnym pod każdym względem, również jeśli chodzi o odległość między stolicami obu krajów. W ciągu jednego dnia można było na przykład polecieć z Wiednia do Warszawy /55 min/, tam odbyć kilkugodzinne spotkanie służbowe i wrócić tego samego dnia z powrotem, a nawet zdążyć jeszcze pójść wieczorem do teatru lub na kolację do Sachera^{1/}. W czasie swojego pobytu nad Dunajem musiałem dwukrotnie takie ćwiczenia osobiście wykonać.

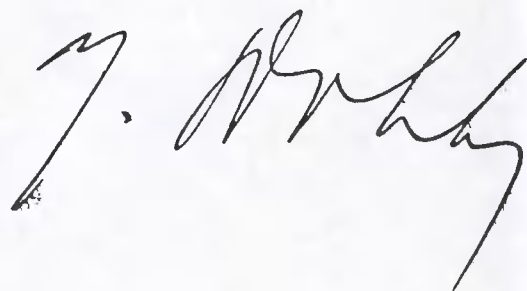
^{1/} Najbardziej znany i ceniony hotel w Wiedniu.

Obywatel

Stanisław LESZKOWICZ

w m i e j s c u

Na wniosek Ministra Handlu Zagranicznego
mianuję Obywatela z dniem 1 stycznia 1970 roku
Radcą Handlowym Ambasady PRL w Wiedniu.



Nie dla wszystkich Polaków Austria jest krajem bliskim i powszechnie dostępnym. Nadal jest ogromna liczba Polaków, którzy nigdy tam nie byli, nie wiadomo czy i kiedy będą i niewiele o nim wiedzą. Nie tylko zresztą dla nich chcę przeznaczyć garść informacji ogólniejszych o tym naszym, jak się wyraził Bruno Kreisky, pośrednim sąsiedzie.

Austria leży w środkowej Europie, w strefie klimatu umiarkowanego, choć jej górzysty charakter /70% powierzchni zajmują góry/ ma wpływ na duże zróżnicowanie temperatury, oraz bardzo różną ilość opadów w poszczególnych rejonach kraju. Zajmuje 84 tys. km kwadratowych powierzchni i liczy 7,5 mln mieszkańców. W jej skład wchodzi 9 krajów związkowych: Dolna Austria, Górna Austria, Burgenland, Karyntia, Salzburg, Styria, Tyrol, Vorarlberg i Wiedeń. Cały kraj położony jest w zasadzie w dorzeczu Dunaju, do którego wpadają Inn, Trann, Aniza, Drawa i Mura. Z większych jezior trzeba wymienić Nezyderskie, Atter i Bodeńskie /część/. Niezwykle urozmaicony krajobraz uczynił republikę alpejską bardzo atrakcyjnym krajem pod względem turystycznym.

W dzisiejszym swoim kształcie politycznym kraj ten istnieje od 12 listopada 1918 roku. Wtedy to, po rozpadzie monarchii habsburskiej powstała Republika Oesterreich. Zanim jednak do tego doszło minęły wieki. Oto kilka ciekawych wydarzeń stanowiących słupy graniczne znaczące różne epoki w rozwoju austriackiej państwowości.

Tuż przed narodzeniem Chrystusa przybyli tu Rzymianie, po których po dzień dzisiejszy można jeszcze oglądać różne ciekawe obiekty. Nie trzeba daleko wyjeżdżać poza Wiedeń aby móc na własne oczy podziwiać materialne ślady ich obecności /Carnuntum, Lauriacum, Virunum/. Od IV wieku Austria znalazła się na szlaku wędrówki ludów, a od VI wieku zaczęli tu się mieszać słowianie i bawarczycy. Na początku IX wieku Karol Wielki utworzył Marchię Wschodnią czyli Ostmark, opanowaną w roku 907 przez Madziarów, zajętą z kolei w roku 955 przez Ottona I.

W latach 976-1246 Austria pozostawała pod panowaniem Babenbergów. W okresie tak zwanego wielkiego bezkrólewia w Niemczech, co miało miejsce po wygaśnięciu dynastii Babenbergów, przybyli tu ze swymi siłami królowie czescy Wacław I, a następnie Przemysł Ottokar II,

który zmuszony został ustąpić w roku 1276 pod naporem Rudolfa I Habsburga. Odtąd Austria stała się potęgą pozostającą pod panowaniem dynastii Habsburgów, do której wcielano coraz to nowe prowincje. I tak w roku 1335 przyłączono Karyntię i Krainę, w roku 1363 Tyrol, w roku 1368 Bryzgowię, a w roku 1382 Triest. Od roku 1438 Habsburgowie piastowali godność cesarzy rzymskich, co Austrii dodawało wiele prestiżu i uznania. Stan ten przetrwał aż do roku 1806. Następnie wskutek zbiegu różnych okoliczności Austria została złączona unią personalną z Czechami i Węgrami, choć o ten ostatni kraj trzeba było długo i ciężko walczyć z Turkami.

W dobie reformacji Habsburgowie umocnili absolutyzm, który przysłużył się niewątpliwie do przetrwania katolicyzmu. W rezultacie wojen opanowali oni na pewien czas Belgię, Mediolan oraz Neapol i rozszerzyli w ten sposób znacznie stan swego posiadania w Europie.

Nas Polaków najbardziej interesuje okres rozbiorów i stosunek Austrii do naszego kraju w tym czasie. Otóż w wyniku I rozbioru w 1772 roku Austria zagarnęła południową część Rzeczypospolitej, bez Krakowa, nadając tym ziemiom nazwę Galicji i Lodomerii. W rezultacie natomiast III rozbioru przyłączyła do siebie tereny położone między Bugiem a Pilicą i Wisłą oraz Kraków, nazywając świeżą zdobycz Nową Galicją. Nie ma chyba Polaka, a na pewno nie ma takiego Austriaka, którym byłoby obce imię Marii Teresy, panującej w okresie lat 1740-1780 oraz jej syna Józefa II. To oni przeszli do historii jako twórcy epoki oświeconego absolutyzmu, szczególnie zaś jako autorzy reform józefińskich. Pełno ich pomników i obrazów w dzisiejszej Austrii; dla Austriaków obiekty dumy, dla Polaków powody zadumy. Często trzeba było podczas pobytu w Austrii brać udział w ożywionych dyskusjach na temat tej epoki i tych postaci.

Na przełomie XVIII i XIX wieku Austria utraciła szereg wcześniej podbitych ziem. W rezultacie kampanii napoleońskiej odeszły na rzecz Księstwa Warszawskiego ziemie polskie zagarnięte w wyniku trzeciego rozbioru. Okręg tarnopolski zajęła Rosja. W roku 1806 Franciszek I utracił godność cesarza rzymskiego. Nie bez udziału sprytnego ministra spraw zagranicznych Klemensa Lothara Wenzla von Metternicha, późniejszego, powszechnie znienawidzonego przez narody ujarzmione, kanclerza doszło do małżeństwa Napoleona z Marią Ludwiką

córką Franciszka I, po czym Austria stanęła po stronie Francji. Zbliżenie to nie trwało jednak długo. Sprzeczności interesów znowu doprowadziły do rozejścia się dróg między obu krajami.

W rezultacie Kongresu Wiedeńskiego /1815/ Austria ponownie odzyskała swoją potęgę w Europie. Kraków został przekształcony w Republikę Krakowską. Kanclerz /od 1821 r./ Metternich, zwolennik władzy absolutnej, wystąpił przeciwko jakimkolwiek ruchom narodowościowym. Po roku 1830 zlikwidowano Republikę Krakowską i Kraków znowu włączony został do Austrii. Rządy twardej ręki potęgowały niezadowolenie narodów uciśnionych. W roku 1848 następuje upadek Metternicha i ogłoszenie konstytucji. Powstaje Mediolan i Wenecja. Buntują się Węgrzy. Krwawo stłumione zostają zrywy powstańcze w Krakowie i Pradze. Przegrana wojna z Sardynią i Francją a także z Prusami i Włochami osłabiają Austrię i zmuszają ją do zmiany polityki. W roku 1867 zawarto ugodę z Węgrami i przekształcono państwo w monarchię Austro-Węgierską. Do części austriackiej weszła Austria Górna, Austria Dolna, Karyntia, Styria, Kraina, Tyrol, Vorarlberg, Salzburg, Gorycja, Gradiska, Triest, Istria, Dalmacja, Czechy, Morawy, Śląsk, Galicja i Lodomeria oraz Bukowina. Poszczególne kraje nadano znaczną samodzielność z własnymi samorządami i parlamentami. Najszerszy zakres uprawnień otrzymała w roku 1868 Galicja, co umożliwiło szybki wzrost żywiołu polskiego.

Pierwsza wojna światowa doprowadziła do kompletnego rozpadu monarchii austro-węgierskiej. Na porządku dziennym stanęło brutalne pytanie: co dalej? Tymczasowe Zgromadzenie Narodowe na swym pierwszym posiedzeniu odbytym w Wiedniu w dniu 12 listopada 1918 roku proklamowało Republikę Austrii, w której rządy objęła partia socjaldemokratyczna, z Karlem Rennerem na czele. Mało kto wie, że na tym samym posiedzeniu, pod wpływem powszechnego szoku z powodu rozpadu monarchii, uchwalona została deklaracja wyrażająca jednomyślne życzenie połączenia Austrii z Niemcami. Był to swego rodzaju wniosek o Anschluss, za którym głosowali również komuniści. Złośliwi mogliby dziś powiedzieć, że został on uwzględniony i zrealizowany z dwudziestoletnim opóźnieniem.

W tym czasie nie było w Europie sprzyjającej atmosfery na przyłączenie Austrii do Niemiec. Rzecznikiem ówczesnych tendencji europejskich w tym zakresie był niewątpliwie premier Francji

Georges Clemenceau, główny architekt układu wersalskiego, który miał rzekomo powiedzieć, że Austrię warto stworzyć, chociażby tylko po to, aby było o 7 mln mniej Niemców.

Historia Austrii międzywojennej jest już bardziej w Polsce znana. Kilka wydarzeń warto jednak przytoczyć. Dnia 15.VII.1927 roku zostają krwawo stłumione demonstracje robotnicze w Wiedniu. Rozszerzający się ruch nacjonalistyczny dąży do przyłączenia Austrii do Niemiec. W roku 1932 na czele rządu silnej ręki staje przywódca partii chrześcijańsko-społecznej E. Dollfuss, szukający oparcia we Włoszech. Nakazuje on /1933 r./ delegalizację partii komunistycznej. W lipcu 1934 roku bojówki faszystowskie mordują E. Dollfussa, na którego miejsce powołany zostaje jego towarzysz partyjny K. Schuschnigg, który szybko wypowiedział układ zawarty w Saint Germain i wprowadził powszechną służbę wojskową. Dnia 11 lipca 1936 roku podpisany zostaje niekorzystny dla Austrii układ z Niemcami hitlerowskimi, a w lutym 1938 roku do rządu wchodzi narodowi socjaliści z A. Seyss-Inquartem, jako wicekanclerzem. W marcu 1938 roku wojska niemieckie wkraczają do Austrii, K. Schuschnigg rezygnuje z funkcji kanclerza, następuje Anschluss. Kilka dni później mój nauczyciel geografii Wł. Alisiewicz polecił mi zamalować Austrię na szkolnej mapie politycznej Europy kolorem Niemiec. Państwo przestało istnieć. Nie mogło mi się wtedy nawet śnić, że kiedyś w swoim życiu tak szczegółowo będę zajmował się tym krajem. Nie mogłem też przewidzieć, że akurat pięćdziesiąt lat później 11 marca 1988 roku będę przebywał służbowo w Wiedniu i dane mi będzie z bliska obserwować uroczystości związane z okrągłą rocznicą Anschlussu. Nie było wielkiej pompy. Niejako obok uroczystości oficjalnych organizowanych przy drzwiach zamkniętych z udziałem prezydenta Republiki Kurta Waldheima i kanclerza Franza Vranitzkiego odbyło się dość spore i jedyne chyba w całej Austrii zebranie mieszkańców Wiednia /około 20 tys. obecnych przed Ratuszem/, na którym przemówił m.in. prof. Viktor Frankl, urodzony Wiedeńczyk, psychiatra, który przeżył obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Prasa wiedeńska wyeksponowała następnego dnia z tego przemówienia jedno zdanie, a mianowicie, że "nie ma zbiorowej winy" za to wszystko, co w Austrii się stało. "Die Presse" z dnia 12/13 marca 1988 roku przypomina: "zamordowano 65000 bezbronnych Żydów, 33000 Austriaków straciło życie w więzieniach Gestapo i obozach koncentracyjnych, 2700 ludzi stracono z mocy wyroków sądowych,

25000 cywilnych ofiar pochłonęły bombardowania, 380000 żołnierzy nie wróciło z wojny". Komentator wiedeńskiego dziennika "Kurier" Erwin J. Frasl pisze w dniu 12 marca 1988 roku /nr 72/: "Ponowna konfrontacja, po wielu latach z okropnościami wojny jest szokiem; szokiem, który przez wielu ludzi musi być przewyciężony".

Austria pod zarządem Niemiec hitlerowskich to rozdział sam dla siebie. Nie wszystkie sprawy zostały już do końca wyjaśnione. Na pewno będziemy jeszcze świadkami różnych, nie znanych dotąd odkryć. W każdym razie patrioci austriaccy nigdy nie zrezygnowali z suwerenności i niepodległości swego kraju. To za ich sprawą przedstawiciele ZSRR, USA i W. Brytanii uchwalili w dniu 1 listopada 1943 w Moskwie deklarację o niezawisłości Austrii, po pokonaniu Niemiec. W ten sposób Austria została uznana za pierwszą ofiarę Niemiec hitlerowskich. Nie prosta była też jej historia powojenna. Po wielu perypetiach, w rezultacie różnych zabiegów dyplomatycznych doszło wreszcie do podpisania w dniu 15 maja 1955 roku w Wiedniu układu pokojowego z czterema mocarstwami przyznającym Austrii pełną samodzielność i nadającym jej statut kraju neutralnego.

Szybko stała się ona krajem wysoko rozwiniętym pod względem gospodarczym, choć nie jest bogata w surowce. W roku 1973 wydobyto 3,6 mln ton węgla brunatnego, 4,2 mln ton rud żelaza, 372 tys. ton rud cynku i ołowiu, 204 tys. ton rudy miedzi, 2,6 mln ton ropy naftowej i 2,3 mld metrów sześciennych gazu ziemnego.

Dochód narodowy na jednego mieszkańca osiągnął w roku 1973 72.300 szylingów /1 dol. USA notowany był w dniu 30.VII.1974 roku 18,20 szylinga/ i wyniósł łącznie 546,3 mld szylingów. Gospodarka narodowa zatrudniała w tym samym roku 2.600 tys. osób, w tym 250 tys. cudzoziemców. 45% produkcji przemysłu, rolnictwa i leśnictwa przeznaczono na eksport. Sprzedano za granicę towarów za kwotę 101,9 mld szylingów, zaś kupiono za 137,8 mld szylingów; ujemne saldo bilansu handlowego /zjawisko strukturalne/ wyniosło 36,2 mld szylingów. Na taki rozwój i stan gospodarczy Austrii złożyły się bardzo różne czynniki. Wydaje się, że najtrafniej to ujął prof. F. Nemschak, kierownik Instytutu Badań Ekonomicznych w Wiedniu, który z okazji dziesiątej rocznicy zakończenia wojny tak oto charakteryzował czynniki wzrostu ekonomicznego swego kraju: "Jeżeli dziesięć lat po wojnie uświadomimy sobie fakt wyjścia gospodarki

austriackiej z chaosu i biedy i wkroczenie jej w okres niespotykanej dotychczas, wysokiej koniunktury nie możemy zapomnieć, że ten "cud" odnowy i siły zawdzięczamy nie tylko pracowitości i ofiarności naszego społeczeństwa, jego wytrwałości i cierpliwości, nie tylko gotowości odpowiedzialnych partii oraz przedstawicieli poszczególnych ugrupowań do współpracy, lecz również, w ogromnej mierze, pomocy zagranicznej". Cytat ten zamieściłem w artykule "Współpraca gospodarcza między Polską a Austrią", opublikowanym w miesięczniku "Sprawy międzynarodowe" 1973, Nr 2.

Pierwsze miejsce w handlu zagranicznym zajmuje Republika Federalna Niemiec, następnie Szwajcaria, Włochy i W. Brytania. Polska znajduje się na 13 pozycji. Nasz kraj należał do pięciu pierwszych państw, z którymi w roku 1946 Austria zawarła umowy handlowe. Przeprowadzona przeze mnie analiza stanu traktatowego stosunków polsko-austriackich doprowadziła do jednoznacznego wniosku, a mianowicie do potrzeby usunięcia hamulców jakie stanęły na przeszkodzie w rozwoju wymiany towarowej między obu krajami. Chodziło głównie o rozliczenia międzypaństwowe i liberalizację obrotów. Walczyłem o to na dwa fronty. Musiałem po pierwsze przekonać stronę polską, a po drugie namówić do tego odpowiednie agendy rządu austrackiego. Trzeba było doprowadzić do jednolitego i zgodnego stanowiska obie strony, a "najgorszy przecież w tym ambaras, aby dwoje chciało na raz". Obok działań urzędowych rozwinąłem wokół tych tematów szeroką kampanię prasową, szczególnie w austriackich środkach masowego przekazu.

Próbkę takiej działalności przedstawiam w oryginalnym brzmieniu, na następnej stronie. W wypowiedzi tej wyeksponowałem trzy warunki dalszego rozwoju handlu Polski z Austrią:

- "1. Większą swobodę towarową, innymi słowy, dalszą liberalizację austriackiego importu z Polski.
2. Uproszczenie skomplikowanego clearingowego systemu rozliczeń międzypaństwowych i przejście do nowoczesnych metod rozrachunku wolnodewizowego.
3. Zwiększenie zainteresowania przebudową tradycyjnej struktury towarowej, dostosowując ją bardziej do możliwości polskiej i potrzeb austriackiej gospodarki".

ÖSTERREICH - POLEN

1970 NR 3, WIEN



Stanislaw Leszkowicz, Handelsrat der Botschaft der Volksrepublik Polen in Österreich.

Wirtschaftsfachmann mit langjähriger Praxis im Bankwesen, seit Jahren in leitenden Stellungen im Außenhandelsministerium tätig, u. a. Handelsattaché in der Schweiz, zuletzt Sektionschef im Außenhandelsministerium.

Befragt über die Perspektiven der Wirtschaftsbeziehungen, sagte Herr Handelsrat Leszkowicz, daß der Handel zwischen der Volksrepublik Polen und Österreich eine Reihe charakteristischer Merkmale besitzt, die Chancen für eine weitere günstige Entwicklung des Warenaustausches erkennen lassen. Charakteristische Elemente dafür sind:

1. Die herrschende günstige politische Atmosphäre und die Notwendigkeit einer weiteren Intensivierung des gegenseitigen Warenumsatzes.

2. Das bisherige Ausmaß des gegenseitigen Importes und Exportes, sowie deren ständige anwachsende Tendenz.

3. Die Richtungen und das wirtschaftliche Entwicklungstempo beider Länder und die sich daraus ergebenden Möglichkeiten der Einwirkungen der einzelnen Partner auf diesen Bereich.

Die Bedeutung des für Polen schon entwickelten Marktes und des polnischen für Österreich.

Es ist klar, daß diese Elemente allein automatisch ohne gegenseitige Zusammenarbeit nicht genügen würden, um ein weiteres Ansteigen des Handels zwischen Polen und Österreich herbeizuführen. Im Handel bedarf es wohl mehr als auf einem anderen Gebiet koordinierter Bemühungen beider Seiten, umso mehr da die Perspektiven dieses Handels nicht nur Aufgaben bezüglich des mengenmäßigen Wachstums, sondern auch des Umbaus der Warenstrukturstellen aufzeigen, die dem Entwicklungsniveau des ökonomischen Potentials beider Partner Rechnung tragen könnte.

Die Voraussetzung zur Erreichung dieser Ziele, ist die beiderseitige Anteilnahme an der Herausarbeitung entsprechender Bedingungen, die den Import und Export fördern. Dies hängt natürlich vom guten Willen sowohl der polnischen wie der österreichischen Seite ab.

Was nun die Durchführung betrifft, sind auf diesem Gebiet folgende Vorhaben zu erwarten:

1. Größere Warenfreiheit, das heißt mit anderen Worten eine weitere Liberalisierung der Waren auf dem Gebiet des österreichischen Importes aus Polen.

2. Vereinfachung der komplizierten Verrechnungsformen im Clearing und das Übergehen auf modernere Verrechnungsmethoden in freien Devisen.

3. Größeres Interesse an der Notwendigkeit des Umbaus der traditionellen Warenstruktur des polnischen Exportes, sowohl was die Möglichkeiten der polnischen Wirtschaft als auch die Anforderungen der österreichischen Wirtschaft betrifft.

Die oben erwähnten Vorhaben werden sich ersprießlich auf das weitere Anwachsen des Importes und Exportes auswirken, das nicht nur möglich, sondern auch vom Standpunkt der Interessen unserer beider Länder überaus zweckmäßig ist.

Było też sporo spraw do załatwienia z dziedziny organizacji biura i jego obsady. Decyzje, kto miał przyjechać do pracy w BRH zapadały poza mną w Warszawie. Natomiast mogłem przyjmować lub zwalniać tak zwanych pracowników ryczałtowych. Toteż zwolniłem radcę prawnego dra F. Dürmayera, ^(wówczas po kurymie szefa policyi wiedeńskiej) który przed wieloma laty zmusił ^(za zgodą i wlecia M42) importera polskiego węgla ^(mocentowego) do płacenia mu regularnego haraczu. ^{Po jego śmierci haracz ten musiał przynosić jego żona. 1)}

W ferworze codziennych zajęć nie obejrzałem się jak przyszedł grudzień 1970 roku; miesiąc ogromnych wydarzeń i przemian w Polsce. Zanim jednak coś niecoś o tych przemianach powiem, chcę w kilku słowach scharakteryzować miniony rok. Prywatnie rzecz biorąc był on bardzo trudny. Przeprowadzka do Wiednia, tu przez wiele miesięcy ciężka praca i samotne życie, ponieważ żona aż do czerwca przebywała w Warszawie, gdzie syn kończył ósmą klasę, a następnie poważne problemy zdrowotne. Kilka operacji chirurgicznych i ładnych parę tygodni spędzonych w szpitalach wiedeńskich. Na tym nie koniec. Trzeba było jeszcze w Warszawie poddać się ponownej operacji i pozostać w Polsce do połowy października w charakterze rekonwalescenta. Dzięki prof. Janowi Nowickiemu, który był jednocześnie moim lekarzem i przyjacielem, a także całemu zespołowi jego współpracowników, mogłem od początku listopada włączyć się na pełnych obrotach do roboty. A tej nie brakowało. Od rana do wieczora było w biurze gwarno. Nie było dnia aby nie przyjechała z Polski jakaś delegacja. Kilka razy w tygodniu dzień pracy rozpoczynałem od wizyty na dworcu wschodnim, na który o godz. 7.10 przychodził expres z Warszawy, o wdzięcznej nazwie "Chopin". Nierzadko też kończyłem dzień w tym samym miejscu, skąd "Chopin" odchodził o godz. 21.50 do Warszawy. Nie mogłem oczywiście witać i żegnać wszystkich delegacji. Robiłem to jedynie w odniesieniu do dyrektorów naczelných przedsiębiorstw handlu zagranicznego, dyrektorów departamentów z różnych ministerstw oraz wiceministrów i ministrów. Wielu z nich korzystało z komunikacji lotniczej. Wtedy oczywiście musiałem być na oddalonym o kilkanaście kilometrów od miasta lotnisku w Schwechat. To mi zabierało znacznie więcej czasu niż wizyty na dworcu, który znajdował się bardzo blisko BRH i niedaleko mojego miejsca zamieszkania.

Wydarzenia grudniowe w Polsce zaskoczyły chyba wszystkich. Najbardziej jednak poczuła się zaskoczona nasza ambasada, która praktycznie rzecz biorąc zawiesiła na kilka dni przyjmowanie inte-

1) dr F. Dürmayer, współwiceprezident J. Cyran (kierownika) i obywatel Koncentracji w Wiedniu.

resantów z zewnątrz. Ja nie mogłem tego zrobić. Po pierwsze dlatego, że BRH mieściło się w zwykłej kamienicy czynszowej i nie można było zamknąć bramy i nikogo nie wpuszczać, a po drugie, handel ma swoje zwyczaje, których nikomu i pod żadnym pretekstem nie wolno naruszyć. Jeszcze mógłbym dodać trzecie, a mianowicie, że nigdy nie uciekałem przed sprawami trudnymi i skomplikowanymi. Ambasada była szczególnie atakowana przez dziennikarzy, a tam nikt z nimi nie chciał się spotkać. Wszyscy się ich bali jak "diabeł święconej wody" Wobec zamkniętych drzwi ambasady, zainteresowani sprawami polskimi dziennikarze skierowali swoje ataki pod moim adresem. Postanowiłem w tej sytuacji zaprosić ich na obiad i porozmawiać na tematy polskie, choć sam nie wiedziałem dokładnie "co w trawie piszczy?". Tak więc przyszli redaktorzy z radia, telewizji, dzienników "Die Presse", "Arbeiter Zeitung", "Volksstimme", "Kurier" oraz z agencji prasowej APA, aby zorientować się co się dzieje w Polsce. Poinformowałem ich o stanie gospodarczym kraju, o problemach kierowania procesami ekonomicznymi, o polityce cenowej oraz o decyzjach dotyczących cen detalicznych w ogóle a cen mięsa w szczególności. Dzielnie sekundował mnie zastępca attache handlowego Kazimierz Wawrzyniak.

Wszyscy obecni zastosowali się do mojej prośby i nie stawiali pytań dotyczących użycia wojska i milicji przeciwko robotnikom w portach Wybrzeża. Długo i namiętnie dyskutowaliśmy na temat polityki gospodarczej państwa i jej ułomności. Na drugi dzień aż się zaroiło w prasie austriackiej od problematyki polskiej. Wszystkie artykuły były utrzymane w spokojnej formie i rzeczowym tonie. Ambasador L. Wojtyga nie krępował się aby podziękować mi za dobrze spełniony obowiązek wobec kraju. Co by było gdyby się stało inaczej? Ambasada byłaby chyba pierwszą, która by mnie zaatakowała. W kraju nikt natomiast nie miał głowy aby to zauważyć, a tym bardziej docenić.

W Polsce rozpoczął się niewątpliwie nowy rozdział w powojennej historii, który nie mógł pozostać bez wpływu na formę i treść pracy placówki, którą kierowałem.

Z nowych tematów handlowych wziąłem na warsztat eksport samochodów osobowych Fiat 125P. Znalazłem odbiorcę i doprowadziłem do zawarcia próbnego kontraktu na prawie 1000 sztuk. Wydawało się, że

otwarty został na polskie samochody chłonny rynek z dobrze zorganizowaną siecią "fiatowską" dystrybucji i obsługi technicznej. Umiarkowana cena detaliczna, poparta wcale niezłą reklamą, spowodowała spore zainteresowanie wśród potencjalnych nabywców. Próbną partia została szybko sprzedana. Posypały się też pierwsze reklamacje i to wcale niezbyt istotne. Drobne niedoróbki montażowe stanowiły najczęściej przedmiot skarg użytkowników. Szybko rozeszła się po rynku nieprzychylna opinia o polskim samochodzie i mimo życzliwego stosunku importera nie było możliwości przełamania powstałej bariery antyimportowej. W ten sposób szybko zakończył się dobrze zapowiadający się i niewątpliwie korzystny dla obu stron interes. Zainwestowane w rynek środki nie dały oczekiwanego rezultatu. Podejmowane w okresie późniejszym wysiłki przywrócenia eksportu samochodów Fiat 125P do Austrii nie wyszły poza granicę zupełnie nic nie znaczących transakcji. A szkoda. Stracona została na wiele lat szansa poważnego eksportu. Nie wiadomo dokładnie jakie rzeczywiście wnioski wyciągnął z tej kosztownej lekcji polski eksporter. Stanowisko formalne zajęte przez dyr. nac. FSO W. Drylla oraz dyr. nac. Polmotu A. Góreckiego wobec opinii rynku było wysoce niewłaściwe i brzmiało mniej więcej tak: "przysłaliśmy dobre samochody i niechaj ci Austriacy kupując Fiaty nie żądają od nas Mercedesów". Tak może tylko zareagować eksporter, któremu w ogóle nie zależy na sprzedaży towaru. To już nie tylko tania i szkodliwa demagogia, wymyślona na użytek wewnętrzny, mająca chronić producenta i eksportera przed jakąkolwiek, nawet najbardziej uzasadnioną krytyką. To przede wszystkim głupota podbudowana charakterystyczną dla dekady tamtych lat arogancją.

W okresie mojej pracy w Wiedniu można było odnotować niezwykle aktywność polskiego rządu w dziedzinie rozbudowy stosunków politycznych i handlowych z zagranicą.

W tym celu odbyły się dwukrotnie konsultacje polityczne. Pierwszy raz polska delegacja pod kierownictwem Ministra Spraw Zagranicznych Stefana Olszowskiego omówiła z delegacją austriacką, której przewodniczył ówczesny Minister Spraw Zagranicznych Rudolf Kirchschräger, kompleks zagadnień współpracy międzypaństwowej, drugi raz Wiceminister Spraw Zagranicznych Józef Czyrek dokonał wymiany poglądów z austriackim Ministerstwem Spraw Zagranicznych

na tematy bardziej szczegółowe. Byłem członkiem oraz referentem problemów handlowych obu delegacji. Poczuję się nawet w pewnym stopniu do sprawy zniesienia wiz w ruchu osobowym między Polską i Austrią, ponieważ w czasie wizyty min. Olszowskiego zaproponowałem, wbrew opinii ambasady naszej w Wiedniu, aby uwolnić kupców obu państw, podróżujących na podstawie paszportów służbowych, od obowiązku uzyskiwania wiz. Oba ministrowie samorzutnie rozciągnęli mój wniosek na wszystkich podróżnych, niezależnie od rodzajów paszportów. Budowaliśmy wówczas "drugą Polskę". Każdy większy kontrakt poprzedzony był niezliczoną ilością delegacji ekspertów i rzeczoznawców technicznych, nie mówiąc o handlowcach i finansistach. Do dobrego zwyczaju należała wizyta zagraniczna kompetentnego ministra przemysłowego, który był ostateczną instancją w skomplikowanym procesie podejmowania decyzji handlowych. On osobiście wyjeżdżał do kraju, gdzie od pewnego już czasu trwały pertraktacje handlowe na szczeblu przedsiębiorstw, spotykał się z firmami, a także prowadził rozmowy z przedstawicielami rządu. Austria należała do krajów bardzo chętnie odwiedzanych przez księżęta polskiego przemysłu. Wynikało to z jej geografii polityczno-gospodarczej i morfologii stosunków handlowych oraz ich perspektyw. Nie było więc dziełem przypadku, że lubił tu przyjeżdżać minister Przemysłu Chemicznego Jerzy Olszewski /późniejszy minister handlu zagranicznego/, Jan Mitreğa, minister Gównictwa i Energetyki /przez pewien czas jednocześnie wiceprezes Rady Ministrów/, Włodzimierz Lejczak, minister Hutnictwa, Tadeusz Wrzaszczyk, minister Przemysłu Maszynowego /późniejszy wicepremier i przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów/, Jerzy Popko, minister Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego oraz liczni wiceministrowie. Niemal każda taka wizyta przebiegała wedle podobnego schematu: rozmowy z kierownictwem zainteresowanych firm, zwiedzanie fabryk i zakładów produkcyjnych, program rozrywkowy, wizyty rządowe. Rozmowy z firmami przebiegały na ogół poważnie i rzeczowo. Wyczuwało się z obu stron podobny stopień znajomości i szczegółowości spraw. Zainteresowania naszych ministrów były na ogół bardzo szczegółowe i czasami nawet dalej idące niż dyrektorów naczelných koncernów kapitalistycznych.

Zdecydowaną różnicę w podejściu do zagadnień współpracy gospodarczej można było zauważyć w czasie spotkań z członkami rządu

austriackiego. Ci ostatni, jak wiadomo, byli politykami, nie zajmowali się przeto zagadnieniami operacyjnymi, podczas gdy przedstawiciele rządu polskiego przypominali bardziej szefów koncernów niż ministrów. Słuchaczowi takich rozmów nasuwała się generalna uwaga o braku wspólnego języka, którym obaj ministrowie mogli się porozumieć, bowiem jeden mówił językiem polityka, drugi zaś językiem mniej czy bardziej udolnego menadżera. Można było wyciągnąć wnioski o braku rozeznania polskich rozmówców co do kompetencji ich partnerów austriackich; nieraz mówiłem, że przydałby się stosowny instruktaż przedwyjazdowy. Wizyty u kanclerza i prezydenta Republiki, którymi podówczas byli Bruno Kreisky i Franz Jonas miały charakter kurtuazyjny. Były one jednak "nieodzowne", chociażby z punktu widzenia treści komunikatów prasowych, do których wizytujący przywiązywali dużą wagę. Czasami w czasie takich wizyt dochodziło do ogólnych rozmów na tematy gospodarcze, jednak bez próby ich konkretyzowania, przynajmniej ze strony austriackiej. Raz jednak, a było to w czasie wizyty kanclerza federalnego B. Kreisky'ego w Warszawie w czerwcu 1973 roku, doszło do uzgodnień z premierem rządu PRL P. Jaroszewiczem w przedmiocie włączenia do kręgu odbiorców, eksportowanej wówczas do Austrii trzody chlewnej, firmy wiedeńskiej pozostającej w sferze wpływów partii socjalistycznej /SPÖ/. Uzgodnienie to zostało podjęte wbrew interesom tradycyjnych importerów i tylko dzięki temu, iż nieco później kraj nasz wycofał się z tego eksportu w ogóle nie doszło do poważniejszych strat dewizowych na niekorzyść Polski. Protegowana firma nie była w stanie przyjąć i zaakceptować warunków handlowych, oferowanych przez polskiego eksportera w ramach przetargów. Potwierdziła to w całej rozciągłości późniejsza praktyka, nie tylko zresztą w odniesieniu do oferty polskiej. Szczegółowego rozszyfrowania całej tej sprawy dokonał publicznie Bert Pokorny w dwuznacznie zatytułowanym artykule "Polnische Schweine" opublikowanym w "Wochenpresse" Nr 40 z 1973 r. Pierwsze zdanie tego obszernego tekstu brzmiało: "Polskie świnie stanęły ością w gardle austriackim importerom mięsa".

Próba ze strony Biura Radcy Handlowego w Wiedniu wyeliminowania bądź złagodzenia ujemnych skutków tego uzgodnienia wywołała w kołach zbliżonych do polskiego premiera oburzenie. Padło pod moim adresem oskarżenie o niewykonywanie poleceń służbowych, użyto słowa sabotaż.

Zlecono płk. H. Florckowi z MSW, współautorowi książki poświęconej dywersji w gospodarce polskiej, przeprowadzenie postępowania wyjaśniającego. Owczesny ambasador PRL w Austrii Ryszard Karski zarzucił mi brak subordynacji, choć jako człowiek reprezentujący wysoki poziom zawodowy z dziedziny handlu zagranicznego wiedział doskonale po czyjej stronie jest racja. Po mojej stronie stanął jedynie przedstawiciel CHZ "Animex" w Wiedniu, Jerzy Dębowski.

Wizyt austriackich ministrów gospodarczych nad Wisłą było znacznie mniej niż polskich nad Dunajem. Jest to zrozumiałe jeżeli się weźmie pod uwagę fakt, iż są tam tylko dwa ministerstwa gospodarcze, z których jedno skupia problematykę handlu, przemysłu i rzemiosła, drugie zaś rolnictwa i leśnictwa. Rynkowy system gospodarki wyznaczy ministrom zupełnie inną rolę niż była ona u nas. Dlatego przyjazdy ministrów austriackich do Polski były nie tylko o wiele rzadsze, ale i pobyty ich w naszym kraju mocno się różniły. Znacznie więcej było spotkań na szczeblu rządowym, mniej natomiast wizyt w przemyśle. Niemniej, choć prawie wszystkie one miały charakter oficjalny nie brakowało spotkań i rozmów wybitnie roboczych; nie brakowało też oprawy protokólnej, do której Austriacy z nielicznymi wyjątkami przywiązują dużą wagę.

W roku 1974 towarzyszyłem w podróży do Polski ministrowi przemysłu i handlu dr. Josefowi Staribacherowi z małżonką. Na trasie m.in. Kraków, Warszawa, Poznań. W Krakowie zwiedzanie Wawelu oraz starego miasta. W Kościele Mariackim jakiś starszy pan, dowiedziawszy się, że w świątyni przebywa członek rządu austriackiego, przedstawił się jako kustosz i wygłosił krótkie przemówienie powitalne w dobrym języku niemieckim. Wyraził wdzięczność ministrowi za odwiedzenie kościoła, przypomniał czasy Franciszka Józefa, które sam dobrze pamięta, zapewnił, że im Krakowianom żyło się wtedy dobrze i zakończył życzeniem pod adresem dostojnego gościa przyjemnego pobytu w Polsce. Minister J. Staribacher, z natury skromny, poczuł się trochę zakłopotany, ale wyraźnie miał dobre samopoczucie.

Drugim punktem wizyty, godnym odnotowania, były rozmowy przedstawiciela austriackiego rządu z E. Gierkiem i P. Jaroszewiczem zaimprovizowane na Międzynarodowych Targach Poznańskich. Padło wiele ciepłych słów i ogólnych deklaracji. Krótkie moje podsumowanie rezultatów dotychczasowej wymiany towarowej spotkało się z zaintere-

sowaniem i aprobatą głównych rozmówców. Żegnając po kilku dniach gościa usłyszałem wiele komplementów pod adresem organizatorów wizyty, ze szczególnym podkreśleniem zadowolenia z powodu odwiedzenia ciekawych ośrodków kultury polskiej w Krakowie, Warszawie, Żelazowej Woli, Gnieźnie i Poznaniu.

Jak widać z dotychczasowych rozważań, różnorodność moich zajęć była ogromna. Udział w rokowaniach handlowych i finansowych, po uprzednim przygotowaniu do nich materiałów, bieżące kontakty robocze z przedstawicielami rządu i banków, osobiste spotkania i rozmowy z dyrekcjami koncernów przemysłowych, współpraca z innymi placówkami dyplomatycznymi, od radzieckiej poczynając, a na amerykańskiej kończąc oraz wiele innych. Same rozmowy telefoniczne zabierały sporo czasu, nie mówiąc o interesantach austriackich i polskich, przewijających się codziennie przez biuro. Jedną rozmowę telefoniczną chcę jednak przytoczyć możliwie wiernie, a mianowicie: otóż jakaś pani, która przyjechała do Wiednia z "Orbisem" znalazła mój telefon w książce telefonicznej, w której figurowałem jako radca handlowy ambasady PRL, zadzwoniła do mnie z prośbą o poradę gdzie może sprzedać wódkę i kryształ przywiezione z Polski. Po wyjaśnieniu, iż chodziło o ilości mieszczące się w bagażu ręcznym oświadczyłem, że ja się zajmuję handlem hurtowym a nie detalicznym i powiedziałem przy tym, że jak przywiezie następnym razem wagon wódki i wagon kryształów, to poradzę gdzie ma sprzedać.

Do opuszczenia przeze mnie Austrii Pani ta nie zatelefonowała. Widocznie nie zrobiła dobrego interesu.

Dwie polskie wizyty rządowe w Austrii utkwiły mi w pamięci szczególnie. Może dlatego, że były one bardzo różne, pomimo iż obie składał minister handlu zagranicznego PRL, pierwszą Kazimierz Olszewski, drugą Tadeusz Olechowski. Kazimierz Olszewski był typowym przedstawicielem aparatu socjalistycznego państwa. Operował prymitywnymi sloganami, żywcem wziętymi z wydawnictw propagandowych KC PZPR. Z języków obcych znał tylko rosyjski. Mówił więc z udziałem tłumacza, dzięki któremu szorstkość jego wypowiedzi była znacznie łagodzona. W rokowaniach handlowych zwracał jedynie uwagę na sformułowania podpisanych dokumentów, wzorując się na porozumieniach RWPG, gdzie przez kilka lat reprezentował PRL. Wystarczały mu nie mające żadnego pokrycia deklaracje, a szczególnie powołanie komisji mie-

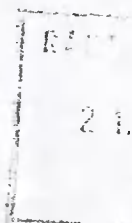
szanej jako organu nadzorującego przebieg wymiany towarowej między obu państwami.

Zupełnie innym członkiem rządu był Tadeusz Olechowski. Mówił językami angielskim, francuskim i niemieckim. Posiadał niesocjalistyczny sposób bycia. Dbał bardziej o ducha porozumienia, niż o jego literę. Głównym rozmówcą obu gości był dr Josef Staribacher. Negocjacje handlowe były dobrze przygotowane i uwieńczone zostały podpisaniem wcześniej przygotowanych dokumentów międzypaństwowych. Wzniesiono przy tym sporo toastów, najczęściej winem i szampanem. Raz jednak o godz. 10.00 zapytany min. T. Olechowski przez swego gospodarza J. Staribachera, co o tej porze zwykle pije, ten spojrział leniwie na zegarek i odpowiedział krótko - koniak. Gospodarz nie poczuł się zgorzony choć był 100% abstynentem. Swoim lekkim sposobem bycia i błyskotliwością zrobił T. Olechowski ogromne wrażenie na B. Kreiskym, który nie omieszkał tego wyraźnie podkreślić w luźnej rozmowie. Powiedział, że chętnie dokooptowałby Olechowskiego do rządu austriackiego, gdyby tylko ten się zgodził. Od siebie dodałem, że formalnych przeszkód by nie było, gdyż jako człowiek z galicyjskim życiorysem i wykształceniem zostałby na pewno przez parlament zaakceptowany.

Nie doczekałem się ostatniej i bodaj najważniejszej wizyty polskiej w Austrii, a mianowicie premiera Piotra Jaroszewicza z małżonką. W dniu, w którym nasz premier wraz z liczną delegacją lądował na podwiedeńskim lotnisku Schwechat, opuszczałem z polecenia swoich przełożonych Wiedeń i udawałem się w stronę granicy państwowej pod Brnem. Była godzina 10.00 dnia 30 września 1974 roku. Każdy myślący człowiek ma prawo zapytać dlaczego tak się stało. Odpowiedź jest prosta. To co robiłem w Austrii nie wszystkim w Polsce podobało się. Skrytykowałem decyzję premiera w sprawie eksportu trzody chlewnej, wysłałem do kraju negatywną ocenę polskich poczynań kredytowych w Austrii,^{1/} nie pozwoliłem na organizację spółek handlowych, które nie miały ekonomicznego uzasadnienia. To wystarczyło aby mnie odwołać do kraju w czasie wizyty, mimo iż

^{1/} krytyczny raport polskiej polityki kredytowej spowodował nagły przyjazd do Wiednia min. J. Hrynkiwicza i wicemin. St. Długosza celem udzielenia mi nagany za rzekome warcholstwo.

Warszawa, dnia 15 maja 1974 r.



Radca Handlowy Ambasady PRL

Obywatel

mgr Stanisław LESZKOWICZ

1040 Wiedeń

Prinz Eugenstr 66

Nawiązując do przeprowadzonych w dniach od 6 do 10 maja 1974 r. w Wiedniu polsko austriackich rokowań w sprawie zawarcia umowy o zapobieganiu podwójnemu opodatkowaniu w zakresie podatków od dochodu i majątku, pragnę Obywatelowi Radcy podziękować za osobiste zaangażowanie i udzieloną pomoc delegacji polskiej w toku tych rokowań.

Według oceny przewodniczącego i członków delegacji pomoc ta w zasadniczy sposób przyczyniła się do pomyślnego przebiegu negocjacji.

Marian Krzak

Do wiadomości:

Pierwszy Zastępca Ministra
Handlu Zagranicznego
i Gospodarki Morskiej
Obywatel H. KISIEL
w miejscu

byłem włączony do składu delegacji polskiej i miałem nawet zaproszenie kanclerza Republiki Austrii na oficjalne przyjęcie, które odbyło się z tej okazji w dniu przyjazdu naszego premiera, w głównej sali Zamku Cesarskiego.

Na zakończenie swojej kadencji złożyłem władzom polskim krótkie sprawozdanie z rezultatów działalności. Nie mogłem tym sprawozdaniem objąć wszystkich problemów, którymi się zajmowałem. Ograni-
czyłem się do spraw najważniejszych i świadomie pominąłem tematy sporne. O nich pisałem w opracowaniach szczegółowych. Wymienić też wypada kilka ważniejszych publikacji mojego pióra, poświęconych problematyce współpracy gospodarczej między Polską i Austrią, jakie ukazały się w prasie obu krajów. Oto one:

1. "Placówka czy urząd. Polskie placówki handlowe za granicą", "Trybuna Ludu" 1972, nr 331.
2. "Neue Akzente in der wirtschaftlichen Entwicklung Polens" "West-Ost-Journal" Wien 1972, Nr 2.
3. "Austria - partner handlowy Polski", "Handel Zagraniczny" Warszawa 1972, nr 11.
4. "Współpraca gospodarcza między Polską a Austrią", "Sprawy Międzynarodowe", Warszawa 1973, Nr 2.
5. "Możemy więcej eksportować do Austrii", "Życie Gospodarcze", Warszawa 1974, Nr 27.
6. "Polska współpracuje z Austrią", "Życie Warszawy" 1974, nr 195.
7. "Die wirtschaftliche Zusammenarbeit Polen - Osterreich", "Osterreich-Polen", Wien 1974, Nr 3.

Po powrocie do Warszawy udałem się niezwłocznie do Ministra Handlu Zagranicznego, którym był ponownie Kazimierz Olszewski. Okazało się jednak, że zawsze otwarte dla mnie drzwi do gabinetu ministra zostały tym razem skutecznie zatrzaśnięte. Pomyślałem sobie, że jest to jakiś przejściowy kaprys szefa i że mu się szybko odmieni, zwłaszcza że miewał on bardzo zmienne nastroje. Wpisałem się na listę zainteresowanych rozmową i postanowiłem czekać na łaskawe przyjęcie. Z miejsca jednak zauważyłem, że coś wokół mnie się dzieje. Wskazywał na to sposób zachowania się sekretarki, Krystyny Kierzkowskiej, zawsze bardzo życzliwej. Po przyciśnięciu jej do przysłowiowego muru oświadczyła, iż nie wie czy w ogóle minister znajdzie dla mnie trochę czasu. Wiedziała przy tym dosko-



DER BUNDESKANZLER

gibt sich namens der Bundesregierung die Ehre,

*Herrn Handelsrat
und Frau Stanislaw Leszkowicz*

zu einem am Montag, dem 30. September 1974, um 20.00 Uhr
aus Anlaß der Anwesenheit

SEINER EXZELLENZ
DES PRÄSIDENTEN DES MINISTERRATES DER VOLKSREPUBLIK POLEN
HERRN PIOTR JAROSZEWICZ

im Zeremoniensaal der Wiener Hofburg
stattfindenden
ABENDESSEN
einzuladen.

Smoking, Dunkler Anzug
Abendkleid

U. A. w. g.: Tel. 66 15 - 23 71

Wien I., Hofburg, Schweizerhof
Eingang: Botschafterstiege

nale, że minister zawsze przyjmował mnie poza kolejką, a nawet była nieraz świadkiem jak umawialiśmy się prywatnie na wódkę. W tej sytuacji poprosiłem p. Krysię, aby skreśliła mnie z listy ubiegających się o audiencję i więcej moja noga tam nie stanęła.

Z sekretariatu ministra poszedłem prosto do dyrektora Departamentu Kadr Kazimierza Pisz, mojego wychowanka i dawnego podwładnego. Zadałem mu brutalne pytanie, o co chodzi? Dyrektor Pisz, po nieudanej próbie zwekslowania odpowiedzi na ogólną sytuację personalną resortu, oświadczył w końcu, że w stosunku do mojej osoby prowadzone jest jakieś dochodzenie i do chwili jego zakończenia, co może potrwać bardzo długo, nie mogę pełnić żadnej funkcji w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Powstała wokół mnie osobliwa atmosfera, niemal jak wokół człowieka trędowatego. Rozmówca dał mi wyraźnie do zrozumienia, że sprawę trzyma osobiście w biurku wice-minister spraw wewnętrznych Mirosław Milewski i tylko on jest w stanie przyspieszyć dochodzenie. Pokazał mi przy tym anonimowy list jednego z moich współpracowników skierowany do Ministra Handlu Zagranicznego i Gospodarki Morskiej, który donosił adresatowi, że w Biurze Radcy Handlowego w Wiedniu panuje taki bałagan, iż tajne pisma nie są odpowiednio zabezpieczone i że każdy kto chce i nie chce może do takiej korespondencji mieć niczym nieograniczony dostęp. Anonim napisany ręką mojego współpracownika, pochodzącego spoza resortu handlu zagranicznego, wysłany został z Warszawy, a jego załącznikiem była wykradziona z BRH instrukcja regulująca postępowanie z aktami tajnymi na placówkach zagranicznych. Był to zresztą jedyny tajny dokument, który wpłynął w okresie mojej kadencji do BRH. Zginął on w drodze ode mnie do pracownika odpowiedzialnego za sprawy kancelaryjne.

Po kilku wręcz ekwilibrystycznych podejściach udało mi się wreszcie dotrzeć do min. Milewskiego i przeprowadzić z nim rozmowę wyjaśniającą. Oświadczył on, że pracując w Austrii, według opinii kierownictwa ambasady, wykazałem niewiarę w budowę drugiej Polski i że w związku z tym nie mogę liczyć na życzliwość tych, którzy decydują o moim losie zawodowym. W każdym razie nie mogę pracować w administracji centralnej. W MHZ tymczasem kazano mi czekać na wyjaśnienie się sprawy. Tak więc czekałem blisko pół roku, otrzymując oczywiście pobory, aż wreszcie poproszono mnie do Komitetu

Centralnego PZPR. Tam przyjęły mnie dwie osoby, Zygmunt Kozłowski z Wydziału Ekonomicznego i Gerard Grabowicz z Wydziału Kadr. Oświadczyli, że do pracy w MHZ pójść nie mogę, rzekomo nie zgadza się na to minister, natomiast mogę być zatrudniony w jednym z przedsiębiorstw handlu zagranicznego. Nie mając praktycznie żadnego wyboru, skierowany zostałem do Centrali Importowo-Eksportowej Animex, gdzie z dniem 20 lutego 1975 roku zostałem dyrektorem ekonomicznym oraz pierwszym zastępcą dyrektora naczelnego. Znalazłem się na bocznym torze. A oto przecież chodziło. Niemniej dostałem kawałek interesującej roboty, która mnie znowu pochłonęła bez reszty.

Jeszcze latem tego roku odnalazł mnie, nie bez trudu, ambasador nadzwyczajny i pełnomocny Austrii w Polsce Johann Proksch i zakomunikował, że w dniu 11 lipca 1975 roku prezydent Republiki Rudolf Kirchschräger przyznał mi Wysokie Odznaczenie Honorowe za zasługi dla Republiki Austrii. Zapropował zorganizowanie uroczystości w salonach ambasady, na której ~~byłem~~^{by} odznaczony. Prosił o listę gości z mojej strony przedstawiając jednocześnie swój spis oficjeli, w liczbie ponad 100 osób, w tym kilku członków rządu. Propozycja ambasadora mnie przeraziła. Zdawałem sobie sprawę, że nie mogę zgodzić się na taką demonstrację. Z jednej strony uznany zostałem za obywatela niepełnowartościowego, którego spotyka dyskwalifikacja władz polskich, z drugiej, jak na złość, odznaczenie państwa obcego. Poprosiłem więc aby ambasador odznaczył w gronie rodzinnym, w obecności żony, syna, rodziców żony i kilku innych osób, spokrewnionych ze mną lub żoną, bez nadawania jakiegokolwiek rozgłosu. Wiedziałem, że jedni mnie nienawidzą, a drudzy boją się. Boją się głównie ci, o których dużo wiedziałem, znałem ich słabe i mocne strony. Tak też się stało. Ambasador w otoczeniu swoich współpracowników wręczył odznaczenie, wygłosił krótkie przemówienie, ja podziękowałem, wypiliśmy po lampce szampana, porozmawialiśmy i rozeszliśmy się. Opuściłem gmach ambasady z mieszanymi uczuciami. Chwilami żałowałem, że nie zrobiłem swoim adwersarzom kuku; oni na niuansach się nie wyznają. Są zbyt gruboskórni i aroganccy. Niechby jednak byli świadkami aktu, który dawał dużo do myślenia.

DIE PRÄSIDENTSCHAFTSKANZLEI

BEURKUNDET HIEMIT,

DASS DER BUNDESPRÄSIDENT DER REPUBLIK ÖSTERREICH

MIT ENTSCHLIESSUNG VOM

11. JULI 1975

HERRN

STANISLAW L E S Z K O W I C Z

EHEM. HANDELSRAT

AN DER BOTSCHAFT DER VOLKSREPUBLIK POLEN IN WIEN

DAS GROSSE EHRENZEICHEN

FÜR VERDIENSTE UM DIE REPUBLIK ÖSTERREICH

VERLIEHEN HAT.

WIEN, AM 11. JULI 1975

DER KABINETTSDIREKTOR:



5. Boczny tor

W Animexie podporządkowano mi komórki sztabowe: planowanie i ekonomikę obrotu towarowego, politykę transportową, organizację sieci zbytu za granicą, reklamę oraz delegatury terenowe. Do tego dochodziły obowiązki wynikające z zastępstwa dyrektora naczelnego, którego dość często nie było w biurze /wyjazdy służbowe, urlopy itp./. Tak więc, chcąc nie chcąc, musiałem zapoznać się z całym przedsiębiorstwem, aby skutecznie móc kierować przydzielonym odcinkiem pracy. Zapoznałem się też z obsadą personalną. Pracowało wówczas nieco ponad 400 osób, a więc spora gromadka ludzi. Byli to przeważnie wieloletni pracownicy, dla których Animex był często pierwszym pracodawcą. Gdyby szukać gdzieś w świecie pewnego podobieństwa do stosunków panujących w tym przedsiębiorstwie, to można by było ^{zartobliwie oczywiście} dostrzec szereg cech socjologicznych, specyficznych dla stosunków japońskich. Zarówno tam, jak i w Animexie wielu pracowników wiąże się ze swoim pracodawcą niemal na całe życie, a więc aż do emerytury. Nie wiem czy jest jakieś inne polskie przedsiębiorstwo handlu zagranicznego, gdzie odsetek pracowników o długim stażu zawodowym byłby tak wysoki. Związki jakie na przestrzeni lat rodzą się między pracownikami Animexu mają różnorodny charakter, często nie tylko formalny. Zawartych zostało kilka małżeństw między pracownikami, nierzadko poprzedzonych rozwodami; nawiązano też sporo przejściowych lub bardziej trwałych flirtów między mężczyznami i kobietami, które ze względów formalnych nigdy nie mogły być zalegalizowane. Spora część załogi Animexu pochodziła z kół skoncentrowanych wokół instytucji zlokalizowanych w dzielnicy Mokotów. Były to nierzadko żony, siostry lub szwagierki pracowników Komitetu Dzielnicowego, Komendy Głównej MO, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych lub instytucji wojskowych. Animex był jedynym przedsiębiorstwem handlu zagranicznego na Mokotowie i nie mógł nie ulec naciskowi tych spośród funkcjonariuszy partyjnych i państwowych, którzy chcieli aby ich najbliżsi pracowali w handlu zagranicznym. Resort ten przez wiele lat stanowił dużą atrakcję nie tylko dla kandydatów na studia w SGPiS, gdzie na Wydział Handlu Zagranicznego nieraz startowało 7 kandydatów na jedno miejsce, ale również było wielu takich, którzy bez studiów specjalistycznych chcieli tu pracować i importować i eksportować towary pochodzenia zwierzęcego.

Nawet w buchalterii było nie mało różnych protegowanych pań z towarzystwa. Procesowi temu sprzjała obsada działu personalnego, która była z reguły bliską instytucjom państwowym i partyjnym sąsiedzkim.

"Swoi" pracownicy mieli uprawnienia nadzwyczajne. Inne ich obowiązywały reguły gry. Im było wolno bardzo dużo. Za orgie pijackie nie byli karani, a nawet wyjeżdżali za granicę na delegację lub na placówki handlowe. Sam kierownik tego działu Mieczysław Habinka, były oficer śledczy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, nazwany przez współoskarżoną w procesie ks.bp. Kaczmarka /1953 r./ W. Niklewską "szakalem", preferował protegowanych i bardzo się nimi opiekował.

Załoga Animexu tworzyła wrażenie jednolitego kolektywu, broniącego się przed każdym "nie swoim" pracownikiem tak, jak broni się organizm ludzki przed obcym ciałem, przeszczepionym w wyniku zabiegu operacyjnego.

Moja osoba tymczasem była całkowicie obca. Wszyscy zdawali sobie z tego sprawę; ja też.

Już na samym początku rozpisane zostały role, kto i na jakim odcinku ma mnie "obstawiać" i zbierać materiały, przy pomocy których można by było w przyszłości mnie unieszkodliwić. Ja tymczasem nie wiązałem się z żadną grupą, nie piłem z nikim wódki, chyba, że przyjmując delegacje zagraniczne, i nie brałem udziału w żadnych innych imprezach o takim charakterze. Starłem się, jak tylko mogłem, dobrze wykonywać swoje obowiązki i nie wchodzić z nikim w żaden konflikt. Dyrektor naczelny Jerzy Piętowski często kazał sobie zastępować w różnego rodzaju spotkaniach na zewnątrz, a m.in. w zebraniach kierowników podobnych przedsiębiorstw krajów socjalistycznych, które kolejno odbyły się w Hawanie, Bukareszcie, Pradze i Warnie. Podobnie działo się na odcinku krajowym. Brałem więc udział w kilku ważnych konferencjach w Komitecie Centralnym PZPR, Urzędzie Rady Ministrów, Komisji Planowania, różnych ministerstwach, w tym najczęściej w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Tam gdzie trzeba było zabierałem głos, przy czym był to głos najczęściej krytyczny. Animex, jak wiadomo, zajmował się importem i eksportem towarów pochodzenia zwierzęcego. O ile zadania eksportowe były

Warszawa, dn. 20 lutego 1975 r.

DKS-III-03/86/75

Obywatel
Stanisław LESZKOWICZ

w Warszawie

Z dniem 20-go lutego 1975 roku powołuję Obywatela na stanowisko Pierwszego Zastępcy Dyrektora Naczelnego - Dyrektora Ekonomicznego w Centrali Importu i Eksportu Artykułów i Przetworów Pochodzenia Zwierzęcego P.P. "Animex" w Warszawie.

Na podstawie Zarządzenia Nr 22 Ministra Pracy, Płac i Spraw Socjalnych z dnia 17.06.1974r. w sprawie zasad wynagradzania pracowników zatrudnionych w przedsiębiorstwach handlu zagranicznego, przyznaję Obywatelowi wynagrodzenie miesięczne netto w wysokości:

- 6.000 złotych - płacy zasadniczej
/słownie złotych: sześć tysięcy/
- oraz
- 2.200 złotych - dodatku funkcyjnego
/słownie złotych: dwa tysiące dwieście/.

Podstawa: art.14.ust.2 Dekretu z dnia 26-go października 1950 roku o przedsiębiorstwach państwowych /Dziennik Ustaw z 1960r. Nr 18, poz.111/.



PODSEKRETARZ STANU
[Signature]
Stanisław Leszkowicz

wyznaczane na ogół ze sporym wyprzedzeniem czasowym, co pozwalało na opracowanie stosownej strategii i taktyki sprzedaży, choć późniejsze ciągle "poganianie" przez MHZ, aby przyspieszać wpływy dewizowe, czyniły te ustalenia bezużytecznymi, o tyle zadania importowe były w reguły przekazywane Centrali do realizacji w ostatniej chwili, co zmuszało importera do pilnych zakupów na rynkach zagranicznych towaru w mało korzystnych okresach, płacąc tym samym zawyżone na ogół ceny. Temat ten wielokrotnie przedstawiałem w kierownictwie MHZ, Komisji Planowania, a także w Komitecie Centralnym, przy obecności najwyższych osobistości partyjnych i państwowych. Wszyscy, siedzący przeważnie w prezydium takich narad, kiwali głowami, udzielając w ten sposób swojej aprobaty dla głoszonych przeze mnie tez, a później robili to samo. Koszty takiego "planowania" były ogromne. O ile w któryms roku importowało się na przykład mięsa za 100 mil. dol. USA, to wystarczyło przepłacić tylko 10%, co było przeważnie faktem, aby 10 mil. dol wyrzucić w przysłowiowe błoto. Zainteresowałem tym tematem najbardziej kompetentnych ludzi w hierarchii partyjnej, wysoko usytuowanych funkcjonariuszy KC PZPR: Franciszka Kubiczka, Ludwika Olejarza, Dariusza Przywieczerskiego, Sławiana Krzywańskiego i innych.

Nikt, oprócz kilku pracowników w Animexie, tym się nie martwił i nie znany mi był przypadek aby ktoś z decydentów był za to pociągnięty do odpowiedzialności. Organa kontrolne dostrzegały ten problem, jednak ostrze swoich instrumentów kierowały raczej pod adresem Centrali Animexu, niż wyraźnie wskazać na osoby, które przez swoją niefachowość i oportunizm powodowały tak wielkie straty.

Pracując w Animexie odbyłem wiele bliższych i dalszych podróży zagranicznych. Niektóre z nich śmiało można nazwać podróżami życia. Na przykład do Nowej Zelandii, wiodąca z Warszawy do Kopenhagi, a dalej przez Los Angeles, Tahiti, do Wellingtonu, gdzie na zaproszenie tamtejszego Urzędu Przemysłu Mleczarskiego, w towarzystwie prof. K. Babuchowskiego z Instytutu Mleczarstwa, dyr. W. Majewskiego z Centr. Związku Spółdzielni Mleczarskich oraz kierownika działu z CHZ "Animex" Z. Durnickiego, zwiedziłem nowozelandzki przemysł mleczarski i odbyłem szereg ciekawych rozmów z jego przedstawicielami. Złożyliśmy też wizytę ministrowi rolnictwa, który jednocześnie był wicepremierem, a który interesował się bardzo Polską w ogóle, a

możliwościami współpracy handlowej w szczególności. Owczesny radca handlowy PRL i szef polskiej placówki dyplomatycznej w Wellingtonie Jerzy Bohdanowicz wydał z tej okazji przyjęcie, na które licznie przybyli przedstawiciele rządu oraz kół przemysłowo-handlowych. Jako szef polskiej delegacji stanowiłem obiekt zainteresowania obecnych. Prasa miejscowa zamieściła szereg informacji na temat pobytu naszej delegacji, a jeden z największych dzienników opublikował ze mną wywiad.

Radca Handlowy nie pozwolił mi na zamieszkanie w hotelu, w którym mieliśmy zamówione przez naszych gospodarzy pokoje, i udostępnił pokój gościnny w swojej rezydencji.

Pewnej nocy przeżyłem niewielkie trzęsienie ziemi; nagle pootwierały się wszystkie okna i łóżko zaczęło usuwać się spode mnie. Wrażenie okropne.

Nowa Zelandia to piękny kraj, przypominający nieco Szwajcarię. Nie będę nawet usiłował opisywać jej piękna, gdyż uczynili to znacznie lepiej inni, wspomnę jedynie, że na wiecznie zielonych zboczach gór pasą się wszędzie duże stada bydła i owiec, stanowiących ogromne bogactwo tego kraju. Był styczeń 1977 roku, temperatura w granicach dwudziestu kilku stopni i pomyśleć, że w tym czasie w Polsce było dużo śniegu i notowane były wysokie mrozy. Kiedy tam była godz. 12.00 w Polsce była dokładnie 24-ta.

Gospodarze nasi dwoili się i troili aby dogodzić swoim egzotycznym gościom. Dogodzili. Byliśmy bardzo zadowoleni i wdzięczni. Choć rozmowy handlowe nie dały żadnego ^{dotychczasowego} konkretnego rezultatu, ugruntowały jednak przekonanie obu stron, iż pomimo dalekiej odległości geograficznej istnieją realne możliwości korzystnych kontaktów gospodarczych. Taki zresztą był cel wizyty, której inicjatorami i gospodarzami pokrywającymi zarówno koszty podróży, jak i koszty naszego pobytu, byli nowozelandczycy. Życie potwierdziło te założenia.

Podróż powrotna była bardziej interesująca niż w tamtą stronę. Zatrzymaliśmy się na krótko w Sydney, gdzie dzięki tamtejszemu radcy handlowemu PRL H. Cieślíkowi zwiedziliśmy miasto wraz ze słynną operą, a następnie przez Tokio, które też zawdzięczając to mojemu przyjacielowi S. Kączkowskiemu, dyrektorowi firmy Agropol

w Tokio, zaliczyliśmy, choć po "łebkach" to wielkie "mrowisko świata" i przez biegun północny oraz Alaskę wróciliśmy do Europy. Stąd już przez Sztokholm, po kilku kwadransach lotu wylądowaliśmy na Okęciu. Z Alaski, na której panowała zima, wysłałem z portu lotniczego w Ancherige kartkę pocztową, która dwa miesiące po moim powrocie dotarła do żony.

Podróż do Indii utkwiała mi też na zawsze w pamięci, chociażby dlatego, że było to najmniej przemyślane przedsięwzięcie. A było to tak. Dyrektor Gabinetu ówczesnego ministra handlu zagranicznego Jerzego Olszewskiego, pod nieobecność mojego szefa zadzwonił do mnie w piątek i oświadczył, abym się przygotował do najbliższego poniedziałku do podróży do Indii. Nie powiedział przy tym o jakie tematy chodzi, ograniczając się jedynie do stwierdzenia, że będę towarzyszył ministrowi. Dział personalny Centrali szybko załatwił formalności paszportowo-wizowe oraz wykupił bilet lotniczy, a ja tymczasem zaszczepiłem cholere, i to z braku czasu, całą porcję na raz. W poniedziałek zgłosiłem się o określonej godzinie na Okęciu i po krótkim oczekiwaniu w sali dla gości honorowych, wystartowaliśmy Lot-em do Frankfurtu nad Menem, skąd, po kilku godzinach oczekiwania, wylecieliśmy dalej Lufthansą do Delhi. Lot trwał wiele godzin. Okazało się, że oprócz ministra J. Olszewskiego, lecąc: jego zastępca E. Wiśniewski, dyr. Gabinetu D. Sliwiński, dyr. dep. J. Kapuściński i kilku dyrektorów central handlu zagranicznego. Dopiero w samolocie minister przedstawił delegacji cel podróży. Otóż okazało się, że moim zadaniem ma być przygotowanie i zawarcie umowy z odpowiednimi organizacjami hinduskimi w sprawie wybudowania przez Polskę rzeźni, która zajęłaby się skupem i ubojem bydła i trzody, a następnie mięso lub jego przetwory byłyby przedmiotem eksportu do Polski oraz do krajów trzecich. Teoretycznie niby wszystko w porządku. W ten sposób zamierzał on rozwiązać nabrzmiały i wysoce polityczny problem mięsny naszego kraju. Miał na to błogosławieństwo premiera P. Jaroszewicza, o czym oczywiście z dumą zakomunikował.

Po wysłuchaniu tych wskazówek zaniemówiłem. Gdybym o swoich zadaniach dowiedział się dokładnie w kraju, z całą pewnością odmówiłbym wyjazdu. Teraz z samolotu nie mogłem wyskoczyć. W kilku zdaniach usiłowałem wytłumaczyć ministrowi, że są to rzeczy niemoż-

liwe do zrealizowania. W Indiach nie ma po pierwsze rozwiniętej hodowli trzody chlewnej, a ta która jest, stanowi siedlisko wszystkich znanych na świecie chorób zwierzęcych, po drugie, krowy, które miał na myśli minister, są w większości kraju uznawane za święte i nie mogą być ubijane. Zresztą, dodałem na zakończenie, że jakakolwiek próba importu z Indii do Polski mięsa mogłaby doprowadzić do katastrofy, jeśli chodzi o nasz eksport do krajów zachodnich. Mimo to, przy okazji pierwszej wizyty u ministra przemysłu i handlu, która miała miejsce kilka godzin po przylocie do Delhi, nasz szef oświadczył swojemu rozmówcy, w mojej obecności, że zabrał ze sobą z Warszawy wybitnego eksperta, czyli niby mnie, który zajmuje się sprawą założenia na terenie Indii wielkiego przedsiębiorstwa z udziałem kapitału polskiego, które zorganizuje hodowlę, skup, przetwórstwo i eksport. Nie mogłem dezauować swojego ministra i przez dwa dni pomimo temperatury po zastrzyku cholery prowadziłem na ten temat intensywne rozmowy z wysokimi urzędnikami państwowymi i przedstawicielami kół przemysłowo-bankowych. Moje przypuszczenia potwierdziły się; żaden z moich rozmówców nie miał najmniejszego pojęcia o co tu chodzi. Tymczasem dyr. Agrosu H. Poniewierski podpisał umowę z jedną z firm w przedmiocie powołania do życia spółki z zadaniem budowy gorzelnii i produkcji alkoholu. Podpisanie tej umowy, choć od początku było wiadomo, że pozostanie ona jedynie na papierze, stworzyło okazję do ściągnięcia prasy i telewizji, a następnie jeszcze raz w terminie późniejszym uświetniła wizytę polskiego premiera w Indiach; polska telewizja pokazała, jak nasi biznesmeni opanowują rynki trzeciego świata, utrwalając scenę powtórnego podpisania przez H. Poniewierskiego umowy, na tle naszego premiera.

Ja natomiast, po konsultacjach i rozmowach sondażowych z Hindusami oświadczyłem ministrowi, że nie widzę, ani teraz, ani w przyszłości, żadnej możliwości podpisania podobnej umowy. Po prostu nie chciałem być śmiesznym i niepoważnym.

W drodze powrotnej do kraju zatrzymaliśmy się krótko na lotnisku w Teheranie, gdzie oczekiwali na nas ambasador PRL H. Łaszcz i radca handlowy T. Wąsak, których minister Olszewski w krótkiej rozmowie zmieszał z błotem rzekomo za uprawianie polityki gospodarczej w stosunku do kraju ich urzędowania, niezgodnej z jego

wytycznymi. Ci siedzieli jak przysłowiowe myszy pod miotłą i nie potrafili spokojnie i rzeczowo obronić swojego stanowiska. To się nazywa zdyscyplinowanie, albo inaczej konformizm.

Po wypiciu po kielichu, nie najlepszego zresztą koniaku /Fundador/ wystartowaliśmy dalej do Frankfurtu nad Menem, a stamtąd do Warszawy.

Jeszcze przez rok czasu byłem atakowany przez MHZ, a również i przez ambasadę Indii w Warszawie, jak postępują prace nad organizacją przedsiębiorstwa, które wedle idei ministra Olszewskiego miało oswobodzić Hindusów od świętych krów, a nam dostarczyć duże ilości mięsa. Nie mogąc obronić się przed tymi atakami zmuszony zostałem posłać do Indii delegację składającą się z pracownika Animexu i dwóch lekarzy z Departamentu Weterynarii Ministerstwa Rolnictwa, która po powrocie do kraju sporządziła raport, z którego jednoznacznie wynikało, iż ze względów na warunki sanitarne, żadne tego rodzaju przedsięwzięcie nie wchodzi w rachubę. W tej sytuacji napisałem list do MHZ, który zakończyłem zdaniem, iż "sprawę powołania przedsiębiorstwa w Indiach, które zajęłoby się skupem bydła i trzody oraz ich ubojem i przerobem, należy uznać za bezprzedmiotową".

W taki oto sposób, po przeszło rocznej szarpaninie i wydaniu dużo pieniędzy na koszty podróży, uwolniłem się od tematu, który zrodził się w ministerialnej głowie.

Z innych podróży, odnotowania godna wydaje się być podróż do Ameryki Południowej. Wyjechałem tam z wiceministrem handlu zagranicznego St. Długoszem, z zadaniem zbadania możliwości zakupu mięsa wołowego lub wieprzowego. Wraz z większą delegacją odwiedziłem Brazylię, Argentynę i Urugwaj, a następnie już tylko w towarzystwie swojego współpracownika Zdzisława Króla, udałem się przez Chile, Boliwię^{1/} i Panamę do Kostaryki, bowiem tam, w przeciwieństwie do poprzednich krajów, gdzie panowała wszędzie pryszczycza, można było bez przeszkód weterynaryjnych kupić mięso wołowe.

W San Jose, przywitali mnie na lotnisku przedstawiciele miejscowego MSZ, którzy wspólnie z Urzędem do Spraw Gospodarki Mięsnej,

^{1/} Na lotnisku w La Paz, położonym na wysokości ponad 4000 m nad poziomem morza po otwarciu drzwi samolotu straciłem na kilka chwil przytomność.

byli naszymi partnerami w negocjacjach. Niestety okazało się, że Kostarykańczycy, maśląc, że jeżeli ktoś z Polski przyjechał do nich jest gotów zapłacić każdą cenę za mięso, zażądali od nas tak wysokich cen, że nie mieliśmy tematu do rozmów. Zwiedziliśmy kilka zakładów mięsnych, tak samo dużych i nowoczesnych, jak w Argentynie lub Urugwaju, stwierdzając, iż istotnie mięso pod względem jakościowym nie budziło zastrzeżeń, lecz sprawy cenowe stanęły na przeszkodzie do zawarcia kontraktu. Jeden z właścicieli zakładu mięsnego powiedział mi "na ucho", że inicjatorem tak wysokich cen nie byli przemysłowcy, lecz urzędnicy z Urzędu do Spraw Gospodarki Mięsnej.

Powrót do kraju prowadził przez Caracas i Rzym. Przed odlotem jednak z San Jose okazało się, że aby móc wylądować w Caracas trzeba mieć wizę tranzytową. Niestety takowej nie mieliśmy. Odprawiająca nas na lotnisko szefowa protokołu z MSZ, przypadkowo spotkała tam ambasadora Wenezueli, który na jej prośbę napisał kilka słów na naszych biletach lotniczych, podpisał się i to wystarczyło. Po 12 godzinach lotu z Caracas wylądowaliśmy na lotnisku Leonardo da Vinci w Rzymie, gdzie dzięki pomocy znajomych kupców włoskich załatwiliśmy kilkudniowe wizy i po dwóch dniach i szeregu rozmów z miejscowymi firmami udaliśmy się do Warszawy.

Inne podróże zagraniczne były mniej ciekawe, może i dlatego, że nie jeździłem tam, pracując w Animexie, po raz pierwszy. Tak więc przyszło mi po raz któryś z kolei odwiedzić NRD, Związek Radziecki, USA, CSRS, Grecję, Francję, Kanadę, W. Brytanię, Holandię, RFN i wiele innych krajów. Zawsze program podróży wyglądał podobnie. Spotkania z firmami, rozmowy handlowe, wizyta w polskim biurze radcy handlowego, ewentualnie zwiedzenie jakiegoś zabytku, kino lub teatr, drobne zakupy i do domu. Po powrocie pisanie sprawozdania, rozliczenie kosztów podróży i normalne codzienne obowiązki, których jakoś mi w życiu nigdy nie brakowało.

Dwa tematy z tego okresu zasługują na szczególną uwagę. Pierwszy to eksport szynki do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie rocznie sprzedawano tego towaru za kwotę oscylującą w granicach 100 mln dol. amerykańskich. Była to największa pozycja w polskim eksporcie do USA, permanentnie zresztą dofinansowywana przez budżet państwa.

Importerami naszych szynek były firmy o bardzo różnych cechach wewnętrznych i zewnętrznych. Jedne należały do rodzin polonijnych, inne zaś do Amerykanów różnego innego pochodzenia. Wszyscy byli dobrymi kupcami i ciekawymi ludźmi.

Pionierami importu, którzy pierwsi po II wojnie światowej zaktywizowali zakupy szynek w Polsce byli Leon Rubin, mówiący po polsku, rosyjsku, angielsku, francusku i hiszkańsku oraz Herbert Moeller, który prawie wszystko rozumiał po polsku, mówił po angielsku lecz ze mną chętnie konferował po niemiecku. Spotkałem się z nimi wiele razy w USA oraz w Polsce. Obaj byli współwłaścicielami dużej firmy handlowej w Nowym Jorku "Atalanta". Obaj też byli dużymi sympatykami importu z Polski, chociaż jednocześnie kupowali szynkę w innych krajach Europy Wschodniej, a szczególnie w Rumunii.

Decydującą rolę odgrywał tu zysk. Godzi się chyba w tym miesiącu przypomnieć, że Rumuni, podobnie jak inne "bratnie narody", którzy nauczyli się od Polaków /w ramach współpracy RWPG/ produkować dobre szynki, stali się naszym największym i najbardziej bezwzględny konkurentem, nie licząc oczywiście Holendrów i Duńczyków, dla których określony próg ceny stanowił zawsze decydujący element w polityce sprzedaży.

Niemal od początku powojennego importu polskich szynek do USA firma "Atalanta" została "zgwalcona" przez bliżej nieznanego osobnika z Europy, o polskim brzmieniu nazwiska, mówiącego kilkoma językami, do płacenia na jego rzecz haraczu od całej wartości eksportowej tego towaru z Polski do USA. Wykorzystał on rzekomo chorobę i pobyt w szpitalu H. Moellera i podsunął mu do podpisu odpowiednią umowę, która zobowiązywała importera amerykańskiego do odprowadzenia na podany rachunek w określonym banku kwoty stanowiącej ściśle ustalony procent od wartości przywozu szynek z Polski. Umowa ta była tak skonstruowana, że jeżeli by ten Pan, nazwijmy go przedstawicielem mafii, umarł, przysługującą mu należność otrzymałaby jego żona lub inny jego prawny następca. Nie trzeba chyba nikomu powtarzać, że haracz ten był w gruncie rzeczy płacony przez Polskę, gdyż o tyle musiała być pomniejszona cena netto, jaką otrzymał nasz eksporter. Wieloletnia walka z tym dziwnym "podatkiem" nie dawała żadnych rezultatów i całą sprawę rozwiązała z upływem czasu nieubłagana biologia.

Drugim, zasługującym na uwagę epizodem był eksport mięsa i bydła rzeźnego do ZSRR w latach 1975-1976, który realizowany był przez Animex pod kryptonimem transakcji "austriackiej". Otóż w roku 1974, wskutek wprowadzonego ograniczenia importu mięsa do obszaru Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, rząd PRL zwrócił się do rządu ZSRR z propozycją sprzedaży znacznych ilości /kilkadziesiąt tysięcy ton rocznie/ żywca i mięsa wołowego, ukrywając ten fakt przed polskim społeczeństwem. Ktoś na najwyższym szczeblu, prawdopodobnie sam premier P. Jaroszewicz, wymyślił, aby transakcje te nazwać transakcjami austriackimi. Smiali się z tego ci, którzy podpisywali kontrakty i ładowali towar do wagonów, kpili lekarze weterynarii, którzy badali towar, dziwili się kolejarze, że towar do Austrii kierowany jest przez ZSRR, rechotali pracownicy Banku Handlowego i Towarzystwa Ubezpieczeń "Warta", którzy ten towar ubezpieczali i rozliczali.

Niestety na głupotę nie było siły. Do końca wykonania całej serii transakcji wszędzie na papierach handlowych figurował napis "transakcja austriacka". Przeszła ona do historii polskiego handlu zagranicznego jako cyniczna głupota, zrodzona w umysłach ówczesnych właścicieli PRL.

W zastępstwie dyrektora naczelnego CHZ "Animex" odbyłem w tych sprawach kilka podróży służbowych, między innymi do Moskwy, Czerniachowska, Kaliningradu. Wszędzie spotykałem się z życzliwością i największym uznaniem za znakomitą jakość eksportowanego przez nas towaru. Istotnie by to towar najwyższej jakości, przeznaczony pierwotnie do Włoch. Jedyne zastrzeżenie zgłaszane najczęściej przez odbiorców towaru było celowe czasami zanieczyszczenie wagonów, w których mięso dostarczane było do granicy ZSRR.

I jeszcze jedno. Otóż wykonując polecenie ówczesnego ministra handlu zagranicznego i gospodarki morskiej, wspomnianego już Jerzego Olszewskiego, dyrektorzy naczelni przedsiębiorstw zajmujących się importem i eksportem żywności: "Animex", "Rolimpex", "Agros" oraz "Hortex-Polcoop" postanowili aktem notarialnym z dnia 18 maja 1978 r. powołać do życia Zrzeszenie "Agropol" sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie, do zadań którego miała należeć koordynacja działalności tych przedsiębiorstw w kraju i za granicą. Pierwotny kapitał spółki ustalony został na kwotę zł. 27,0 mln /54 udziały a zł. 0,5 mln/, który

w rezultacie późniejszego, symbolicznego przystąpienia do niej "Baltony" powiększony został o jeden udział, tj. o zł. 0,5 mln.

Inicjator przedsięwzięcia zarządzeniem nr 28 z dnia 30 czerwca 1978 roku określił zakres działania spółki, a zarządzeniem nr 57 z dnia 17 listopada 1978 roku wydanym w porozumieniu z ministrem finansów, ustalił zasady jej gospodarki finansowej.

Analiza zakresu działania "Agropolu" wskazywała, iż zorganizowany został sztuczny twór, dla którego od początku nie było miejsca w strukturze organizacyjnej polskiego handlu zagranicznego. Każdy punkt tego dokumentu nie był niczym innym, jak tylko sparafrazowanym fragmentem kompetencji samych udziałowców bądź współpracujących z nimi urzędów i instytucji. W praktyce oznaczało to, iż nowa organizacja będzie wykonywać to, co robią istniejące już jednostki zwłaszcza, że wraz z rozpoczęciem jej działalności nie przewidywało się formalnego ograniczenia zakresu kompetencji ani przedsiębiorstw wchodzących w skład spółki, ani instytucji, z którymi miała ona współdziałać. Była to powszechna opinia podzielana przez znakomitą większość załóg zainteresowanych przedsiębiorstw. Tego samego zdania byli też prawie wszyscy wyżsi urzędnicy MHZ, a wśród nich ówczesny dyrektor departamentu obrotu towarowego, późniejszy minister handlu zagranicznego Andrzej Wójcik.

Pełnomocnikiem ministra do spraw organizacji zrzeszenia "Agropol" z perspektywą objęcia funkcji prezesa jego zarządu, wyznaczony został przez min. J. Olszewskiego dyrektor naczelny p.h.z. "Rolimpex" Jan Giedwidź. Pracę swoją rozpoczął pełnomocnik od zwołania serii konferencji z udziałem przedstawicieli zainteresowanych przedsiębiorstw i instytucji, na których miano przedyskutować samą ideę powołania zrzeszenia, zakres jego działania oraz podjąć praktyczne kroki organizacyjne. Nade wszystko chodziło organizatorowi tych konferencji o uzyskanie aprobaty dla samej koncepcji. Spośród dyskutantów biorących udział w konferencjach wyłoniły się dwa obozy, reprezentujące dla różne stanowiska. Pierwszy z nich, składający się głównie z licznej reprezentacji "Rolimpexu" występował aktywnie z poparciem koncepcji min. J. Olszewskiego, drugi zaś wywodzący się z pozostałych przedsiębiorstw, do których należał autor tej relacji, udowadniał, iż wcielenie w życie tego pomysłu niczego nie rozwiąże,

a jedynie doprowadzi do skomplikowania i tak już niełatwej procedury załatwiania różnych spraw. Wiadomość o braku jednolitego stanowiska szybko dotarła do gabinetów ministerialnych przy ul. Wiejskiej 10, a stamtąd automatycznie trafiła /czy musiała?/ do zainteresowanych wydziałów KC PZPR.

Wykorzystując Międzynarodowe Targi Poznańskie 1978 i obecność na nich wielu osobistości partyjnych i państwowych, zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy "Agropolu" nie zasypiali przysłowiowych gruszek w popiele. Każdy z nich próbował ^Pzałodzić ważniejszych, zainteresowanych sprawą rozmówców swoimi argumentami przemawiającymi za, bądź przeciw powołaniu do życia dodatkowego ognia organizacyjnego, usytuowanego między ministerstwem a przedsiębiorstwami. "Agropol", chcąc nie chcąc, stał się szlagierowym tematem na MTP'78. Dyskusje te miały głównie miejsce w pawilonie spożywczym w Nałamowicach, którego wejście i wszystkie ściany upstrzone zostały napisami "Agropol".

Wielu przedstawicielom firm zagranicznych z krajów zachodnich trzeba było tłumaczyć co oznacza ta siedmioliterowa, łatwa do odcyfrowania i zapamiętania nazwa "Agropol". Nie trudno było zauważyć na twarzach rozmówców pewnego rodzaju zdumienie, bowiem nie ukrywali oni swych obaw co do dalszych losów importu żywności z Polski pod rządami powołanego w ich mniemaniu kartelu.

Do zasadniczej potyczki między przedstawicielami różnych stanowisk doszło w czasie spotkania z ówczesnym członkiem Biura Politycznego i sekretarzem KC PZPR Stefanem Olszowskim. Rozmowa miała miejsce w wąskim gronie, w obecności 4 osób, przy czym jedna z osób, małżonka sekretarza KC, nie brała w dyskusji udziału. Główny ciężar rozmowy spoczął na dyrektorze naczelnym CHZ "Rolimpex" J. Giedwidziu i pierwszym zastępcą dyrektora naczelnego CHZ "Animex" czyli mnie. Gorący zwolennik i organizator "Agropolu" jako pierwszy przedstawił wszystkie dodatnie strony "oryginalnej i niezwykle dojrzałej" - jak twierdził - koncepcji min. J. Olszewskiego, podczas gdy mnie przypadła wdzięczna rola rozprawienia się ze słabą w gruncie rzeczy argumentacją skądinąd wcale nie tuzinkowego adwersarza. S. Olszowski poza zadaniem kilku dodatkowych pytań, nie zdradził swego poglądu na sprawę. Można było jednak odnieść wrażenie, że nie został on przekonany o celowości powołania do życia "Agropolu".

Po powrocie z Poznania do Warszawy powołany został przez KC PZPR zespół specjalistów, który miał m.in. opracować w tej sprawie wszechstronną i wyczerpującą opinię, na podstawie której miała zapadnąć ostateczna decyzja. Członkowie zespołu, przeprowadzili szereg rozmów z wybitnymi ekspertami, w wyniku czego utwierdzili siebie w przekonaniu, iż brak było jakiegokolwiek uzasadnienia dla realizacji pomysłu min. J. Olszewskiego. Tak sformułowana opinia uaktywniła głównego architekta koncepcji "agropolowskiej", który uruchomił wszystkie swoje możliwości w gmachu u zbiegu alej Jerozolimskich i Nowego Świata i spowodował zmianę nieprzychylnego dla siebie stanowiska. Negatywną rolę odegrał zastępca kierownika Wydziału Ekonomicznego KC, Franciszek Kubiczek. ^(czyli moje) ~~Votum separatum~~ głównego przeciwnika koncepcji do ostatecznej wersji opinii nie wpłynęło na konformistyczną postawę pozostałych członków zespołu. W ten sposób Zrzeszenie "Agropol" sp. z o.o. stało się rzeczywistością.

Tymczasem powrócił z placówki zagranicznej amb. Antoni Karaś, który mianowany został generalnym dyrektorem w Ministerstwie Handlu Zagranicznego z jednoczesnym powierzeniem mu stanowiska prezesa zarządu "Agropolu". W ten sposób J. Giedwiż, który włożył dużo wysiłku i niekwestionowanej inteligencji w utrzymanie przy życiu "patologicznego płodu" został wymanewrowany ze stanowiska prezesa i musiał zadowolić się funkcją członka zarządu. Los go jednak wynagrodził kilka lat później, bowiem przyznano mu ten tytuł z jednoczesnym zleceniem przeprowadzenia procesu likwidacyjnego spółki. Ale nie wybiegajmy póki co zbyt daleko do przodu.

Zrzeszenie "Agropol" rozpoczęło pracę. Szybko skompletowało zespół pracowników, wydrukowało listowniki i wizytówki, zainstalo-
lowało aparaty telekomunikacyjne, urządziło gabinety prezesów i dyrektorów. Koszt utrzymania w ruchu, tej niewielkiej na razie maszyny, ukształtował się w okresie początkowym na poziomie nie wiele przekraczającym kwotę zł. 20.000.-^{1/} dziennie wliczając w to wszystkie święta i dni wolne od pracy. Koszty te miały zgodnie z planami wzrosnąć, stosownie do wzrostu "ambitnych" zadań.

1/ była to kwota stanowiąca dwukrotne miesięczne wynagrodzenie wysokiego urzędnika państwowego.

A. Karaś, który po pewnym czasie powołany został na stanowisko podsekretarza stanu zajął się makroproblemami a prezesowską pałeczkę przekazał Stanisławowi Długoszowi, również podsekretarzowi stanu w MHZ, szczególnie zasłużonemu dla PRL w dziedzinie zadłużania kraju w dekadzie gierkowskiej.

Aparat "Agropolu" zabrał się do roboty. Zgodnie z opracowaną i zatwierdzoną strategią za najważniejszy front walki uznano rynki kapitalistyczne. Na pierwszy rzut wzięto na warsztat RFN, Austrię i Grecję. W tych krajach "Agropol" niemal natychmiast wszedł w posiadanie części udziałów w istniejących już spółkach mieszanych, przejmując tym samym we władanie "Agropolcomerce" w Wiedniu, "Agropol" w Hamburgu i "Simcodal" w Atenach. /Trudno w tym miejscu powstrzymać się od wymowniejszego komentarza!/. Plany jednak "Agropolu" szły znacznie dalej. Przewidywały one "opanowanie" pozostałych spółek handlowych z udziałem kapitału polskiego w krajach zachodnich, głównie w USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Hiszpanii. Jak dalece "Agropol" ingerował w działalność zagranicznych spółek, nawet tych które formalnie do niego nie należały, świadczy treść protokołu z posiedzenia zarządu odbytego w dniach 22 i 25 października 1979 roku oraz pismo tego zrzeszenia z dnia 20 listopada 1979 r. skierowane do CHZ "Animex" dotyczące wieloletniego programu rozwoju spółki "Yano" w RFN. W piśmie tym czytamy m.in. "... uprzejmie prosimy o uzupełnienie w/w programu o następujące zagadnienia:

1. Ocena możliwości lokacyjnych towarów zaprezentowanych przez Spółkę Yano w układzie zarówno ilościowym jak i przewidywanego dostępu do rynku RFN.
2. Problematyka cenowa, z uwzględnieniem:
 - a/ trendów cenowych na towary zaprezentowane przez Spółkę,
 - b/ proponowanych działań zmierzających do poprawy efektywności dewizowej eksportu realizowanego za pośrednictwem Spółki,
 - c/ organizacji i form prowadzenia badań cenowych oraz ich przekazywania do kraju.
3. Organizacja formy działania Spółki z uwzględnieniem:
 - a/ analizy sieci sprzedaży /pośrednicy, importerzy, hurtownicy, detaliści/,
 - b/ proponowanych kierunków działania w zakresie rozwoju obrotów na rachunek własny i eliminacji ogniw pośrednich,

- c/ inne - organizacyjne jak np. import dla eksportu, towary obce, własne magazyny, transport,
- d/ proponowane kierunki działań kadrowych ...

4. Docelowa struktura kapitałowa Spółki..."

"Agropol" był na najlepszej drodze do takiego stopnia biurokratyzowania pracy spółek zagranicznych, w którym działalność podstawowa zeszały^{by} na plan drugi. Wcielenie w życie wszystkich zaleceń "Agropolu" musiałoby też pociągnąć znaczne zwiększenie zatrudnienia w spółkach do rozmiarów przypominających obsadę przedsiębiorstw handlu zagranicznego w kraju.

Nie zapomniano też o dalekiej i atrakcyjnej Japonii, gdzie ma siedzibę spółka, o jakże bliskiej warszawskiej "matce"^{1/} nazwie - "Agropol"-Tokio.

Formalne posiadanie trzech spółek zagranicznych i przygotowywanie przejęcia dalszych tworzyło okazję do coraz częstszych wyjazdów poza obszar PRL. W roku 1979, same tylko koszty podróży zagranicznych pracowników "Agropolu" wyniosły zł. 578.000.- a rok później koszty te zbliżyły się do granicy zł. 1.000.000.-

Na froncie krajowym działo się znacznie mniej niż na zagranicznym. Delegacje do miast wojewódzkich lub gminnych położonych na obszarze PRL nie były tak ciekawe i atrakcyjne jak do krajów zachodnich. Stąd główne prace prowadzone były w stolicy i polegały przede wszystkim na zwoływaniu bezpłodnych konferencji i narad. Niemal na okrągło wałkowano takie problemy jak transport morski, kolejowy i samochodowy, przeładunek towaru i jego magazynowanie, aktywizacja eksportu niektórych grup towarowych, opakowanie i etykiety, itp. Były to tematy, którymi od lat zajmowały się różne inne instytucje i przedsiębiorstwa i jeżeli dotychczas nie znalazły one zadowalającego rozwiązania, to wcale nie dlatego, że brakowało akurat "Agropolu". To co robił "Agropol" przypominało młócenie słomy pochodzącej z uprzednio wymłóconego przez kogoś innego zboża. Nie znaczy to wcale, że ten kto młóci słomę nic nie robi. Często pracuje w pocie czoła, z tym tylko, że praca ta jest kompletnie

1/ Nazwa ta została rozpowszechniona przez twórcę koncepcji Jerzego Olszewskiego. Jest to oczywiście nazwa używana w literaturze fachowej na Zachodzie dla firm, które "rodzą" nowe firmy.

bezproduktywna i tym samym społecznie bezużyteczna.

Wszyscy pracownicy "Agropolu", a szczególnie jeden z dyrektorów, Miron Trzeciak, zdawali sobie doskonale z tego sprawę, że młóca słomę, że ich praca nikomu nie jest potrzebna, że jest bezwartościowa, choć stwarzali pozory wysokiej przydatności społecznej. Wiedzieli o tym wszyscy z kierownictwem resortu włącznie. Mimo to instytucja trwała i trwoniła ^{państwowe czyli nasze} ~~społeczne~~ pieniądze. Codziennie wyrzucało się w błoto ponad 20.000.- zł. Niby to nie dużo, ale jeżeli kwotę tę pomnoży się przez 365 dni, a później jeszcze raz przez kilka lat, to wynik końcowy może przerazić nie jednego. „Bogaty” udziałowców koszty te nie przerażały.

"Agropol" był z całą pewnością fenomenem, chociażby tylko dlatego, że tak długo przeżył i to w okresie, w którym działały się w Polsce rzeczy wielkie i nader ciekawe. Powołał go do życia pod koniec dekady "gierkowskiej" min. J. Olczewski, który przeszedł do historii polskiego handlu zagranicznego jako człowiek, który "rozłożył" resort na wiele lat. Przeżył też "Agropol" min. R. Karskiego, uchodzącego powszechnie za wyrachowanego pragmatyka. Nie przyżył jednak stanu wojennego. Była to duża zasługa tego stanu, ~~chyba~~ jedyna, jeśli chodzi o handel zagraniczny. Oto w dniu 26 lutego 1982 roku podpisany został akt notarialny stawiający w stan likwidacji Zrzeszenie "Agropol" sp. z o.o., które po kilku miesiącach od tej daty w dniu 30 września 1982 roku przestało istnieć. Zakończył życie twór, który nigdy nie powinien powstać. Można tylko się dziwić, że stratami z tego tytułu nie zajęły się organa ścigania. Byłaby to ciekawa i pouczająca sprawa z rzędu przestępstw gospodarczych, która nawet gdyby nie znalazła epilogu na sali sądowej, mogłaby dostarczyć wiele cennego materiału poznawczego.

Po prawie pięciu latach pracy w Animexie szykowały się duże zmiany personalne. Otóż mój szef J. Piętowski w ramach praktykowanej rotacji wybrał sobie wyjazd na placówkę zagraniczną do Norwegii, w charakterze radcy handlowego. Automatycznie powstała sprawa następcy. Pierwsze przymiarki wskazywały na to, że poza moją osobą nie ma w ramach Centrali innego kandydata, bardziej predystynowanego na to stanowisko. Przeciwników takiej koncepcji było jednak sporo, przede wszystkim wewnątrz Centrali, gdyż wszyscy już wiedzieli, że nie będę tolerował kumoterstwa, nieróbstwa i pijaństwa. Dałem temu

wyraz w okresie ostatnich kilku lat, zwalniając z pracy w podległych sobie komórkach kilku pracowników, którzy dopuścili się naruszenia norm moralno-etycznych. Nawet syn wicepremiera rządu PRL Andrzej Olszewski musiał odejść z Animexu za nadużywanie alkoholu. Ci zagrożeni zmobilizowali wszystkie siły wewnętrzne i zewnętrzne, aby nie dopuścić do tego. W kierownictwie ministerstwa też nie było pod tym względem jednomyślności, zwłaszcza że nowym ministrem został mój dobry znajomy z Wiednia R. Karski.

Jak piorun z jasnego nieba spadła na mnie wiadomość, że mam wyjechać do Monachium, do spółki polsko-niemieckiej Yano, a dotychczasowy jej szef Ryszard Kozyra ma objąć stanowisko dyrektora naczelnego Centrali. Za pośrednictwem dyr. Piętowskiego skierowano z MHZ pod moim adresem pytanie, czy zgodzę się na taki wyjazd, na co poprosiłem swojego bezpośredniego rozmówcę aby odpowiedział im, iż pracując blisko 30 lat w resorcie handlu zagranicznego, jeszcze ani razu nie wybierałem sobie stanowiska. Pospiesznie więc załatwiono mi dokumenty wyjazdowe i 2 października 1979 roku, na miesiąc przed wyjazdem dyrektora naczelnego do Norwegii, wyjechałem do Monachium, otwierając tym samym drogę, lub inaczej, usuwając przeszkodę R. Kozyrze, w objęciu przez niego tego stanowiska. Na moje miejsce w Centrali powołany został Leopold Dudek, dotychczasowy dyrektor jednego z czterech biur branżowych. O pobycie i pracy w RFN napiszę przy innej okazji.

ZAKOŃCZENIE

Zbliża się półwiecze od chwili mojej repatriacji. Dużo to i mało, jednocześnie. Dużo z punktu widzenia pojedynczego człowieka, mało zaś, jeżeli popatrzymy na ten okres z punktu widzenia historii *naszego kraju.*

Zapiski swoje usiłowałem skonstruować w formie dokumentu o charakterze socjologicznym, napisanym w konwencji publicystycznej. Wiem, że nie udało mi się uniknąć subiektywnych ocen wydarzeń, będących realnym tłem wszystkich moich zachowań i poczynań. Stworzyłem coś w rodzaju publicystycznej góry, z wierzchołka której można oglądać różne bariery i przeszkody, na które natknąłem się przy pokonywaniu trudów-codzienności. Z jednymi zajadłem walczylem, nad innymi przechodziłem do porządku. Raz byłem sobą, innym razem klasycznym oportunistą.

Mimo wyraźnych niedostatków, i to zarówno rzeczowych jak i formalnych, powstał, jak mi się wydaje, zupełnie ciekawy zapis dziejów repatrianta, który wskutek powojennych zmian granic państwowych w Europie, opuścił tereny dawnej Polski, gdzie się urodził i wychował, aby udać się do kraju o tej samej nazwie, ale jakże innego pod względem geograficznym, politycznym i gospodarczym.

Takich ludzi jak ja były setki tysięcy. Każdy jednak miał swoją odrębną tożsamość, każdy przebył inną drogę, jedni łatwiejszą, drudzy trudniejszą. Nie wszyscy mieli jednakowy start. Wielu musiało zacząć od zera, bez jakiegokolwiek zaplecza rodzinnego i materialnego, chociaż najskromniejszego. Wielu, do których i ja należałem, nie mieli żadnego przygotowania do życia i żadnych szkół; nie byli przyuczeni do żadnego zawodu. Mogli zostać wszystkim: chłopem, robotnikiem, żołnierzem zawodowym, złodziejem, bandytą, lekarzem lub adwokatem. Ja zostałem ekonomistą, wyspecjalizowałem się w sferze międzynarodowego obrotu towarowego. Ciekawy to zawód, choć wcale niełatwy. Najważniejsze jednak to, że gójąc się codziennie mogę sobie patrzeć w twarz bez pogardy dla swojej osoby i każdemu napotkanemu człowiekowi, bez żenady mogę spojrzeć w oczy.

SPIS TREŚCI

Wstęp

I	Na kresach Drugiej Rzeczypospolitej	
	1. Dzieciństwo	1
	2. Wojna	9
	3. Nieoczekiwany dramat	11
	4. Okupacja niemiecka	21
	5. Podwójne cierpienia	24
	6. Koniec okupacji niemieckiej	30
	7. Droga do Polski	32
II	W nowych warunkach	
	1. Trudne początki	39
	2. Im dalej w las ...	47
	3. Matura i chęć szczerą	54
	4. Awans społeczny	70
	5. Propozycja nie do odrzucenia	80
III	W centrum	
	1. Ministerialny labirynt	88
	2. W Szwajcarii	115
	3. Rewizor z przypadku	128
	4. Nad Dunajem	149
	5. Boczny tor	173
	Zakończenie	191